OKO W OKO Z JACKIEM CZAPUTOWICZEM

Nowy minister spraw zagranicznych odsłania karty

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

5 lat

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 5/258 29 STYCZNIA–4 LUTEGO 2018

Pułapki na rząd Morawieckiego

DROGA LIDERA KULTU

KOMU JEST WIERNY KAZIK STASZEWSKI

Horubała: Nienawidzę Teatru Telewizji

Chcą zrobić z Polaków faszystów

Histeryczna nagonka lewicowych mediów

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 05 >

Nakład: 100 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 65aebf6e22

Wyznaczamy nowe standardy współpracy

- Profesjonalna wycena portfeli wierzytelności
- Skuteczne odzyskiwanie należności
- Kompetentna obsługa osób zadłużonych

www.getbacksa.pl

getback

Zarządzanie wierzytelnościami

eprasa.pl 65aebf6e22

W RZECZY SAMEJ

Co to jest państwo

PAWEŁ LISICKI

Należę do tych obserwatorów, u których wystąpienia kolejnych zeznających przed komisją śledczą do spraw Amber Gold przestały wywoływać dreszczyk emocji. Może dlatego, że człowiek ma ograniczoną zdolność skupienia? A może dlatego, że już kilka razy wygłaszane przez członków komisji konkluzje, że w Gdańsku istniała mała Sycylia, że funkcjonowała tam prawdziwa mafia, że państwo wykazało się indolencją, że mieliśmy do czynienia za swoistym systemem tolerowania i wspierania korupcji, w który zaangażowani byli sędziowie, prokuratorzy, miejscowi politycy i służby – tak głęboko wbiły się w moją świadomość, że niczego więcej po dalszych jej pracach się nie spodziewałem. A jednak kiedy zacząłem się przysłuchiwać wystąpieniu byłego szefa CBA Pawła Wojtunika poczułem prawdziwą emocję. Coś na kształt rozbawienia, które potem przekształciło się niemal w strach. O Boże, pomyślałem, to niemożliwe. Czyżby było aż tak źle?

Faktycznie, to było chyba najbardziej groteskowe wystąpienie ze wszystkich. Były szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego, człowiek, po którym można się było spodziewać błyskotliwej inteligencji, ciętych ripost, przenikliwych analiz – w końcu jego zadaniem i zadaniem podległych mu osób jest walka z najtrudniejszym wyzwaniem współczesnego państwa, z korupcją, z potężnymi politykami i nie mniej potężnymi oligarchami; walka, w której trzeba wykazać się stanowczością, roztropnością, energią i odwagą – zachowywał się jak, nie przymierzając, przyłapany na nieróbstwie uczniak. Łamanym głosem, po długich pauzach, mamrotał niezbyt składne zdania, z których nic nie wynikało. Doprawdy, żenada. Patrzyłem na to przesłuchanie i pomyślałem, że ostatni raz miałem podobne wrażenia w szkole średniej, kiedy to wywołany do odpowiedzi do tablicy zupełnie nieprzygotowany kolega próbował przetrwać serię niebezpiecznych pytań nauczyciela, licząc na to, że bełkotliwym przeciąganiem sylab i zanudzeniem na śmierć wszystkich wyłudzi trójkę (w moich czasach była czterostopniowa skala ocen). Ależ to była mordęga!

Na pytanie przewodniczącej, Małgorzaty Wassermann, czy próbował zdobyć wiedzę o możliwym naruszeniu prawa przez Amber Gold, Wojtunik po długim wahaniu stwierdził: „Nie pamiętam, abym uzyskał taką informację". Przypomniał sobie wprawdzie o doniesieniach i „dywagacjach" medialnych na ten temat, ale sprawą się nie zajął, bo „nie ustalono, że chodziło o korupcję". Na przytomną uwagę Wassermann, w jaki sposób do owego „nieustalenia" doszło, skoro to właśnie CBA było jednym z podmiotów powołanych do ustaleń, Wojtunik, znowu po długim i uciążliwym milczeniu, powiedział, że „prowadzono bieżące sprawy operacyjne". Jednak na pytanie, jakie są dowody pokazujące, że CBA kiwnęło w tej sprawie palcem (a choćby i paluszkiem), można było usłyszeć z ust Wojtunika, że „odpowiedź nie jest możliwa".

Po tym przesłuchaniu jedno jest pewne: z takim potencjałem intelektualnym CBA za czasów PO mogło złapać co najwyżej przestępców, którzy sami się do niej zgłosili. Nawet zastanawiam się, czy były minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz nie podniósł zbytnio rangi tamtego państwa, mówiąc o nim jako o bycie teoretycznym. Państwo? W ogóle nie wiadomo, sądząc z wypowiedzi byłego szefa CBA, o co chodzi. No, chyba że ta maska nieudolności i bełkotu to pozór. Nie wykluczam tego, ale byłbym bardzo zdziwiony, gdyby tak było. ©℗

PS Pięć lat temu ukazał się pierwszy numer „Do Rzeczy". Wiem, że są tacy czytelnicy, którzy skrzętnie zbierają wszystkie wydania. W jednym domu widziałem nawet niedawno pokaźny stos, w całości złożony z pojedynczych egzemplarzy naszego pisma. Dla tysięcy ludzi to pismo jest stałym punktem odniesienia – czasem się z nim zgadzają, czasem kłócą, ale, co najważniejsze, wiedzą, że mogą mieć zaufanie do jego autentyczności. Za to, że są Państwo z nami przez tych pięć lat, bardzo, bardzo dziękuję. I mam nadzieję na kolejne!

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 65aebf6e22

TEMAT TYGODNIA

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ĆWIERĆ WIEKU DORABIANIA BRUNATNEJ GĘBY
Chcą zrobić z Polaków faszystów

27 WOJCIECH WYBRANOWSKI
TWARZE EKSTREMIZMÓW

28 ROZMOWA Z JANEM ŻARYNEM
BURZA NA ZAMÓWIENIE

URODZINY „DO RZECZY"

14 WOJCIECH WYBRANOWSKI
TO JUŻ 5 LAT

KRAJ

30 PIOTR GOCIEK
SIEDEM PUŁAPEK NA DOBRĄ ZMIANĘ
Wyzwania dla nowego gabinetu

33 ROZMOWA Z PROF. JACKIEM CZAPUTOWICZEM
DIALOG TO NIE USTĘPSTWO

36 ŁUKASZ WARZECHA
„WYBORCZA" I OPOZYCJA

38 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOMU SŁUŻĄ MEDIA KATOLICKIE?

40 MARCIN MAKOWSKI
ZBRODNIARZ, KSIĄŻKA I... CENZURA

42 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM JASTRZĘBOWSKIM
MOJA KSIĄŻKA TO ARCYDZIEŁO

KULTURA

44 ANDRZEJ HORUBAŁA
NIENAWIDZĘ TEATRU TELEWIZJI
Pozory sztuki głębokiej

48 GRZEGORZ BRZOZOWICZ
KAZIKA WIERNOŚĆ SOBIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z O. MICHAŁEM CHABERKIEM
STWORZENIE TO NIE EWOLUCJA
Jak powstał człowiek?

HISTORIA

62 SEBASTIAN PILARSKI
NIEPOKORNI
Dzieje Grupy Roboczej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność"

66 ROZMOWA Z PIOTREM ŚLIWIŃSKIM
JAK UMIERAŁA I RP

ŚWIAT

70 PIOTR SEMKA
UCIEC JAK NAJBLIŻEJ
Syryjscy uchodźcy w obozach w Jordanii

74 ROZMOWA Z LÁSZLÓ TOROCZKAIM
NACJONALIZM TO DOBRA RZECZ

76 TERESA STYLIŃSKA
ALFABET I POLITYKA

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
BEZROBOTNI PRZEZ ROBOTY?
Sztuczna inteligencja – prawdziwe pieniądze

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
SKAZANI NA DEPRESJĘ?
Kiedy zły nastrój to już choroba

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (20), POSPIESZALSKI (55), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (68), KOWALCZUK (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (81), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 65aebf6e22

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

Chcesz się POŁĄCZYĆ?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 65aebf6e22

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu listy bardzo zróżnicowane. Dziękujemy za wszystkie głosy, a także za e-maile z gratulacjami z okazji naszego pięciolecia.

„O MaBeNie na poważnie"

Wielkie dzięki dla pana Roberta Bogdańskiego za artykuł o Maszynie Bezpieczeństwa Narracyjnego („Do Rzeczy" 3/2018). O mały włos, a ominęłabym ten tekst, ponieważ tytuł był wyjątkowo mało chwytliwy. Jakież było moje zdziwienie i zachwyt jednocześnie nad niezwykle wnikliwą i merytoryczną treścią. Rzadko się zdarza, aby w jednym tekście znaleźć aż tyle kompromitujących faktów. Dziękuję za ten tekst, z nadzieją, że zostanie przeczytany przez kogo trzeba i potraktowany poważnie. Dziękuję redakcji za wydrukowanie bardzo odważnego, tak krytycznego opisu rzeczywistości Polski stołkowej.

Pozdrawiam

Barbara Kobiałka
stała – od początku istnienia pisma – czytelniczka

Niesprawiedliwość

Chciałabym podzielić się swoimi (i nie tylko) przemyśleniami na temat obecnych rządów (na które głosowaliśmy). Zaskakuje mnie, że wciąż rządzący zapominają o ludziach ciężko pracujących, wykształconych, ale z marną pensją i słabymi perspektywami na przyszłość (mówię o tzw. dzieciach postkomuny – dobrze wykształceni, ale szukający szczęścia za granicą, zdani tylko na siebie – najgorsze lata 1998–2004).

Pomoc państwa jest niestety kierowana a to do starszych (leki 75+), a to do emerytów (waloryzacja), do rodzin wielodzietnych (ulga rodzinna i „500+"), do tzw. młodych („Mieszkanie dla Młodych", staże, stypendia).

A co z tymi, którzy tak jak moja rodzina pod żaden schemat nie podchodzą? Mam tylko dwoje dzieci, które urodziłam w czasie, gdy bezrobocie w moim mieście wynosiło 20 proc. (zero pomocy skądkolwiek), ceny horrendalne, na dzieci żadnych pieniędzy, nawet gdy nie mieliśmy co jeść (mąż był zmuszony wyjeżdżać). A teraz podobnie, gdy starsze dziecko skończy wkrótce 18 lat, nawet „500+" odpadnie. Już teraz przy naszych nędznych zarobkach ledwo wiążemy koniec z końcem, ale ponieważ obydwoje pracujemy, to przekraczamy 800 zł na osobę (to oznacza, że żadna pomoc się nie należy). Spłacamy duży kredyt: co miesiąc 1500 zł (bez żadnych ulg, bo na franki mieliśmy za małe zarobki, a na mieszkanie dla młodych byliśmy za starzy), ale byliśmy szczęśliwi, gdy go dostaliśmy (mając 35 lat skończone) i mogliśmy wyprowadzić się od rodziców.

A dziś aż się we mnie gotuje, gdy słyszę: „dbajmy o młodych", „wspierajmy starszych" (a to wszystko z naszej ciężkiej pracy). Nawet frankowiczom chcieli rozdawać pieniądze, a co z nami, którzy mają więcej niż 36 lat? Co rząd, który tak wspieraliśmy, ma nam do zaoferowania, ludziom, którzy nigdy nie korzystali z pomocy państwa (żeby mieć za co żyć, wyjeżdżaliśmy za granicę, więc nasze emerytury będą groszowe)? Co z ludźmi, których dzieci nigdy nie chodziły i nadal nie chodzą na lekcje tenisa, nie jeżdżą na wakacje, bo z gołej pensji jest to po prostu niemożliwe? Dlaczego nie możemy skorzystać choćby z ulgi odsetkowej? Dlaczego rodzinom takim jak moja nie należy się żadne wsparcie, z jakiej racji wciąż pomoc dostają uprzywilejowane grupy, dlaczego dyskryminuje się ludzi ze względu na wiek albo liczbę dzieci? To nieetyczne, że pomoc (my na to pracujemy, odprowadzając podatki) otrzymują nie ci, którzy są w trudnej sytuacji i jej naprawdę potrzebują, tylko ci, co mają mniej niż 35 lat, więcej niż 60 albo 75. Nie tego oczekiwałam, gdy szłam na głosowanie dwa lata temu. Czy ludziom, którzy na ten socjal się składają, naprawdę nic się nie należy? Dlaczego karze się nas za brak dzieci (naprawdę to były trudne decyzje, aby przy braku pracy decydować się na więcej), odmawia nam się prawa do godnego życia, bo nie jesteśmy 20-latkami? A nasze dzieci? To wciąż bardzo niesprawiedliwy podział dóbr, jestem tego przykładem.

Pozdrawiam

Anna M.M. z Białegostoku

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Fotolia; oprac. graf. JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 65aebf6e22

Kierunek ORLEN

Gratulujemy sukcesu
Kubie Przygońskiemu
w rajdzie Dakar 2018

Szukasz sportowych EMOCJI?

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 65aebf6e22

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Uważny nadzorca

List Jarosława Kaczyńskiego do członków PiS w związku z brakiem zgody Senatu na tymczasowe aresztowanie senatora Stanisława Koguta to sygnał, że prezes PiS woli zawczasu zapobiegać rozprężeniu i objawom zepsucia w partii władzy. Jego intuicja jest trafna – dla PiS pozostawanie poza jakimkolwiek podejrzeniem o machlojki i kolesiostwo jest racją bytu. „Przedstawiciele formacji, naszej formacji, noszącej nazwę Prawo i Sprawiedliwość, odmówili potraktowania jednego ze swych członków jak obywatela RP, zwykłego obywatela, niekorzystającego z żadnych przywilejów" – ocenił w liście Kaczyński.

Prezes w sprawie ostrzegania przed arogancją władzy jest konsekwentny. To, co może dziwić, to raczej brak wyobraźni tych senatorów PiS, którzy postawili wyżej solidarność wobec kolegi z Senatu nad świadomość, jak taki gest wykorzysta opozycja i jak taki gest przyjmą zwykli wyborcy. Skoro tej wyobraźni zabrakło, to huknąć musiał sam prezes. Kolejny raz okazało się, że bez Kaczyńskiego w roli superkontrolera rządząca partia z łatwością potykałaby się o własne nogi.

Wypadek chorej solidarności z kolegą w Senacie najwyraźniej wyprowadził prezesa PiS z równowagi. Dlatego szykuje specjalne zabezpieczenie na przyszłość. W następnych wyborach do parlamentu z list PiS będą mogli kandydować tylko ci, którzy podpiszą jednoznaczną deklarację dotyczącą korzystania z immunitetu tak, by nie chronił on osób podejrzanych o przestępstwa kryminalne.

Równie ciekawy jest jednak inny wątek listu. „Jedną z ważnych przesłanek reorganizacji rządu było utrzymanie spójności naszego obozu, obozu Zjednoczonej Prawicy, a to wymaga uwzględnienia wybitnej roli, jaką odegrał w osiągnięciu zwycięstwa w 2015 r. Pan Prezydent Andrzej Duda. Nie chodzi tu więc tylko o jego pozycję ustrojową jako pierwszej osoby w państwie, ale także wkład w nasz wspólny sukces, otwarcie drogi ku dobrej zmianie" – napisał Kaczyński.

To wyraźna deklaracja woli zamknięcia sporu na linii PiS – Pałac Prezydencki. Potwierdza się podejrzenie, że jedną z głównych przyczyn zmian w rządzie była chęć normalizacji relacji z gospodarzem Belwederu. Kaczyński stawia na synergię pozycji prezydenta z siłą partii w wyborach prezydenckich w 2020 r. Z zimnym pragmatyzmem zauważa również, że sposób pełnienia urzędu przez Andrzeja Dudę daje mu wysokie wsparcie społeczne. A hodowanie urazów wobec głowy państwa zatruwać będzie atmosferę w obozie dobrej zmiany.

Oba ważne przesłania listu lidera PiS pokazują, że „Naczelnik" nie uważa poparcia dla swej partii za coś danego raz na zawsze. Jeśli opozycja budowała swe nadzieje na założeniu, że PiS szybko popadnie w samouwielbienie, to właśnie musiała przeżyć rozczarowanie. Przyjęcie przez Kaczyńskiego roli „bezpiecznika" stojącego ponad rządem i urzędem prezydenta na razie dobrze wpływa na kondycję rządzącej partii. ©℗

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

DUDA Z TRUMPEM W DAVOS, TILLERSON W POLSCE

O współpracy gospodarczej Polski i USA szczególnie w obszarze energetyki oraz inwestycji amerykańskich firm w Polsce rozmawiali w piątek prezydent Andrzej Duda oraz przywódca USA Donald Trump. O bezpieczeństwie oraz współpracy gospodarczej mieli też w weekend rozmawiać w Warszawie z szefem dyplomacji USA Rexem Tillersonem prezydent Duda, a także premier Mateusz Morawiecki i szef MSZ Jacek Czaputowicz. ***(jap)*** ©℗

SĄD W NIEMCZECH: OBOZY BYŁY NIEMIECKIE

Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji uznał pod koniec stycznia, że niemiecka telewizja publiczna ZDF musi przeprosić za nazwanie niemieckich, nazistowskich obozów zagłady z okresu II wojny światowej polskimi.

To przełomowy wyrok. Pierwszy raz niemiecki sąd podzielił bowiem argument strony polskiej, że przymiotnik „polskie", użyty w kontekście nazistowskich obozów zagłady, przypisuje im nie tylko cechę geograficzną, lecz także narodową, przez co obarcza Polaków niemieckimi zbrodniami.

(jap) ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

5. URODZINY „DO RZECZY"!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

DODATKOWY RABAT -5%

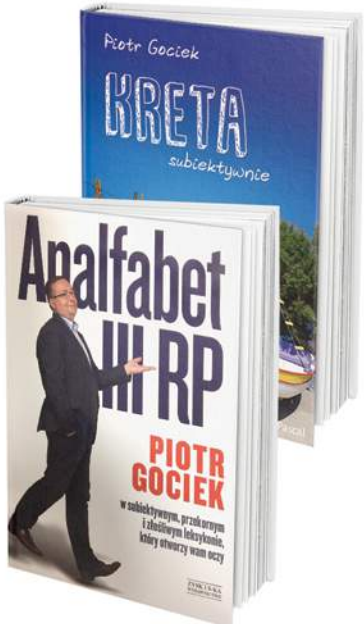

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI
"ANALFABET III RP"
"KRETA SUBIEKTYWNIE"

+

Cena: 138 zł
Oszczędność: 121 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303

KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 227 zł
Oszczędność: 301 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 65aebf6e22

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wydział wiecznie żywy

Przed wielu laty w ówczesnym wydawnictwie Iskry kolega, który odpowiadał tam za science fiction (co było świetnym kamuflażem do prowadzenia wydawnictwa podziemnego – nikt nie zwracał uwagi na korowody jego dziwnych gości), pokazał mi poufną instrukcję Wydziału Kultury PZPR dotyczącą powieści kryminalnej. Otóż, aby zachałturzyć „kryminałem", autor musiał w owych czasach spełnić wiele wymogów. Na przykład zbrodniarzem nie mógł się okazać partyjny urzędnik państwowy ani robotnik – instrukcja wskazywała natomiast, aby był nim przedstawiciel tzw. prywatnej inicjatywy. Tyle lat minęło, a w czasach politycznej poprawności dbałość o wpływ kultury popularnej na umysły jest nie mniejsza – choć nie wiem, czy obecnie „Wydział Kultury", jakkolwiek się zwie, formułuje swe instrukcje na piśmie. Jednak widać ich realizację w serialach i filmach. W dziele popularnym ojciec musi być potworem gnębiącym żonę i córki, katolik – zbrodniczym fanatykiem, a gej najlepszym przyjacielem nowoczesnej kobiety.

Jak wiadomo, powtarzające się regularnie na całym świecie islamskie zbrodnie to odosobnione incydenty

Z kolei muzułmanin nie może być terrorystą. Na wieść, że podobno w kolejnym odcinku popularnego „Ojca Mateusza" pojawi się muzułmanin terrorysta i podłoży bombę, „Gazeta Wyborcza", pełniąca w III RP funkcję i Wydziału Kultury, i zarazem jego zbrojnego ramienia, dostała istnej histerii. Bo, jak wiadomo, powtarzające się regularnie na całym świecie islamskie zbrodnie to odosobnione incydenty, a islam jest religią pokoju oraz miłości i łączenie go z islamizmem to faszyzm, rasizm i nienawiść.

Co najgorsze, na wściekły atak totalniaków z „Wyborczej" telewizja zareagowała w sposób absurdalny. Zamiast ich wyśmiać, zaczęła przepraszać, tłumaczyć, że wprawdzie we wspomnianym odcinku Arab podkłada bombę, ale nie w imię islamu, tylko prywatnie, i w ogóle to nie tak, nie jesteśmy rasistami… Niestety, to stała cecha PiS, który bywa mocny w gębie, ale wystarczy, by politycznie poprawni na niego huknęli, a chowa się we własne buty i zaczyna przepraszać, usprawiedliwiać się, zapewniać, że nic podobnego, nigdy…

Trzydzieści lat temu, czytając instrukcję Wydziału Kultury, jak ma być pisany kryminał czy fantastyka, śmiałem się, wierząc, że to szybko minie. Dzisiaj, przyznam, już mi tak bardzo do śmiechu nie jest. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zabrali kredki i poszli

Było trochę żalu w PiS, trochę nieoficjalnych, szeptanych w kuluarowych rozmowach pretensji do prezydenta Andrzeja Dudy za ten opór przy ustawach sądowniczych. Za te trzy piąte, czyli wymaganą większość niezbędną do wyboru sędziów – członków nowej Krajowej Rady Sądownictwa. Mówiono, że to niepotrzebny gest w stronę opozycji, że Platforma i Nowoczesna dostają realną szansę, by na forum publicznym przedstawić swoją „totalną propozycję", by podyskutować o tym, jak powinien wyglądać wymiar sprawiedliwości w Polsce. Jednym słowem – wykorzystać okazję, by pokazać, że jako opozycja PO i Nowoczesna też mają coś do powiedzenia na temat Polski.

Zaskoczenia nie ma. Lewicowo-liberalna opozycja zachowała się konsekwentnie, tradycyjnie marnując szansę udowodnienia potencjalnym wyborcom, że jednak ma coś do powiedzenia. W przypadku wymiaru sprawiedliwości – już kolejny raz, najpierw nie przedstawiając, wbrew zapowiedziom, własnych projektów ustaw sądowych, teraz – deklarując, że nie będzie uczestniczyć we wskazywaniu i wyborze sędziów – członków KRS. Dziecinada, zachowanie przedszkolaków, które nie mogąc narzucić kolegom z grupy swoich reguł gry, zabierają kredki i idą płakać do kąta. Rzecz w tym, że to, co ujdzie w przedszkolu, nie uchodzi już, gdy w grę wchodzi interes państwa i jego obywateli.

Okazało się, że w samym środowisku sędziowskim – mimo prób zastraszania przez prominentów „nadzwyczajnej kasty" – nie zabrakło tych, którzy gotowi są w KRS zmierzyć się z odpowiedzialnością za kształt sądownictwa w Polsce. Trzeba trzymać kciuki, by nie zawiedli. A politycy PO, Nowoczesnej czy PSL? Cóż, kolejny raz okazuje się, że do demokracji, o której tyle mówią, po prostu nie dorośli. ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bezczelnie dobra książka

„Żadna zmiana" – tytuł książki Stefana Sękowskiego, mojego redakcyjnego kolegi, jest znacznie bardziej prowokacyjny niż sama książka. I to jest zła wiadomość dla tych, którzy chcieliby „Żadną zmianę" zlekceważyć, bo o ile można by to zrobić z kolejnym szaleńczym atakiem na dobrą zmianę, o tyle ze spokojną analizą znacznie trudniej.

Sękowski wykonał kawał dobrej, mozolnej i potrzebnej roboty, pokazując perspektywę całej III RP. Podtytuł książki to „O niemocy polskiej klasy politycznej po 1989 roku" i faktycznie – jest to lektura raczej przygnębiająca. Dostaje się w zasadzie wszystkim, a w dodatku każde oskarżenie oparte jest na solidnych argumentach i konkretach.

Jakby tego było mało, Sękowski nie rozdziera szat, nie lamentuje, ale z flegmą i dystansem badacza strona po stronie punktuje niedostatki III RP: krótkowzroczność, niestaranność legislacji, skupienie polityków na sobie, kupowanie sobie wyborców absurdalnymi obietnicami. Czyli znów – niełatwo Sękowskiego spławić, że wiadomo – wariat i histeryk.

Jedna rzecz jest dla Sękowskiego jasna: nie ma nowoczesnego i prawdziwie republikańskiego społeczeństwa, a więc i państwa, jeśli nie ma własności. Fakt, że jedynie tak nielicznym Polakom przez cały czas trwania III RP udało się zakumulować jakiś majątek, a i to niewielki, i często na kredyt, jest naszym przekleństwem. Jednak znów – nie ma w tej diagnozie liberalnego doktrynerstwa, więc i po tej linii nie da się Sękowskiego łatwo skrytykować.

Wszystko to prowadzi mnie do przykrego dla autora wniosku, że stworzył bardzo porządne, mądre i dopracowane wołanie na pustyni. Idę o zakład, że z wszystkich wymienionych wyżej przyczyn nikt z ważnych polityków opozycji lub koalicji książki Sękowskiego nie przeczyta, a nawet jeśli przeczyta, to się do tego nie przyzna. Gdyby bowiem się przyznał, mogłoby się zdarzyć, że ktoś będzie chciał, żeby się rzeczowo odniósł. No i klops, gdyż diagnozy Sękowskiego są celne i trudne do obalenia. Ba, Stefan bywa tak bezczelny, że miejscami przypomina politykom ich dawne wypowiedzi, mocno odmienne od tego, co mówią dzisiaj. Sami państwo przyznają, że to już trudno tolerować.

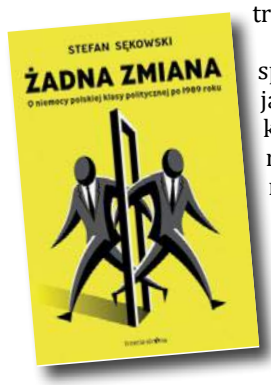

Co do polityków sprawa jest zatem jasna. Jednak my, którzy politykami nie jesteśmy, możemy, a nawet powinniśmy Sękowskiego przeczytać. I wyciągnąć wnioski – dla własnego dobra. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Piekło zamarzło

Dawno po Trzech Królach, ale świąteczna atmosfera jeszcze unosi się z zakamarków social mediów. Oto jeden z internautów, „hr. Farlunin", wrzucił zdjęcie z sejmowej konferencji tzw. zjednoczonej opozycji z następującym podpisem: „Od lewej stoją: Wiedza, Strategia i Charyzma". W rzeczywistości stali: Petru, Schetyna i Kosiniak-Kamysz. Brutalne.

Po emisji reportażu „Superwizjera", demaskującego neonazistów pijących toast za Hitlera, nie wytrzymał Dawid Wildstein. „Biedni ci chłopcy z Ruchu Narodowego. Cały czas są czymś zaskakiwani. A to, że ich rzecznik jest separatystą mózgu, a to, że wieloletni działacze zbyt interesują się wujkiem Adolfem... albo tym, że ich przyjaciele z Jobbiku wielbią wujka Putina. Biedaki". Na szczęście prawdziwej empatii na Twitterze nie odnotowano.

Kto by się spodziewał, że poseł Krystyna Pawłowicz ledwo się tu pojawi, a już zacznie orać nie tylko PiS-owskich koalicjantów, lecz także... prawicowych publicystów. „Pytanie od czapy: Czy niewidomi od urodzenia mają sny, w których widzą?" – zapytał Stanisław Janecki. „Tak, od czapy. Jak nie ma tematu, to lepiej nic na TT nie pisać, bo nadwyręża Pan swą renomę" – odparła pani profesor, która w sieci – jak wiadomo – swoją renomę tylko podbudowuje.

Z odsieczą Janeckiemu pospieszył niejaki Antek Muzykant, który chyba ironicznie zaczepił Pawłowicz słowami: „Pani tu dopiero kilka dni, a poucza stare wygi?". „A co, nie wolno? Konstytucja zabrania?" – ucięła dyskusję była sędzia Trybunału Stanu. Dzisiaj się śmiejemy. A jeśli PiS pod osłoną nocy uchwali możliwość wygaszania kadencji kont twitterowych?

Na koniec o tym, jak piekło zamarzło, a polski Twitter stanął w bezruchu. Otóż Tomasz Lis... zgodził się w czymś z liderem Zjednoczonej Prawicy. „W tym punkcie pełne poparcie dla J. Kaczyńskiego" – napisał, podając dalej (tu również szok) tweet TVP Info. Tam z kolei prezes wyraża nadzieję, że branża futerkowa przejdzie w naszym kraju do historii, a „cierpień zwierząt będzie mniej". A czy ktoś pomyślał o cierpieniach redaktorów, którzy muszą mówić jednym głosem z dyktatorem? ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

KAZ DO ARESZTU!

Isabel Marcinkiewicz w przerwie między pisaniem książek (tak, tak, pisze kolejną!) udzieliła wywiadu „Super Expressowi". I tu uwaga, zaskoczenie, wywiad dotyczył jej byłego męża Kaza. A konkretnie tego, że Kaz nie płaci Isabel zasądzonych alimentów. Jak wyliczyła Isabel, jest jej winien 56 tys. zł! – Nie płaci od miesięcy. Powinien zostać ukarany co najmniej grzywną. Dla tego rodzaju alimenciarzy jest nawet kara więzienia – ostrzega Isabel. – On czuje się bezkarny. Mam orzeczenie o niepełnosprawności, z którego wynika, że potrzebuję pomocy, a on od wypadku nie interesuje się tym, czy mam pieniądze na życie, na leczenie. Nie mogę uwierzyć, że człowiek, były premier, tak postępuje. Gra na zwłokę, by przeciągnąć sprawę i pokazać w rozliczeniu rocznym, że ma niskie dochody.
Powinien ponieść konsekwencje lekceważenia wyroku sądu – uważa. Ministrowi Ziobrze chyba nie trzeba tego dwa razy powtarzać!

WOJNA W KRÓLESTWIE TVN

Spór w rodzinie gwiazd TVN odżył właśnie ze zdwojoną siłą. Po jednej stronie mamy Jakuba Wojewódzkiego i jego partnerkę Renatę Kaczoruk, a po drugiej Perfekcyjną Małgorzatę Rozenek i jej małżonka Radosława Majdana. Już kiedyś pokłócili się na śmierć i życie (poszło o udział w programie „Azja Express", w którym Renata i Majdanowie nie bardzo się polubili), zapewniając sporo śmiechu wszystkim czytelnikom plotkarskich mediów. Teraz postanowili zrobić to jeszcze raz. Wszystko z powodu udziału Renaty Kaczoruk w „Tańcu z gwiazdami". Gdy Małgorzata się o tym dowiedziała, nie mogła sobie darować komentarza. I tak rozpoczął się drugi sezon tej obyczajowo-sensacyjnej telenoweli. – Osoba, która twierdziła, że poszła do programu tylko dlatego, że chciała zwiedzić Azję, nie popiera parcia na szkło i nie chce mieć z tym nic wspólnego, uważa polski show-biznes za wylęgarnię tak złych ludzi jak my, idzie do programu, który jest stricte show-biznesowy [...] to klasyczny przykład braku konsekwencji i hipokryzji – powiedziała. No i się zaczęło. Wojewódzki w obronie Renaty zagroził, że upubliczni jakieś dwuznaczne SMS-y od Rozenek, które miał dostawać, gdy ta zaczynała karierę. Małgorzata odwdzięczyła się groźbą, że jakaś tajemnicza była mężatka opublikuje SMS-y, które do jej ówczesnego męża miała wysyłać Renata. Przy okazji Rozenek, zapytana, co czuje, gdy czyta zarzuty Wojewódzkiego, odpowiedziała, że nic. – To jest tak, jak nie przejmujesz się, co krzyczy do ciebie człowiek, który stoi pod budką z piwem – rzekła. A jej małżonek nazwał Kubę lamusem. Tak oto bawią się (i nas przy okazji) król TVN i królowa stylu. Taka „Korona królów" na miarę TVN.

FOT. PAWEŁ CZERWIŃSKI

SZPITAL NA ŻYWO

Blogerka Jessica Mercedes wie, że aby utrzymać popularność (i utrzymać się), trzeba non stop być aktywnym w mediach społecznościowych. Nie wolno dać o sobie zapomnieć choćby na chwilę. W puste miejsce zaraz może wejść kto inny, blogosfera nie znosi próżni. Dlatego gdy trafiła do szpitala na zapowiadaną wcześniej (a jakże!) operację żuchwy, postanowiła relacjonować ją niemal na żywo na Snapach i innych Instagramach. – OK, wiem, że to profil modowy, ale codziennie dostaję od Was kilkadziesiąt pytań, jaką przechodzę jutro operację. Mam progenię i będę miała jutro operowaną żuchwę, bo moja górna szczęka jest mniejsza niż żuchwa – zapowiedziała najpierw. Później dostaliśmy zdjęcie wyprawki do szpitala – piżamy, skarpetki, majtki. Wszystko nowiutkie, kupione specjalnie na tę okoliczność. – Trzy pary piżam, trzy pary skarpet... Gacie. Wszystko pod kolor dobrałam – chwaliła się swoim fanom. Potem przyszedł czas na pełną grozy relację ze szpitala. – Trzymajcie się... Przed chwilą się popłakałam. Znowu się boję tej narkozy – informowała. Tak się bała, że tuż przed wejściem na salę operacyjną zdążyła jeszcze zamieścić fotę szpitalnego stroju, w jakim miała być operowana. Po wszystkim oczywiście nie zabrakło zdjęć Jessiki ze szpitala z szyną stabilizującą żuchwę. – Tak wyglądam świeżo po operacji. Szczerze mówiąc myślałam, że będzie gorzej – oznajmiła. Gorzej już być nie może, droga Jessiko. Nie tylko w kwestii żuchwy. ©℗

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 65aebf6e22

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasz najmłodszy frend w kolektywie, Alex, który utożsamia się z pokoleniem osobomillenialsów, przyszedł ostatnio bardzo zapłakany do korpo. Myśleliśmy początkowo, iż przestraszył się zalewającej ten kraj fali fashysmu z lasu, jednak przyczyna, jak się okazało, była zupełnie inna.

Otósh Alex, urodzony już w III RP, dzięki platformie Netflix miał okazję zapoznać się z popularnym serialem „Przyjaciele" i poczuł się zdruzgotany i prześladowany. Po pierwsze strasznie rozstroił go fakt, iż wszyscy główni bohaterowie są osobami heteronormatywnymi, a po drugie – pigmentalnie nieuposażonymi.

Rzeczywiście, w czasach współczesnej walki o tolerancję seriale tego typu są jak nieprzyjemny powiew zatęchłej historii. Dlatego też naszym zdaniem powinien powstać remake „Przyjaciół", w którym:

– główni bohaterowie byliby zróżnicowani ze względów kulturowych, seksualnych i etnicznych. Przynajmniej jedno z nich powinno być transpłciowe, jedno być rdzennym Amerykaninem, którego reszta co odcinek przeprasza za rezerwaty, jedno mieć dyskalkulię, jedno być jakąś niszową mniejszością religijną, oczywiście żaden nie powinien być biały;

– wszyscy powinni stanowić jeden wielki związek poliamoryczny, w którym możliwe byłyby dowolne konfiguracje;

Na prawicy widać histerię, iż skoro niszczy się fashysm, to powinno się delegalizować komunizm

– jedyne dozwolone żarty dotyczyłyby katolicyzmu, heteronormatywności i pracy na etacie;

– nie wynajmowaliby mieszkań, tylko zajmowaliby chwilowo puste lokale, iżby założyć w nich skłoty.

Jest szansa, iż wówczas serial nie byłby ofensywny dla żadnej mniejszości i nie urażałby uczuć żadnego millenialsa, więc – co za tym idzie – żaden millenials nie byłby pozbawiany swojej strefy komfortu.

À propos leśnej ekipy propagującej fashysm, do której dotarła ekipa TVN. Boimy się teraz o naszą zaprzyjaźnioną leśną komunę osobolesbijek, u której zaopatrujemy się w jarmuż i bezglutenowe pierożki.

Obawiamy się, iż w odwecie za ujawnienie fali fashysmu zalewającej lasy w tym kraju do komuny naszych frendziar przedostanie się jakaś oszalała z nienawiści ekipa prawackich dziennikarzy i ujawni działalność naszych frendziar, krzycząc, iż niby: „Precz z komuną!".

W ogóle na prawicy widać już histerię, iż skoro niszczy się fashysm, to powinno się również delegalizować komunizm. Otósh przecież nie tędy droga!

W komunizmie jednak osoba dla osoby chciała dobrze, ale na przestrzeni lat wygląda na to, iż nikt nie zrozumiał dobrze, o co z tym całym komunizmem chodzi, i stąd te wszystkie nieporozumienia i incydenty. Nie można więc prześladować osób noszących koszulki z Marksem, Engelsem i młotem, iż oni propagują piękną ideę, która została nie do końca zrozumiana przez wielu idealistów :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

PARTNER ORLEN

eprasa.pl 65aebf6e22

To już 5 lat

Do Rzeczy", najmłodszy tygodnik konserwatywno-liberalny na polskim rynku, skończyło pięć lat. A jak to wszystko się zaczęło i co wspólnie udało nam się już zrobić?

W zasadzie trzeba by się cofnąć do drugiej połowy grudnia 2012 r., do śnieżnej środy kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia. W niewielkiej warszawskiej knajpce spotyka się grupa byłych publicystów „Uważam Rze" i dziennikarzy „Rzeczpospolitej" wyrzuconych kilka tygodni wcześniej z pracy przez Grzegorza Hajdarowicza. Jeszcze nikt nie mówi oficjalnie, że będzie nowy tygodnik, nie ogłasza prac nad nowym tytułem, ale rozmowy przy opłatku, pierniku i lampce wina są pełne oczekiwań. Kilkanaście dni później wszystko jest już jasne.

Szybko powstała spółka wydawnicza założona m.in. przez część publicystów, której głównym inwestorem (co w tamtym czasie wymagało odwagi) został Michał M. Lisiecki, prezes PMPG Polskie Media. Najpierw, za sprawą Miłosza Lodowskiego, na portalach społecznościowych Twitter i Facebook powstają profile Tygodnik Lisickiego, chwilę później portal Tygodnik Lisickiego – Do Rzeczy, na którym pojawiają się pierwsze teksty, wreszcie 25 stycznia 2012 r. pierwszy numer „Tygodnik Lisickiego – Do Rzeczy" trafia do kiosków i dobrych sklepów. W pierwszym numerze tygodnika kierowanego przez Pawła Lisickiego, Piotra Gabryela, Andrzeja Horubałę i Piotra Zychowicza można było przeczytać m.in. o kulisach czystki w „Rz", wspomnienia o Jadwidze Kaczyńskiej i o pisarzach, którzy w PRL rozmienili talent na drobne.

Wśród felietonistów „Do Rzeczy" znalazł się – debiutujący wówczas w roli publicysty – muzyk Paweł Kukiz. Na naszych łamach publikowali (większość do dziś) także m.in. prof. Szewach Weiss, były ambasador Izraela w Polsce, Bronisław Wildstein (przeniósł się później do „Sieci"), prof. Marek Chodakiewicz, Sławomir Cenckiewicz, Igor Zalewski, Marcin Wolski, Marek Magierowski – w latach 2015–2017 rzecznik prasowy prezydenta Andrzeja Dudy, obecnie wiceszef MSZ – czy Piotr Gursztyn, obecnie dyrektor ds. komunikacji w TVP. Swoją niezwykle popularną wśród czytelników rubrykę co tydzień prowadzi Waldemar Łysiak, wśród naszych publicystów są także m.in. znana blogerka Kataryna, pisarz popularnych powieści historycznych Jacek Komuda, Tomasz P. Terlikowski, Łukasz Warzecha (przeniósł się do nas z „Sieci"), Rafał A. Ziemkiewicz, Piotr Semka czy Matthew Tyrmand, z którym rozmawia Marcin Makowski. Informacji kulturalnych dostarczają m.in. Andrzej Horubała, Wiesław Chełminiak, Krzysztof Masłoń, Jan Pospieszalski i Piotr Gociek, a wydarzeniom ze świata przygląda się m.in. Jacek Przybylski. Z polskich celebrytów żartuje co tydzień Kamila Baranowska w rubryce „Na próżno", a z „lemingów" Artur Szeremeta tworzący rubrykę „Młodzi Wykształceni i z Wielkich Ośrodków". Barwną rzeczywistość, nie tylko polityczną, komentują obrazem rysownicy – Andrzej Krauze i Cezary Krysztopa.

NASZE DEBATY

Redakcja naszego tygodnika inspirowała i zorganizowała

eprasa.pl 65aebf6e22

wiele debat dotyczących problemów z naszej teraźniejszości i przeszłości. Wśród nich chyba najważniejszą – „Debatę o katastrofie smoleńskiej", możliwych przyczynach, skutkach i efektach, jakie wywołała oraz nadal wywołuje, oddziałując do dziś na społeczne emocje i ruchy polityczne. Przedstawialiśmy różne punkty widzenia, nowe ustalenia w sprawie, podając w wątpliwość krążące plotki. Wskazaliśmy też – co wśród prawicowych pism wcale nie jest modne – że podkomisja smoleńska Antoniego Macierewicza nie może poszczycić się wielkimi sukcesami, a wokół prac jej ekspertów jest sporo wątpliwości.

Nie mniej emocji wzbudziła zaproponowana przez nas dyskusja o powodach, szansach i racjach powstania warszawskiego rozpoczęta książką Piotra Zychowicza „Obłęd '44", w której redaktor naczelny „Historii Do Rzeczy" ostro skrytykował politykę przywódców Polskiego Państwa Podziemnego w czasie zrywu.

Debaty historyczne, jakie zainicjowaliśmy, to także przypomnienie zbrodni wołyńskiej, straszliwej śmierci, którą ponieśli z rąk bojówek UPA mieszkający na Wołyniu i Podolu nasi rodacy. Pisząc o zbrodniach na kresach, prowokowaliśmy – niekiedy do bardzo ostrej – dyskusji o tym, jak rozmawiać z dzisiejszą Ukrainą o trudnych momentach naszej historii. W ramach tej emocjonującej i mocno emocjonalnej dyskusji publikowaliśmy artykuły m.in. ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, Waldemara Łysiaka, Rafała A. Ziemkiewicza, Bronisława Wildsteina, a także polskich i ukraińskich historyków. Rosyjskie i ukraińskie reakcje na wydarzenia zachodzące w Polsce i Europie analizuje Maciej Pieczyński.

Publicyści „Do Rzeczy" zaczęli też debatę na temat zagrożenia dla Polski, które rodzi się za naszą wschodnią granicą, na Kremlu, gdzie znów odżywają mocarstwowe aspiracje. Tematyce stosunków polsko-rosyjskich, zagrożeniom, działalności „zielonych ludzików", wojnie informacyjnej i podkreślaniu konieczności modernizacji naszej armii poświęciliśmy wiele stron. Proponowaliśmy także daleko idącą dyskusję na temat zagrożenia ze strony wojującego islamu i niekontrolowanego napływu migrantów z Afryki. „To najeźdźcy, nie uchodźcy" – ostrzegał Rafał A. Ziemkiewicz.

„NIE BĘDĘ PREZYDENTEM"

Przez ostatnie pięć lat to właśnie tygodnik „Do Rzeczy" miał zaszczyt gościć na swoich łamach najbardziej znanych, wpływowych ludzi świata polityki, mediów i kultury, którzy za naszym pośrednictwem dzielili się swoimi przemyśleniami. To właśnie w tygodniku „Do Rzeczy" prezes PiS Jarosław Kaczyński wbrew doniesieniom konkurencyjnych tytułów jednoznacznie zadeklarował, że w wyborach w 2015 r. nie będzie ubiegał się o fotel prezydenta, bo „woli być premierem". „Nie mam ambicji prezydenckich, dlatego, że to premier jest w Polsce tym, który bardziej przystaje do funkcji szefa partii" – mówił naszemu tygodnikowi Jarosław Kaczyński.

Lider PiS jeszcze niejednokrotnie udzielał wywiadu „Do Rzeczy". W 2013 r. mówił, jak według niego Donald Tusk manipuluje opinią publiczną, i zdradzał swoje plany naprawy państwa. „Musimy rządzić sami" – deklarował Kaczyński. To także na łamach „Do Rzeczy" lider PiS we wzruszającej rozmowie opowiadał o swoim bracie, śp. Lechu Kaczyńskim. U nas też Kaczyński w rozmowie z Kamilą Baranowską po raz pierwszy nakreślił plan rozbudowy i zwiększenia liczebności polskiej armii, który teraz PiS realizuje, i w której opowiadał o sposobach na zakończenie konfliktu z UE, skarżył się też, że to on musi być opozycją wobec rządu.

„Prawa nie złamałem" – tak prezydent Andrzej Duda w rozmowie z „Do Rzeczy" odpowiadał na zarzuty naruszenia przepisów konstytucji przy powołaniu nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. W „Do Rzeczy" szeroko informowaliśmy o sporze wokół Trybunału Konstytucyjnego, który przez kilka miesięcy był głównym motorem napędowym działań opozycji. W rozmowie z Pawłem Lisickim, Piotrem Gabryelem i Kamilą Baranowską prezydent Andrzej Duda mówił też o kulisach negocjacji w sprawie prezydenckiego podpisu na „ustawach sądowych" i o sytuacji w obozie dobrej zmiany.

Jedno z cotygodniowych spotkań naszych publicystów i kierownictwa redakcji FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tygodnik „Do Rzeczy" był jedynym polskim pismem, któremu Marine Le Pen w przededniu wyborczego wyścigu we Francji

eprasa.pl 65aebf6e22

udzieliła wywiadu. Mówiła w nim o tym, jak zmieni się Francja, jeśli ona i jej Front Narodowy wygrają wybory, a Marek Magierowski i Olivier Bault analizowali, skąd u zwykłych Francuzów rosnące poparcie dla prawicy.

Z kolei lider Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna właśnie na łamach naszego tygodnika – co mocno oburzyło lewicowo-liberalną konkurencję – zadeklarował, że będzie się starał, by jego ugrupowanie „utrzymało konserwatywną kotwicę". Wcześniej, w styczniu 2014 r., gdy nikt jeszcze nie zakładał, że SLD znajdzie się poza parlamentem, Leszek Miller w głośnej, obszernie cytowanej rozmowie z Kamilą Baranowską mówił, iż nie przyjmie fotela wicepremiera, gdyby po wyborach miała rządzić koalicja PO-SLD, bo ma większy apetyt i zamierza rządzić Polską. Z obu tych deklaracji niewiele wyszło.

To właśnie na łamach „Do Rzeczy" przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r. Paweł Kukiz, lider ruchu Kukiz'15, w rozmowie z Wojciechem Wybranowskim zdradzał plany i pomysły na kampanię wyborczą oraz ujawniał, jak jego klub, jeśli znajdzie się w Sejmie, będzie w nim funkcjonował. Słynny polski koszykarz, występujący w lidze NBA Marcin Gortat, w obszernie później cytowanym wywiadzie mówił nam zaś, że po zakończonej karierze sportowej zamierza zająć się polityką, np. powalczyć o fotel prezydenta Łodzi. Natomiast Janusz Korwin-Mikke w rozmowie z Marcinem Makowskim zdradził, że na poważnie bierze pod uwagę rezygnację z mandatu europosła, a kilka dni później rzeczywiście ogłosił swój powrót do krajowej polityki.

Na naszych łamach nie brakowało także rozmów z ludźmi mediów i artystami. Mariusz Max Kolonko przekonywał, że naprawdę jest bardzo groźny, zaś Kazik Staszewski, wokalista rockowy, w rozmowie z Cezarym Gmyzem mówił o odnalezionych przez siebie w archiwach IPN dokumentach dotyczących jego ojca, z których wynikało, iż słynny „Tata Kazika" współpracował z SB. Wreszcie wielokrotnie sytuację w Polsce i na świecie recenzował w rozmowach z „Do Rzeczy" znany podróżnik i pisarz Wojciech Cejrowski.

NASZE ŚLEDZTWA I RAPORTY

Podstawową rolą dziennikarza jest kontrola władzy – zarówno tej państwowej, jak i na szczeblach samorządowych. Krótko po wybuchu słynnej „afery taśmowej" „Do Rzeczy" w artykule Cezarego Gmyza ujawniło nagranie rozmowy unijnej komisarz Elżbiety Bieńkowskiej z ówczesnym szefem CBA Pawłem Wojtunikiem. Z jego słów można było wywnioskować, że podpalenie budki pod ambasadą Federacji Rosyjskiej było prowokacją zrealizowaną na polecenie ówczesnego szefa MSW Bartłomieja Sienkiewicza.

Niedługo po tym ujawniliśmy także zapis rozmów Aleksandra Kwaśniewskiego i Ryszarda Kalisza, w których obaj politycy mówili m.in. o korupcji w instytucjach państwowych. Już po publikacji Kalisz usiłował zablokować kolportaż naszego pisma. W 2016 r. wygraliśmy proces z Ryszardem Kaliszem – sąd uznał, że publikując zapis bulwersującej rozmowy, działaliśmy w interesie społecznym.

Bywa jednak i tak – co pokazały rządy Platformy Obywatelskiej – że władza próbuje kontrolować dziennikarzy. Nasz tygodnik ujawnił i opublikował – potwierdzoną później oficjalnie przez późniejszego szefa CBA Mariusza Kamińskiego – listę kilkudziesięciu dziennikarzy, którzy byli rozpracowywani i inwigilowani przez ABW i SKW w okresie rządów PO-PSL. Do dziś śledztwo w tej sprawie prowadzi krakowska prokuratura regionalna.

Wcześniej, w lipcu 2013 r., zaledwie pół roku od startu naszego pisma, opublikowaliśmy – w artykule Piotra Gontarczyka – nieznane dotąd informacje dotyczące przeszłości Wojciecha Jaruzelskiego i jego powiązań ze zbrodniczą Informacją Wojskową.

Z kolei Piotr Gursztyn ujawnił list z pogróżkami, które rodzina hitlerowskiego zbrodniarza, współodpowiedzialnego za pacyfikację powstańczej Warszawy – Reinera Stahela – wystosowała pod adresem Muzeum Powstania Warszawskiego. Potomkowie nazisty, jak informowaliśmy jako pierwsi, grozili muzeum procesem za nazywanie ich przodka zbrodniarzem.

To także w tygodniku „Do Rzeczy" nasi czytelnicy mogli zobaczyć, klatka po klatce, wszystkie nieznane dotąd zdjęcia z 10 kwietnia 2010 r. z Donaldem Tuskiem i Władimirem Putinem w rolach głównych.

Wreszcie, idąc tropem strasznej tragedii, którą była katastrofa rządowego tupolewa pod Smoleńskiem, kilka miesięcy temu ujawniliśmy, że Tusk oddał Rosjanom możliwość prowadzenia śledztwa w sprawie katastrofy, mimo że dysponował wówczas analizami prawnymi, które wskazywały to jako błędne, niekorzystne dla Polski rozwiązanie, które być może uniemożliwi pełne wyjaśnienie przyczyn katastrofy.

Nie zabrakło u nas także artykułów „dekomunizujących" i lustrujących. To „Do Rzeczy" w obszernym materiale, w całości opartym na nieznanych wcześniej archiwach IPN, w artykule Gmyza i Wybranowskiego opisało tajne dotąd kulisy polowania SB na płk. Kuklińskiego. Wskazaliśmy wówczas, że źródłem informacji bezpieki był ulokowany w Watykanie agent SB o pseudonimach Latynos i Lamos. Według Sławomira Cenckiewicza był nim abp Janusz Bolonek.

Nie zabrakło nam też odwagi, by mierzyć się z prawdą nawet wtedy, gdy boleśnie uderza ona we własne środowisko i ludzi szczególnie dla Polski zasłużonych. W 2014 r. w artykule Sławomira Cenckiewicza i Piotra Woyciechowskiego ujawniliśmy, że bohaterski uczestnik powstania warszawskiego, wybitny naukowiec Witold Kieżun, w późnym okresie PRL został zwerbowany przez SB i został jej tajnym współpracownikiem o pseudonimie Tamiza. Publikacja wywołała burzę i falę wręcz furiackich ataków na nasz tygodnik. Te jednak szybko ucichły, gdy w Internecie zamieści-

eprasa.pl 65aebf6e22

liśmy pełne akta IPN dotyczące rejestracji agenta „Tamizy".

Nasza dziennikarka Agnieszka Niewińska przez pół roku, w ramach dziennikarskiego śledztwa, uczęszczała na zajęcia i spotkania radykalnych feministek, a co z tego wynikło, opisała w publikacji „Sekta gender", która odbiła się szerokim echem również w środowiskach lewicowych.

Na naszych łamach króluje oczywiście polityka, więc nie mogło zabraknąć newsów i sensacyjnych informacji dotyczących właśnie tej sfery życia. „Do Rzeczy" jako pierwsze ujawniło i opublikowało materiały jednoznacznie wskazujące, że Hanna Gronkiewicz-Waltz jako prezydent Warszawy wiedziała o kulisach stołecznych reprywatyzacji i działaniach podejmowanych przez urzędników. A te, jak wynikało z cytowanych przez nas pism, nacechowane były zaskakującą życzliwością wobec handlarzy roszczeniami.

Przybliżyliśmy też kulisy kontrowersyjnego przetargu na francuskie śmigłowce Caracal, prowadzonego tak, by – jak wskazywały informacje, do których dotarliśmy – wyłonić być może ustalonego już wcześniej zwycięzcę.

Z kolei olbrzymią burzę nie tylko na scenie politycznej wywołał wywiad, który Łukasz Zboralski przeprowadził z prof. Łukaszem Święcickim. Wybitny psychiatra, analizując zachowania działaczy totalnej opozycji na przykładzie KOD, zauważył, że wielu z „obrońców demokracji" nie bardzo wie, przeciwko czemu protestuje, nie śledzi bieżących wydarzeń, natomiast dało się porwać i zmanipulować narracji opozycyjnych mediów.

WCIĄŻ SIĘ ROZWIJAMY

Nie zmarnowaliśmy pięciu lat naszego „dzieciństwa", doczekaliśmy się także sporego, równie lubianego przez czytelników „rodzeństwa". Nieco ponad rok naszemu tygodnikowi towarzyszy portal DoRzeczy.pl, kierowany przez Antoniego Trzmiela i Zofię Magdziak. Jak wynika z danych za grudzień 2017 r., portal DoRzeczy.pl ma ponad 1 mln stałych użytkowników, przy tendencji rosnącej. W ostatnim miesiącu starego roku zaliczył ponad 7 mln odsłon.

Co miesiąc wydajemy także najbardziej popularny na rynku miesięcznik historyczny „Historia Do Rzeczy", kierowany przez Piotra Zychowicza, w którym publikują m.in. Sławomir Koper, Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Tomasz Lenczewski, prof. Marek Chodakiewicz, Krzysztof Masłoń, Piotr Włoczyk i Marcin Bartnicki. Od kilku miesięcy w Internecie działa także nasz portal – SuperHistoria.pl.

Przygotowaliśmy też wiele wydań specjalnych, m.in. „Bohaterowie i antybohaterowie", „Władza kobiet", „Rodzina jak z obrazka", a także kilka numerów specjalnych poświęconych największym bitwom oraz głośnym aferom. Staramy się też przybliżać naszym czytelnikom ciekawe pozycje książkowe i filmowe. W ramach „Do Rzeczy" wydaliśmy i dołączyliśmy do naszego pisma filmowe dokumenty historyczne, m.in. „Narodziny Państwa Polskiego", „Kochankowie z lasu", „Solidarność Walcząca", „Pseudonim Anoda", „Katyń". Wydaliśmy – lub też patronowaliśmy ich wydaniu – wiele książek, w tym m.in. „Moją Polskę" Szewacha Weissa, „Obalić system" Pawła Kukiza, „Sanację czy demokrację" Rafała A. Ziemkiewicza, „Paragraf 44" Marka Migalskiego i pracę zbiorową „Prezydent Lech Kaczyński. Odwaga i wizja".

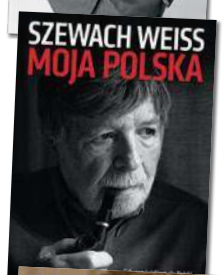

„Do Rzeczy" jest też twórcą cieszącego się coraz większą popularnością plebiscytu promującego polskie firmy – 100% Polski Produkt.

Nasi publicyści często występują także w innych mediach. Redaktor naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki prowadzi „Salon Polityczny Trójki", jest też współprowadzącym program „Moja strona. Bitwa redaktorów" w Wirtualnej Polsce; Cezary Gmyz jest korespondentem TVP w Berlinie; Piotr Semka współprowadzi „Klub Trójki"; Łukasz Warzecha prowadzi program „Wróżenie z faktów" w Polskim Radiu 24, a Kamila Baranowska jest redaktorem i prowadzącą programu „Środek tygodnia" w Radiu Plus. Rafał A. Ziemkiewicz współprowadzi program „W tyle wizji" w TVP Info oraz „Salonik Polityczny" w telewizji Republika, w której Piotr Gociek zaczął właśnie prowadzić program „Analfabet III RP". ©℗

100% polski produkt

Wojciech Wybranowski

„Do Rzeczy" przyznaje jedną z najbardziej prestiżowych w Polsce nagród historycznych – Strażnik Pamięci. Co roku, już od pięciu lat, honorujemy osoby, organizacje i instytucje oraz firmy, które w szczególny sposób wspierają polską historię.

STRAŻNIK PAMIĘCI

Laureatami naszego konkursu byli:

- **2013 r.:** twórcy serialu „Czas honoru", instytucje zaangażowane w projekt poszukiwań i identyfikacji ofiar komunizmu pochowanych na „Łączce", m.in. IPN oraz Ministerstwo Sprawiedliwości i Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie, a także Bank Zachodni WBK;
- **2014 r.:** prof. Andrzej Nowak, portal Polskie Radio oraz Tauron Polska Energia;
- **2015 r.:** Dariusz Malejonek wraz z „Pannami wyklętymi", Maciej Świrski – założyciel i prezes Reduty Dobrego Imienia, Artur Nowakowski i Bogdan Kaczmarek – sponsorzy Masztu Wolności na rondzie Zgrupowania AK „Radosław" w Warszawie;
- **2016 r.:** twórcy filmu „Wołyń", historycy stowarzyszenia Memoriał oraz Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych;
- **2017 r.:** poeta, eseista i dramaturg Jarosław Marek Rymkiewicz, Maciej Radziwiłł, Fundacja Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa im. Ignacego Łukasiewicza oraz stowarzyszenie Rodzina Ponarska.

eprasa.pl 65aebf6e22

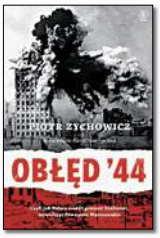

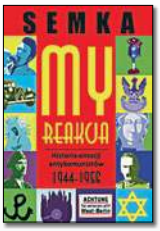

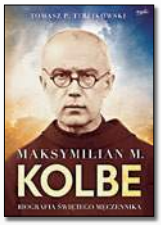

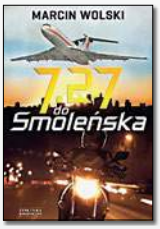

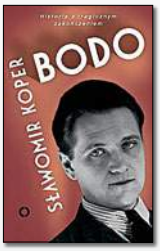

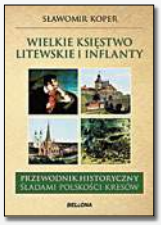

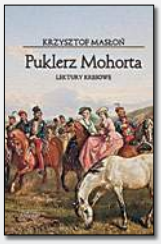

KSIĄŻKI AUTORÓW „DO RZECZY" Z LAT 2013–2018

Nadajemy ton

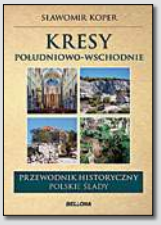

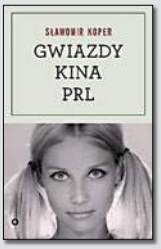

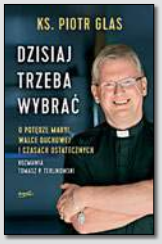

eprasa.pl 65aebf6e22

debacie

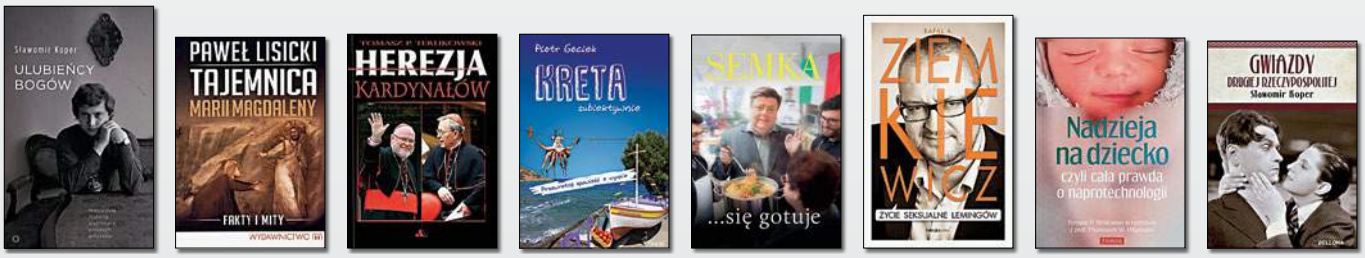

eprasa.pl 65aebf6e22

dwaj panowie g

Zaczniemy od złych ludzi. Opowiadają, że Rex Tillerson zajrzał do Polski nie tylko w sprawie Nord Stream 2, NATO itd. Otóż interesowała go również sprawa dekoncentracji mediów. Tak się bowiem składa, że amerykańskich kowbojów ze Scripps, którzy posiadają TVN, kupuje w USA gigant Discovery, który ma mocne plecy w Waszyngtonie. I ten gigant, rozumicie, chciałby wiedzieć, czy ktoś go w Polsce nie zdekoncentruje.

Z życia dziennikarzy. W czasach, gdy panowie G. pracowali w „Rzepie" i ujawniali aferę hazardową, zweryfikowanie materiałów i zebranie komentarzy zajęło działowi krajowemu sześć godzin. Kiedy „Rz" odpalała newsa o więźniach CIA w Szymanach, dyskusje z prawnikami oraz debata, czy ważniejszy news, czy interes państwa, zajęły sześć dni. Telewizji TVN zmontowanie materiału o operetkowych naziolach w lesie zajęło ponad pół roku. Nie widzimy innego wyjaśnienia jak takie: TVN jest po prostu ubogą telewizją, a w „Superwizjerze" pracują początkujący reporterzy.

Uwaga, uwaga, ministrowie się skarżą! Pan premier Mateusz nie ma bowiem czasu na nic i dla nikogo, taki jest zajęty. Do nowych standardów zajętości próbują równać niektórzy debiutanci w rządzie. Na przykład nowy szef Komitetu Stałego – Sasin Jacek. Na początek ogłosił Komitetowi, że zamiast spotykać się raz w tygodniu, owo ciało będzie się spotykać dwa razy w tygodniu. A jeśli potrzeba, to nawet może i trzy razy. Ciało zadrżało.

Cotygodniowa porcja wiadomości z resortu cyfryzacji. Chociaż ministerstwo przetrwało, to są chętni na wycięcie z niego niektórych części. Na przykład MEN chciałby sobie wziąć NASK. Nikt natomiast nie chce wziąć odpowiedzialności za widowiskowy krach systemu CEPIK, który nadchodzi szybkimi krokami. Stąd kłopot ze znalezieniem nowego ministra.

W kwestii Anki Streżyńskiej został wydany na Nowogrodzkiej przekaz dnia, który dzielnie przekazują dalej rozmaite PiS-owskie wiewiórki. Otóż: 1) nie była fachowcem, tylko media zrobiły z niej fachowca; 2) nawet jeśli była fachowcem, to kiepskim organizatorem. Odnotowujemy, że pojawienie się przekazu zbiegło się w czasie z publicznymi skargami Anki, iż wyleciała, bo nie chciała być politykiem, tylko fachowcem.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Ciechocinku. Prezydent Andrzej Sebastian przyjechał, by otworzyć wystawę „Niepodległa. Ojcowie Niepodległości". Niespodziewanie imprezę uświetnił także damski bokser, poseł Zbonikowski Łukasz, który ze wszystkich sił próbował się wkręcić w jakiś ładny kadr z Andrzejem Sebastianem. O, przepraszamy, powinno być „damski szarpacz". Sąd orzekł bowiem, że Zbonikowski nie bił, tylko szarpał.

Mamy nadzieję, że Zbonikowskiemu jednak nie udało się wkręcić na zdjęcia, bo nie chcemy, żeby prezydent Andrzej Sebastian musiał się kiedyś tłumaczyć, że nie bije żony i nie szarpie. Bo wiecie, takie teraz czasy. Jeśli jesteś z kimś na zdjęciu, to znaczy, że właściwie odpowiadasz za wszystko, co ten drugi zmalował. Dlatego z lubością patrzymy na stare zdjęcia Michnika z Macierewiczem.

Nareszcie! Autorytety wspierają prasę! Senator Stanisław Kogut wykupił ogłoszenie na dwie trzecie strony w „Naszym Dzienniku", by ogłosić, że jest niewinny. Wcześniej równie wielkie ogłoszenie dał tam prof. Janusz Kawecki. Też o kryształowości Koguta. „Nie mogę milczeć!" – zatytułował. To dobry początek, ale zachęcamy do wspierania prasy także instytucje państwowe. Na początek reklamę mogłoby wykupić CBA. Tytuł proponujemy podobny: „Nie możemy milczeć".

À propos senatora Koguta i słynnego głosowania, podczas którego senatorowie ocalili go przed aresztowaniem. Wiewiórki mówią, że jest robota. Już w 2019 r. zwolni się kilkanaście biorących miejsc na listach PiS do Senatu. Zgłoszenia można wysyłać na Nowogrodzką. Takie czasy, widzicie. Na tym etapie w Zjednoczonej Prawicy bardziej opłaca się wspierać Kurę niż Koguta.

Drodzy PiS-owcy. Jeśli myślicie, że zarzuty dla senatora Koguta wyczerpały możliwości CBA i prokuratury ścigania PiS-owców, to jesteście w mylnym błędzie. Wiemy, co mówimy, bo cytujemy wiewiórki z okolic Bejdy i Święczkowskiego. Z dziennikarskiego obowiązku przypominamy, że jeśli sami się zgłosicie do organów ścigania i złożycie spowiedź z korupcji, to oszczędzi to wam pobudki o szóstej rano.

Jeszcze drożsi platformersi. Jeśli myślicie, że Stasiu Gawłowski wyczerpał możliwości CBA w ściganiu łapówkarzy z PO, to również jesteście w mylnym błędzie. Reszta – patrz wyżej.

Droga opozycjo pozaparlamentarna skupiona wokół Człowieka Romana Zwanego Koniem i miesięcznika „Służby Specjalne" tudzież innych periodyków wydawanych przy Konopnickiej! Jeśli myślicie, że CBA i prokuratorzy dadzą spokój, zamykając wam kilku kumpli, to i wy jesteście w mylnym błędzie. Na razie posadzono ich za jakieś waciki. Spieszymy też donieść, że szukanie kryszy poprzez próby zapisywania się na gwałtu rety do PiS jest skazane na niepowodzenie. Musimy was zmartwić, CBA też to widzi, a jeszcze maluczko, a i wy to ujrzycie.

Teraz powinniśmy się zwrócić do PSL. Nie będziemy się rozpisywać. Napiszemy tylko, że lewe finansowanie kampanii wyborczych jest czymś, co nie umknęło uwadze powyższych organów. Moglibyśmy jeszcze wyliczać tak dalej, przypominając SLD. Ale po co? Jak mówi Juras człowiek orkiestra – będzie się działo.

Kronika modowa. Wiceminister Patryk Jaki uzupełnił garnitur trzecią częścią i zaczął paradować w kamizelce.

eprasa.pl 65aebf6e22

Zapytany, czy to kurs na bardziej konserwatywny sznyt, odparł, że nie. Że po prostu jest mu zimno.

Zapytaliśmy przypadkowo napotkanego eksministra środowiska Jana Szyszkę, czy plusem dymisji nie jest to, że ma teraz więcej czasu. „Wręcz przeciwnie – rzekł. – Mam teraz mniej czasu, bo tyle jest do zrobienia". Nie wiemy, co miał na myśli, ale czujemy się lekko wystraszeni.

Gowin Jarosław to cwana gapa. Nie tylko podstępnie jeździ po Polsce, kłusując na działaczy wrogich partii, lecz także jeszcze organizuje konfy prasowe w soboty i niedziele, czyli kiedy nic się nie dzieje. I nieszczęśni dziennikarze nie mają innego wyjścia, tylko iść na Gowina. Zwłaszcza że nigdy nie wiadomo, czy nie ogłosi, iż znów będzie kogoś przyjmował. No bo nazwy zapowiadanych konferencji rozsyłane wcześniej e-mailem nie brzmią zbyt zachęcająco: „Zapraszamy na omówienie bieżącej sytuacji politycznej".

À propos bieżącej sytuacji politycznej: chcieliśmy ustalić bieżącą sytuację Ryśka Petru, ale jest to niemożliwe.

Ponieważ najwięcej w PKPSLUED jest ludowców oraz demokratów, proponujemy nazwę Demoludy

Gdyż Rysiek jest nie wiadomo gdzie i robi nie wiadomo co. Czyli Plan Petru.

Trudno mieć pozytywny stosunek do tego, co robi Ryszard Petru w ostatnich dniach i tygodniach" – oświadczył Leszek Balcerowicz, nasz ulubiony profesor. Cieszymy się, że ma pozytywny stosunek do wszystkiego, co Ryszard robił wcześniej.

Chyba powstał PKPSLUED. W największym skrócie. Czyli Parlamentarny Klub Polskiego Stronnictwa Ludowego i Unii Europejskich Demokratów. Ponieważ nikt nie jest w stanie tego powtórzyć, jesteśmy zmuszeni wymyślić nazwę potoczną. Ponieważ najwięcej w klubie jest ludowców oraz demokratów, proponujemy Demoludy.

A nie, właściwie to powstało co innego: federacyjny klub parlamentarny. Też ładnie. Proponujemy skrót FaKaP. Klub powstał dzięki temu, że Misiek Kamiński został posłem czasowo pełniącym obowiązki ludowca. Widzieliście zdjęcia. Najszczęśliwszy ludowiec w historii ruchu ludowego.

Alternatywą dla nazwy „Demoludy" była nazwa „Ludemokraci". Też by się nadała. Pasowałaby szczególnie do Jacka Protasiewicza, znanego z zamiłowania do napojów różnych. Mógłby na spotkaniach klubowych wznosić toasty, wołając: „No to lu, demokraci!". Zawsze to lepsze od „Heil Hitler!".

Tymczasem w Warszawie. Marek Jakubiak pogodził się, że nie będzie kandydatem kukistów na nową Hankę Kamienicznik-Waltz. Z kolei wicemarszałek Tyszka Staszek zaczyna się wahać, czy nadal chce być tym kandydatem, bo w sumie wiele można stracić. W tej sytuacji sensu nabierają deklaracje Korwina Krula, który właśnie wypisuje się z europarlamentu, żeby kandydować na prezydenta Warszawy. ©℗

REKLAMA

JAMES BLUNT
THE AFTERLOVE TOUR
KONCERT
12 MAJA 2018
TORWAR WARSZAWA
BILETY: PRESTIGEMJM.COM | EBILET.PL | EMPIK
/JAMES-BLUNT
JAMESBLUNT.COM
/JAMESBLUNT

Prestige MJM 10 lat
REGENT WARSAW HOTEL
Radio złoteprzeboje
wprost Rzeczy VIVA! flesz Party InStyle Gitarzysta Gazeta Bankowa
pap Multikino empik 4GOLD PRESS SERVICE VIXON STRÖER cgm.pl onet

eprasa.pl 65aebf6e22

niepodległa | POLAND THE CENTENARY OF REGAINING INDEPENDENCE

POLISH AMERICAN LEADERSHIP SUMMIT

POLAND INVESTMENT ZONE

9 - 11 lutego, 2018 r.

Miami na Florydzie, USA

Najważniejsze wydarzenie w polsko-amerykańskich stosunkach gospodarczych w 2018 r.
300+ uczestników, przedstawicieli świata biznesu i polityki, liderów i decydentów z Polski i Stanów Zjednoczonych

W PROGRAMIE:

transfer wiedzy między USA i Europą Centralną
strategiczne bezpieczeństwo obronne i energetyczne oraz jego ekonomiczne konsekwencje dla regionu
odblokowanie potencjału transatlantyckiej wymiany handlowej
nawiązanie bezpośrednich relacji między krajami sojuszniczymi

SZCZEGÓŁOWA AGENDA I REJESTRACJA NA

February 9th-11th, 2018

Miami, FL, USA

The most important event for Polish-American economic relations in 2018.
300+ Polish and American political and business leaders

ON AGENDA:

knowledge transfer between the USA and Central Europe
strategic defense and energy security and its economic implications for the CE region
unlocking transatlantic trade
creating direct business relations between two allied regions.

FOR DETAILED AGENDA AND REGISTRATION VISIT

RTMX.PL

#PALS

leadershipsummit@rtmx.pl

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

eprasa.pl 65aebf6e22

THE HONORARY PATRONAGE
OF THE PRESIDENT
OF THE REPUBLIC OF POLAND
ANDRZEJ DUDA

OVER THE #PALS CONFERENCE
ON FEB 9TH, 2018

STULECIE · ODZYSKANIA · NIEPODLEGŁOŚCI
1918 · 2018

STRATEGIC PARTNERS

LOTOS

KGHM POLSKA MIEDŹ

GOLD PARTNERS

TAURON

Enea

BRONZE PARTNERS

PHN

SUPRA BROKERS®

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Bank Pocztowy

Poczta Polska

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

PROGRAM PARTNERS

WARSAW SECURITY FORUM

Polska Agencja Inwestycji i Handlu Grupa PFR

PATRONAGE

The American Institute of Polish Culture Inc.

ORGANIZED BY

PMPG POLSKIE MEDIA SA

RTMx Round Table Mixer

CONTRIBUTORS

Europejskie Centrum Innowacyjnej Myśli Publicznej

POLISH - AMERICAN CHAMBER OF COMMERCE OF FLORIDA AND THE AMERICAS

POLISH-AMERICAN WE

Polish American Chamber of Commerce in Texas

Cámara de Comercio Hispano-Polaca | Hiszpańsko-Polska Izba Handlowa

Chambre de Commerce et d'Industrie Polonaise en France

WARSAW INSTITUTE

US-POLAND BUSINESS COUNCIL

COPERNIC

CALIFORNIA SPACE CENTER

Warszawska Wyższa Szkoła Informatyki

Dr. Matt

wprost NIERUCHOMOŚCI

MEDIA PARTNERS

wprost

RZECZY

HISTORIA

SUPER HISTORIA.pl

inwestorzy.tv

nowy dziennik POLISH WEEKLY

TVP

TVP POLONIA

LOGISTICS PARTNER

POLISH AIRLINES LOT A STAR ALLIANCE MEMBER

eprasa.pl 65aebf6e22

Ćwierć wieku dorabiania brunatnej gęby

Rafał A. Ziemkiewicz

Robienie z Polaków faszystów to kolejny etap trwającego od lat procesu zohydzania naszego kraju. Kto ma interes w tym, by przedstawiać Polskę w złym świetle, i czemu w tym procederze uczestniczą również Polacy?

Jest prawda czasów, o których mówimy, i prawda ekranu, która mówi" – wyjaśniał w sławnym „Misiu" reżyser Zagajny. Z taką właśnie, mówiąc po marksistowsku, „jednością przeciwieństw" mieli okazję zetknąć się widzowie „Faktów" TVN, kolejny, czwarty już z kolei dzień „grzejących" wyemitowany przez tę stację reportaż o subkulturowej grupce nazistów z Wodzisławia Śląskiego, czczących w lesie toastami i tortem z ułożoną z czekoladowych wafelków swastyką urodziny Adolfa Hitlera. W jednym z dwóch materiałów (łącznie poświęcono temu tematowi prawie 10 minut programu) pojawił się staruszek, przedstawiony jako kombatant II wojny światowej, który oznajmił, że sfilmowana przez TVN impreza neonazistów była „dalszym ciągiem Marszu Niepodległości". Z prawdą czasu jest to w oczywisty sposób sprzeczne, bo urodziny Hitlera są w kwietniu, więc łączenie grupki nazioli z Marszem jest oburzające i nieuprawnione. Jednak prawda ekranu, która przemówiła z tego fragmentu „Faktów", jest niezaprzeczalna: wielodniowa kampania propagandowa nie tylko samej TVN, lecz także wielu innych mediów krajowych i zagranicznych, w której grupkę skinów z prowincji podniesiono do rangi symbolu współczesnej Polski i dowodu jej „staczania się w otchłań", to niewątpliwie dalszy ciąg tej samej propagandowej operacji, której może najbardziej spektakularną częścią było wielkie kłamstwo o „60 tys. nazistów maszerujących w Warszawie, zaledwie 300 km od Auschwitz", ale która w istocie trwa od wielu lat.

Częścią tej operacji jest zamykanie ust wątpiącym w jej przekaz argumentem, że każdy, kto się z nim nie zgadza, co najmniej „relatywizuje" nazizm, a wręcz podpisuje się pod nim. Zdrowy rozsądek jednak nie daje się zakrzyczeć i podpowiada rzecz oczywistą: choćby tysiące autorytetów nie wiedzieć jak głośno wydzierało się dzień w dzień w „prajmtajmie" głównych telewizji, trzy transparenty o „białej rasie" wniesione na Marsz bez czyjejkolwiek zgody czy kilka wzniesionych na nim antyimigranckich okrzyków nie czynią z wielkiej patriotycznej manifestacji czczącej rocznicę niepodległości marszu nazistowskiego ani antysemickiego. I tak samo w żaden sposób nie można istnienia grupki durniów, którzy ukryci w lesie wznoszą przy płonących swastykach toasty „za Adolfa Hitlera i naszą ojczyznę, kochaną Polskę" (co samo w sobie jest dowodem ich skrajnej głupoty i niewiedzy), uznawać za dowód na cokolwiek. Szczególnie na tle ogólnej sytuacji w Unii Europejskiej, gdy w samych tylko Niemczech w ubiegłym roku odbyło się, wedle danych policyjnych, 466 neonazistowskich manifestacji, w większości legalnych i ochranianych przez policję, oraz doszło tam, wedle tego samego źródła, do 41,5 tys. „przestępstw z nienawiści".

PODŁOŚĆ SALONU

Groteskowa przesada w komentarzach, graniczące z absurdem nadużywanie wielkich słów i kwantyfikatorów właściwie uniemożliwiają jakąkolwiek racjonalną rozmowę. Zresztą wszyscy wiedzą, że w mnogich medialnych dyskusjach: „Czy Polsce zagraża faszyzm?" w najmniejszym stopniu nie chodzi o udzielenie odpowiedzi na owo pytanie (jest ona zresztą oczywista: nie), o żadną socjologiczną diagnozę czy znalezienie sposobu zaradzenia zdarzeniom takim jak podpatrzone przez TVN leśne obchody urodzin Hitlera, tylko o intoksykację, o wyindukowanie w poddanych propagandzie umysłach wrażenia: „Skoro tyle o tym mówią, to coś musi być na rzeczy".

Znamy to doskonale, opisywaliśmy i protestowaliśmy wielokrotnie, także piórem niżej podpisanego (zachęcam choćby do sięgnięcia po okładkowy materiał z nr. 13/2014). Lamenty i przestrogi, że „w Polsce wzbiera brunatna fala", są od zarania III RP jednym z żelaznych punktów repertuaru jej „autorytetów", „salonów" i mediów. Od pierwszych numerów „Gazety Wyborczej" i pierwszych „naziemnych" tekstów Adama Michnika oraz jego drużyny (zresztą także w tych podziemnych, np. w „Krytyce") powtarzają się oskarżanie Polski o antysemityzm, „pogromową gotowość", przestrogi przed tkwiącym w Polakach „czarnosecinnym potencjałem" i pogromami, do których nieuchronnie dojdzie, jeśli pozwoli się na jakiekolwiek rozliczenia z komunizmem czy też demaskowanie donosicieli oraz kolaborantów. Było w tym nieco autentycznego, histerycznego strachu, po części płynącego ze środowiskowej traumy marca 1968 r., po części z mocno obelżywego wobec Polaków przekonania, że jeśli się im „popuści", to zechcą za winy komunistów żydowskiego pochodzenia mścić się na ich dzieciach, licznych w środowisku „opozycji demokratycznej", i na wszystkich Żydach w ogóle. Jednak okładanie wszystkich prawicowców i patriotów, poza tymi koncesjonowanymi przez Unię Demokratyczną, pałką oskarżenia o „faszyzowanie" przybrało ogromne rozmiary przede wszystkim dlatego, że pomówienia te były niezwykle skuteczne, szczególnie gdy szło o pozbawienie wrogów sympatii opiniotwórczych i politycznych elit Zachodu.

eprasa.pl 65aebf6e22

Jest to temat wart książki – historia ćwierćwiecza podłości lewicowego salonu, cynicznego używania przez michnikowszczyznę i pokrewne jej ferajny kalumnii oraz oszczerstw przeciwko zarówno własnym rodakom w kraju, jak i wobec zagranicy. Przykładów starczyłoby na kilka opasłych tomów – nie było w latach 90. politycznego przeciwnika beneficjentów dealu z Magdalenki, którego nie traktowano by dyskredytującymi, a procesowo bezpiecznymi (zwłaszcza przy nieskrywanej sympatii okazywanej wielokrotnie michnikowszczyźnie przez orzekających w sprawach o ochronę dóbr osobistych sędziów) etykietami w rodzaju „faszyzujący", „brunatny" etc. W pewnym okresie dotyczyło to osób dzisiaj doskonale z tymi środowiskami zblatowanych, na czele z Lechem Wałęsą, którego Michnik porównywał do Mussoliniego, a jego wieczny „pełniący obowiązki" Jarosław Kurski demaskował, że prywatnie o środowisku Geremka były prezydent nie mówi inaczej niż „żydostwo", ale i wielu pomniejszych, w rodzaju Tomasza Wołka, Michała Kamińskiego czy Romana Giertycha. W ich późniejszym „zblatowaniu" jest zresztą logika: władni zdjąć ze „skruszonego" prawicowca odium antysemity i faszysty byli wszak tylko ci, którzy je rzucili.

Kto ciekaw, niech sięgnie do doskonale ilustrującej gangsterski modus operandi sprawujących wówczas niepodzielnie „rząd dusz", a dziś szczęśliwie już upadłych „elit" III RP książki Sergiusza Kowalskiego i Magdaleny Tulli pt. „Zamiast procesu. Raport o mowie nienawiści" z roku 2003. Jako antysemici napiętnowani tam zostali m.in. ówczesny prymas Józef Glemp, Janusz Korwin-Mikke, Antoni Macierewicz, Waldemar Łysiak, Jan Olszewski, właściwie wszyscy publicyści i politycy kojarzeni z prawicą. A to w ten prosty sposób, że za przejaw antysemityzmu uznawali autorzy tego dzieła np. wszelkie uwagi krytyczne na temat Unii Europejskiej, a już określanie jej np. mianem eurokołchozu było dowodem wspomnianego wyżej „faszyzowania".

ZOHYDZANIE POLSKI

Jeśli przeciętnego Polaka dziwi łatwość, z jaką przed kilkoma miesiącami zachodnie salony i media podchwyciły wyprodukowanego przez korespondentkę Associated Press (od lat zresztą zżytą ze wspomnianymi upadłymi elitami) fake newsa o przemarszu przez Warszawę 60 tys. nazistów, to dlatego, że zwyczajnie o wyżej wspomnianych sprawach nie wie. Nie wie, że to, co dla nas jest horrendalne, zachodnim

eprasa.pl 65aebf6e22

elitom do ich obrazu Polski doskonale pasuje. Ten obraz bowiem od lat opierają na tym, co wiedzą od swoich polskich przyjaciół – polityków liberalnych, socjalistycznych czy „ludowych" europejskich międzynarodówek, dziennikarzy, stypendystów, bywalców artystycznych festiwali. A ci latami przekonywali ich, że potrzebują jeszcze więcej zachodnich grantów, protekcji i wszelkiego rodzaju wsparcia, ponieważ stanowią niejako cieniutką warstewkę cywilizacyjnej pozłoty, trzymającej w ryzach z natury ciemną, skłonną do rasizmu, faszyzmu i wszelkich możliwych podłości polską tubylczą masę. Że Polska tylko na powierzchni jest wzorcem neoliberalnego sukcesu, w swej istocie to wciąż nacjonalistyczna, katolicka i zacofana dzicz.

Polski czytelnik zaś o tym trwającym od zarania III RP codziennym procederze zohydzania Polski i o jego skali dowiedzieć się nie miał skąd ani jak. W środowisku dziennikarskim było tzw. tajemnicą poliszynela, że wymykające się postanowionemu w Magdalence monopolowi medialnemu przedsięwzięcia, takie jak tygodnik „Spotkania" czy telewizja RTL7, zniszczone zostały poufną przestrogą zachodnich inwestorów przez tutejszych, w przekonaniu Europy bohaterów Solidarności, że zadali się z polskimi faszystami. Wiadomo nawet, kto z tym donosem do nich pojechał i kiedy, ale wiedzieć a móc ujawnioną wiedzę procesowo obronić, zwłaszcza przed „rozgrzanym" sędzią, to dwie różne sprawy.

Oczywiście zohydzanie własnego kraju przez łaszące się o zachodnie pieniądze czy nagrody literackie „elity", łączące w tym cyniczne interesy z typową w krajach postkolonialnych skłonnością do oikofobii, nie są jedynym źródłem antypolskiego resentymentu. Już przed wojną opisywał w swych „Kronikach Tygodniowych" Antoni Słonimski, z jaką nienawiścią odnoszą się do Polski amerykańscy Żydzi i jak korzystają z każdej okazji, by Polskę przed światem poniżać i oskarżać. Istotnymi impulsami była za czasów PRL pomarcowa emigracja, w znacznym stopniu złożona z byłych komunistów i stalinowskich zbrodniarzy, którzy przedstawiając kraj wygnania w najczarniejszych barwach, chętnie i skutecznie wybielali w oczach Zachodu własne winy (właśnie jeden z typowych przedstawicieli takiej formacji był źródłem narracji o Jedwabnem, na której bezkrytycznie oparł swą głośną książkę Jan Tomasz Gross) – po roku 1989 zaś nadzieja grandziarzy od „Holocaust industry", jak nazwał to Norman Finkelstein, że „atakując i upokarzając Polskę", jak wezwał Elie Wiesel, wyduszą z niej sowity haracz, podobnie jak zrobili to ze szwajcarskimi bankami, firmą IBM i wieloma innymi. Czarny stereotyp Polski jest rozbudowany i ugruntowany od wielu lat, służy bardzo konkretnym politycznym oraz finansowym interesom, które są silne i – jak pokazują choćby starania o antypolskie prawo w USA, niestety, wieńczone ostatnio sukcesami – wciąż aktualne.

Jednak rolę decydującą odgrywa inspiracja płynąca stąd, z Polski, od tych, których ostatnie wybory i dokonujące się po nich zmiany „wysadziły z siodła". Przykładem z samej góry jest Lech Wałęsa, który skorzystał z okazji, by w mediach społecznościowych zapewnić – także w języku angielskim – że „w Polsce jest faszyzm", i jasno obciążyć winą za to PiS. Wałęsa nie próbuje nawet ukrywać swych motywacji, na jednym oddechu jako dowód „faszyzmu" obecnych władz Polski podając to, że „próbują wymazać go z historii". Jednak Zachód prawdy o Wałęsie nie zna i znać nie chce, traktuje go jako wiarygodne i obiektywne źródło wiedzy, podobnie jak wielu innych, którzy mają nadzieję mobilizowaniem przeciwko Polsce świata odwrócić bieg wydarzeń albo, nawet już tej nadziei nie mając, po prostu się na Polsce zemścić.

Mniej wpływową od „wysadzonych z siodła", ale równie zainteresowaną szerzeniem kłamstw o „brunatnej fali" w Polsce grupą jest wreszcie lewica, już nie postkomunistyczna, ale ta „tęczowa", próbująca swego „długiego marszu" i finansowana w nim niemal wyłącznie z zachodnich pieniędzy (jak otwarcie przyznał to Sławomir Sierakowski). Od zawsze zresztą lewica w Polsce wychowywana była – i tak pozostało – w przekonaniu, że tubylcom trzeba ich cywilizacyjne zacofanie „wybić z głów", jak otwarcie mówił Tadeusz Kroński, „sowieckimi kolbami" (tyle że obecnie rolę kolb mają odegrać unijne dekrety i sankcje). Jej apele i oskarżenia są szczególnie oburzające w sytuacji, gdy na urządzanych przez partię Razem i podobne gremia manifestacjach wymachuje się czerwonymi flagami i powtarza „ustalenia" PRL-owskiej propagandy oraz zakłamanej historiografii o żołnierzach wyklętych, Armii Krajowej i „faszystowskiej" Polsce międzywojennej. Wprawdzie „mądrość etapu" każe otwarcie się od komunizmu w wydaniu sowieckim odżegnywać, a nawet uciekać się w takich sytuacjach do procesów sądowych, ale neokomuniści są przez obłudne salony – zarówno krajowe, jak i zagraniczne – przyzwyczajeni do całkowitej bezkarności i do stosowania w dyskursie medialnym prawie podwójnej miary wobec zbrodniczych totalitaryzmów. Łatwo sobie wyobrazić, co działoby się, gdyby na ogólnie dostępnych forach narodowców ktoś złożył deklarację: „Jestem nazistą i jest nas w organizacji wielu, działamy wspólnie na rzecz przybliżenia nazistowskiej rewolucji, choć rozumiemy, że kierownictwo na razie musi się oficjalnie odcinać". Tymczasem taka właśnie deklaracja niejakiego Łukasza Molla, działacza partii Razem, dotycząca komunizmu, już drugi miesiąc wisi na portalu Strajk.eu i bynajmniej nie zaowocowała ani wyrzuceniem go z partii, ani potępieniem jej samej przez tzw. wiodące media.

IDIOCI I PROWOKATORZY

Odsunięte od wpływów elity III RP, rządy, korporacje i lobby usiłujące wymusić na Polsce zyskowne dla siebie działania lub zaniechania, rozmaite jaczejki postmarksistowskie – to poważny przeciwnik dla postulowanej przez prof. Zybertowicza „MaBeNy", polskiej „maszyny bezpieczeństwa narracyjnego", która miałaby obraz Polski w świecie chronić. Tym bardziej że do tego wszystkiego oszczercy zawsze liczyć mogą u nas na „pożytecznych idiotów", którzy będą wmawiać, iż skoro trafiają się w Polsce neonaziści, to nie wolno zaprzeczać złu ani go relatywizować, trzeba uderzyć się w piersi i przeciwdziałać.

Otóż przestępcy, idioci, różnego rodzaju chorzy z nienawiści istnieją wszędzie i oczywiście przeciwdziałać im należy wszystkimi środkami, jakie dają prawo i aparat państwowy. Jednak nawet, gdyby udało się ich zresocjalizować wszystkich co do jednego, są jeszcze od zarania dziejów prowokatorzy. A gdyby i oni zawiedli, można zawsze użyć jakiejś manipulacji, uczepić się nieistotnego szczegółu, przeinaczyć albo i skłamać najzupełniej bezczelnie, nazwać nazistami organizacje lub osoby niemające z nazizmem absolutnie niczego wspólnego, przedstawić jako nazistowski parteitag manifestację antyaborcyjną albo nawet procesję Bożego Ciała. I wszystkie te sposoby są przeciwko Polsce wykorzystywane. Nie dlatego, żeby istniały powody, by martwić się w Polsce „brunatnym zagrożeniem", ale dlatego, że wielu ma powody, by Polskę zniesławiać, poniżać i dyskredytować.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„NACJONALIZM TO DOBRA RZECZ" – ROZMOWA Z LÁSZLÓ TOROCZKAIM, WICEPREZESEM NACJONALISTYCZNEJ WĘGIERSKIEJ PARTII JOBBIK **NA STR. 74**

eprasa.pl 65aebf6e22

Twarze ekstremizmów

Organizacja Duma i Nowoczesność to w Polsce bardzo wąski margines. Jej działacze – po materiale „Superwizjera" TVN – zostali zatrzymani na polecenie prokuratury w związku z podejrzeniem promowania zbrodniczego totalitaryzmu nazistowskiego

Kadr z materiału „Superwizjera" TVN

Pierwszomajowa manifestacja organizacji skrajnie lewicowych FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS

Nie ulega wątpliwości, że w Polsce, na obrzeżach skrajnych środowisk, tworzą się, na razie niewielkie, subkulturowe organizacje ekstremistyczne, które w przyszłości mogą stanowić problem. „Do Rzeczy" wielokrotnie – również za rządów PO – alarmowało o problemie, niestety często bez rezultatu.

EKSTREMIZM BRUNATNY

Szturmowcy – opinia publiczna po raz pierwszy usłyszała o nich po Marszu Niepodległości w Warszawie, na którym rozwinęli rasistowskie transparenty. „Do Rzeczy" przedstawiło wówczas wyniki dziennikarskiego śledztwa, w którym ujawniliśmy kulisy funkcjonowania grupy od niedawna tworzącej się na marginesie środowiska narodowców, czerpiącej z lewicowych ideologii: faszystowskich i narodowo-socjalistycznych, nawiązując poglądami oraz symboliką m.in. do strasserowców czy przedwojennych faszystów Oswalda Mosleya. Nie mają sformalizowanej struktury, tworzą niezależne „grupy" w różnych miastach kierowane przez lokalnych watażków. To grupa ok. 200–300 20-, 30-latków, marzy im się stworzenie quasi-faszystowskiej, rasowej międzynarodówki. Latem ubiegłego roku uczestniczyli m.in. w manifestacji organizowanej w Szwecji przez Nordycki Ruch Oporu – neonazistowską organizację stawiającą sobie za cel stworzenie „północnej republiki socjalistyczno-narodowej". Skupieni wokół pisma „Szturm" są mocno aktywni w Internecie – po naszej publikacji otrzymaliśmy tą drogą wiele pogróżek.

Radykalne Południe – niewielka kilkudziesięcioosobowa grupa działająca głównie w Katowicach. Środowisko powstałe w kontrze do Ruchu Narodowego, uważające udział narodowców w polityce za „zdradę idei". Znane jest z uczestnictwa w akcjach o charakterze bojówkarskim nazywanych przez nich „nacjonalizmem szturmowym".

White Boys – podobnie marginalna jest grupa zlokalizowana głównie we Wrocławiu i w okolicznych miasteczkach, częściowo wywodząca się ze spenetrowanego przez służby środowiska Blood and Honour o nazwie White Boys. To nienależący do żadnej formalnej organizacji uliczni zadymiarze, kolejna odsłona znanego w latach 90. ruchu nazi-skins.

EKSTREMIZM CZERWONY

Antifa – „Broń palna to anarchizm w akcji, to narzędzie, które uwalnia od polegania na hierarchicznej władzy" – taki apel, wraz z wezwaniem do stosowania czynnej przemocy wobec funkcjonariuszy policji, pojawił się latem tego roku na jednej z polskich stron WWW kojarzonej z międzynarodową bojówką o nazwie Antifa, skupiającej środowiska anarchistyczne, komunistyczne i marksistowskie. Ciesząca się złą sławą Antifa w Polsce nie ma formalnej struktury, pod tym szyldem kryją się bojówkarze należący do kilku organizacji komunizujących i anarchistycznych, coraz mocniej powiązanych w międzynarodową sieć. W Polsce stało się o niej głośno, gdy w roku 2011 jej bojówkarze, w tym spora grupa przybyszów z Niemiec, napadli na członków grup rekonstrukcji historycznej, następnie starli się z policją i uciekając przed nią, znaleźli schronienie w lokalu „Krytyki Politycznej". Na swojej stronie WWW Antifa szkoli, jak walczyć m.in. przy użyciu koktajli Mołotowa z policją, szczyci się napadami na sympatyków konserwatywnej prawicy. W Niemczech jej działaniom przygląda się Federalny Urząd Ochrony Konstytucji, w Polsce zdarza się, że na wiecach „antyfaszystów" pojawiają się lewicujący politycy, m.in. prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak.

Zmiana – „Strzał w tył głowy w rowie katyńskim" – taką „dyscyplinę olimpijską" proponował działacz partii Zmiana w Wielkopolsce, Bartosz Tomassi. Został już z ugrupowania wyrzucony, zatrzymała go też policja, ale wokół partii, której lider i założyciel Mateusz Piskorski podejrzewany jest o współpracę z rosyjskim wywiadem, skupili się ludzie o komunistycznych poglądach. Ugrupowanie jest skrajnie prorosyjskie.

Komunistyczna Partia Polski – działające od 2002 r. niszowe ugrupowanie bez znaczenia politycznego, liczące w skali kraju ok. 200 osób. W swoim statucie przekonuje: „Dopiero komunizm uwolni ludzkość od niepewności jutra, od strachu przed wojnami, od nędzy i poniżenia". Mimo że propagowanie komunizmu w Polsce jest prawnie zabronione, KPP ma status partii politycznej, a żadna kolejna władza nie zdecydowała się na jej zdelegalizowanie.

Postępowa Młodzież Polski – organizacja nielegalna. Podobna jest profilem do KPP, choć znacznie bardziej agresywna w retoryce. Wzywa do przemocy wobec „burżujów" i „faszystów", propaguje komunizm i wzywa do obalenia „kapitalistycznej władzy". ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

Z senatorem Janem Żarynem
rozmawia Wojciech Wybranowski

Burza na zamówienie

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Zauważył pan falę nazizmu, która ma, według części polskich i zachodnich mediów, np. ABC News, ponoć wzbierać w Polsce?

PROF. JAN ŻARYN: Punktowa histeria, z jaką mamy do czynienia za sprawą głównie TVN i mediów zbliżonych profilem do tej stacji, jest zupełnie niewspółmierna do zjawiska, z którym mamy do czynienia. Ludzie wykonujący gesty nazistowskie czy odwołujący się do nazistowskiej ideologii w polskim społeczeństwie stanowią absolutny margines marginesu, patologię, dla której nie ma i nigdy nie było miejsca w przestrzeni publicznej. Oczywiście każdy przejaw takich zachowań należy jednoznacznie piętnować, potępiać i ścigać. Nie mam też cienia wątpliwości, że ideologia nazistowska, gesty, zachowania i symbolika z tym związane są tak skompromitowane w polskiej tradycji oraz historii, że nie zachodzą najmniejsze obawy – poza jakimś dewiacyjnym marginesem – by nazizm bądź neonazizm w jakiejkolwiek formie zakorzenił się w Polsce. Polska jest impregnowana na tę ideologię. Niewspółmiernie groźniejsza jest, ciągle mająca miejsce, adaptacja przez nieporównywalnie większe środowiska ideologii komunistycznej oraz znaku sierpa i młota. A w tym przypadku niestety wrażliwości mediów nie zauważam. Siłą rzeczy rodzi się pytanie, jaki jest tego cel polityczny, i niestety chyba znamy na nie odpowiedź...

W materiale, który wyemitowano w „Superwizjerze" TVN, co prawda widać niewielką grupę pięciu–sześciu mężczyzn świętujących urodziny Adolfa Hitlera w krzakach, w lesie, ale jest też pokazana nieco większa grupa – na koncercie rockowym, z antysemickimi hasłami. A my w „Do Rzeczy" opisywaliśmy działalność grupy o nazwie Szturmowcy, sięgającej mocno do ideologów NSDAP. Pewien problem jest.

I to musi zostać potępione, niezależnie od tego, czy to tylko pięć osób, czy sto. Organa państwa powinny prowadzić odpowiednie działania, by takie grupy nie mogły funkcjonować w polskim społeczeństwie. Jednak powtórzę – moim zdaniem jest to nadal ewidentny margines. Nadwrażliwość medialna, by nie powiedzieć – histeria, jest celowa i chodzi o to, by ktoś miał się dowiedzieć, nabrać przekonania, że my, Polacy, jesteśmy nazistami. Temu ma służyć ta histeryczna nadbudowa wokół reportażu – stworzeniu medialnego przekazu, funkcjonującego w przestrzeni publicznej, również międzynarodowej: „Patrzcie, neonazizm jest w Polsce poważnym problemem". Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest, to narracja nieprawdziwa i krzywdząca.

Mówi pan o medialnej histerii wokół marginalnego wydarzenia, ale jednocześnie w tę histerię zaangażowali się ludzie władzy. Mieliśmy całą serię wystąpień premiera, wicepremierów, ministrów, wiceministrów, którzy opowiadali o tym, jak to trzeba walczyć z nazizmem w Polsce. Nie ma pan wrażenia, że odegrali niedobrą rolę w propagandowej machinie?

Moim zdaniem ma pan rację. Strona rządowa została wprowadzona w pewną rzeczywistość, w którą Pana Jezusa wprowadzali faryzeusze, a w której żadna reakcja nie była w pełni dobra. Na szczęście Jezus Chrystus potrafił sobie w takiej sytuacji poradzić, natomiast my jesteśmy tylko ludźmi i często mamy kłopot z właściwymi reakcjami. Wygrała koncepcja, że trzeba się natychmiast od zjawiska neonazizmu pokazanego w reportażu odciąć, bo zasługuje ono wyłącznie na potępienie,

eprasa.pl 65aebf6e22

a koszta polityczne byłyby potężne. Wizerunek Polski na arenie międzynarodowej ucierpiałby potężnie, gdybyśmy nie zareagowali jednoznacznie. Jednak jak zawsze przy takich decyzjach jest druga strona medalu, polegająca na uwiarygodnianiu – w tym przypadku tego telewizyjnego materiału – czegoś, co rzekomo prezentuje poważne, istotne zagrożenie. I dla przeciętnego odbiorcy pojawia się w takiej sytuacji pytanie: Skoro wszyscy poważni politycy wypowiadają się na ten temat, to w takim razie jest to margines czy nie jest?

Co Polska traci na arenie międzynarodowej przez to doprawianie nam gęby nazistów i kto na tym zyskuje?

Mam nadzieję, że takiej gęby nie uda się nam przyprawić. Jesteśmy coraz zdolniejsi we właściwym reagowaniu na podobne zdarzenia i prowokacje. Kto na tym zyskuje? Na pewno nie Polacy. Zyskują na tym ci, którzy są dzisiaj zainteresowani osłabianiem międzynarodowej pozycji Polski. Nie powiem tu niczego nowego, bo to jest stara, powszechnie znana prawda: w kwestii odpowiedzialności za II wojnę światową ci, którzy byli sprawcami, chętnie dziś dzielą się tą odpowiedzialnością z ofiarami, czyli m.in. z Polakami. Dla tych środowisk, bardzo silnych, czy to w Niemczech, czy w Rosji, tego typu pseudowiedza o Polsce i Polakach jest do wykorzystania. Wydaje mi się, że jest to w skutkach spore nieszczęście dla tych środowisk europejskich, które w Polsce i Polakach widzą szerokie oparcie dla chrześcijańskiej Europy. Teraz europejscy chrześcijanie mogą się zadziwić, że polscy katolicy sławią Hitlera. Dlaczego Europejczycy mają wierzyć, że Polska przynosi nadzieję na ratunek kulturowy dla Starego Kontynentu, skoro – według narracji, jaką słychać po programie TVN – Polacy są nosicielami skompromitowanej nazistowskiej ideologii?

Po wspomnianym materiale pojawiły się głosy, również polityków Zjednoczonej Prawicy, domagające się delegalizacji ugrupowań narodowych, nacjonalistycznych, np. ONR, działających legalnie, a więc pod pewnym nadzorem organów państwa. Czy nie nakręci to wśród młodych, zbuntowanych ludzi popularności tych skrajnych, patologicznych środowisk, dziś wypchniętych na margines?

Tego nie możemy wykluczyć, ale uważam, że lewa strona polskiej sceny ideowo-politycznej, tworząc ze zjawiska rzekomego neonazizmu jakiś obraz Polski, tylko zachęca do tego, by traktować je nadmiernie poważnie w stosunku do rzeczywistości. Oczywiście w każdym pokoleniu jest jakaś niewielka grupa, której marzy się destabilizacja państwa, czy to w formie anarchizmu, czy w formie skrajnych ideologii odwołujących się do przeszłych praktyk typu totalitarnego; widzi w tym sposób na zademonstrowanie swojej niezgody na teraźniejszość, na – jak uważa – zakleszczony układ, wierząc, że można zburzyć go tylko siłą. Reasumując: zawsze może zdarzyć się sytuacja, w której wśród pewnej części radykalnej, zbuntowanej młodzieży pojawiają się pewne odniesienia do skompromitowanych ideologii, nazistowskiej czy komunistycznej, dlatego tutaj trzeba wykazywać się pewną czujnością. Przeciwdziałać, zapobiegać, tłumaczyć. Jednak w samym materiale TVN i w wydarzeniach, które nastąpiły po jego emisji, takiej troski nie widzę. Zauważam zaś próbę manipulacji, której sensem jest stworzenie wyobrażenia, jakoby Polska i Polacy pod rządami PiS byli narodem niebezpiecznym dla innych krajów Europy, które z nazizmem już się uporały – co notabene też nie jest do końca prawdą. A gwoli ścisłości: my w Polsce nigdy nie musieliśmy zmagać się z problemem nazizmu czy neonazizmu, bo nigdy żadna część polskiego społeczeństwa nie zaadaptowała tej ideologii. Zawsze była u nas skompromitowana i zwalczana. Polacy nigdy nie zapomnieli, że to niemieccy naziści zakładali u nas obozy koncentracyjne i mordowali Polaków. Niemal w każdej polskiej rodzinie trwa pamięć o tym, co niemieccy, nazistowscy okupanci wyczyniali na ziemiach polskich.

Pojawiają się wątpliwości, dlaczego z emisją materiału TVN czekano tak długo. Zrealizowany był w maju, wyemitowany w styczniu. Nawet biorąc pod uwagę czas potrzebny do montażu i produkcji, półroczna zwłoka to długo.

Nie ma żadnych dowodów, by istniał związek przyczynowo-skutkowy między pojawieniem się tej audycji a wizytą wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Polsce oraz ewentualnym złożeniem podpisu przez Donalda Trumpa pod przygotowywanym „Dekretem 447", ale pytanie o zbieżność czasową jest jak najbardziej zasadne. Rozumiem oczywiście argumentację, że materiał śledczy musi dojrzewać i że nie mógł składać się tylko z tego jednego wydarzenia, ale dla mnie zaskakujące jest, iż TVN nie zdecydował się na powiadomienie organów ścigania o autentycznym przestępstwie. Wtedy materiał stacji nie zostałby zdekonspirowany, a jednocześnie dziennikarze mieliby dzisiaj bardzo mocny i mądry argument wobec tak sformułowanych wątpliwości – że intencje były czyste, bo zarejestrowano przestępstwo i zawiadomiono organa ścigania, neutralizując sprawców oraz uniemożliwiając im dalszą aktywność.

W lipcu ubiegłego roku, po zamieszkach w Hamburgu, gdzie anarchiści i komunistyczni bojówkarze starli się z policją, na jednej z polskich stron internetowych związanych z ultralewicową Antifą pojawił się apel wzywający do używania broni palnej przeciw policji i prowokowania podobnych incydentów również w Polsce. Opisaliśmy to w „Do Rzeczy". Reakcji państwa zabrakło.

Dla mnie jest to nie tyle zadziwiające, ile oczywiste, że te antysystemowe, odwołujące się do anarchizmu, komunizmu, marksizmu i innych nurtów lewackich ideologia oraz praktyka działania są zjawiskiem niebezpiecznym, ponieważ te środowiska mają oparcie nie tylko w nierozważnej młodzieńczości, lecz także w twardych środowiskach komunistycznych, często mających powiązania z ludźmi mediów czy biznesu. W efekcie środowiska szeroko pojętej postkomuny w Polsce, odwołujące się do wspomnianych ideologii, mają dużo większe organizacyjne i finansowe możliwości działania niż margines marginaliów, czyli neonaziści.

Tego typu organizacje i konkretni ludzie powinni być zatrzymywani przez organa ścigania oraz stawiani przed sądem.

– Mieliśmy całą serię wystąpień premiera, wicepremierów, ministrów, wiceministrów, którzy opowiadali o tym, jak to trzeba walczyć z nazizmem w Polsce. Nie ma pan wrażenia, że odegrali niedobrą rolę w propagandowej machinie? – Moim zdaniem ma pan rację

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Jan Żaryn – historyk i publicysta, specjalizujący się w dziejach obozu narodowego. Inicjator i członek fundacji patriotycznych.

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Siedem pułapek na dobrą zmianę

Piotr Gociek

O zaletach nowego otwarcia dla prawicy już pisałem. Dzisiaj o zagrożeniach dla rządu Morawieckiego i dla całej Zjednoczonej Prawicy

Tak, jest otwarcie na centrum. Tak, opozycja sama się podkłada, a PiS marzy nie tylko o wygraniu kolejnych wyborów – chce większości konstytucyjnej. Przerażona „Wyborcza" alarmuje, że „PiS idzie po normalsów", przyznając tym samym, iż ludzie, którzy mają w nosie jazgot opozycji o „śmierci demokracji", „zawłaszczeniu sądów" czy „zrujnowaniu Trybunału Konstytucyjnego", to ludzie normalni. (Kim są zatem ci, którzy ów jazgot czynią? To temat na inną rozmowę).

PRZESADNA WIARA W CENTRUM

Pułapka pierwsza: zbyt nachalne podkreślanie, że dopiero teraz jest normalnie i wizerunkowo właściwie. Oznacza to bowiem sugerowanie, że przedtem było nienormalnie, bo był to czas nieodpowiedzialnych radykałów. Czyż nie jest to policzek dla części wyborców, którzy poprzedni rząd akceptowali? (Nawet bardzo akceptowali – niech przypomną sobie państwo sondaże).

Jakże niefortunny wydaje się tu dobór słów, które wypowiedział Jarosław Kaczyński podczas smoleńskiej miesięcznicy 10 stycznia, tłumacząc, skąd zmiany w rządzie. „Droga naprawy Rzeczypospolitej, dobrej zmiany, czasem ze względu na okoliczności jest kręta, ale proszę o zaufanie – ufajcie, że idziemy drogą w tym samym kierunku". Co to znaczy „kręta" i to – jak rozumiem – kręta akurat teraz? Czyli że do niedawna mieliśmy prawomyślny rząd naprawy Rzeczypospolitej, a teraz chwilowo mamy rząd krętaczy, bo takie są „okoliczności"?

Nadmierne stawianie na „centryzm" wzmocnione niefortunnymi sygnałami typu „bronimy senatora Koguta" oraz „zapraszamy na pokład baronów PSL" może

eprasa.pl 65aebf6e22

sprawić wrażenie, że to już nie władza, która obiecywała robić wszystko, żeby więcej „nie było tak, jak było". A przecież taki przekaz stoi w sprzeczności z wynikami badań, które ostatnio narobiły tyle hałasu w mediach – komentował je m.in. Maciej Gdula w poprzednim „Do Rzeczy" – wyborcy PiS głosowali na tę partię nie pomimo strasznego Kaczyńskiego (i jego strasznych sojuszników: Macierewicza, Ziobry, Kamińskiego), ale właśnie dlatego, że chcieli Kaczyńskiego. Jak napisał do mnie jeden ze sfrustrowanych rekonstrukcją czytelników: „Ciekawe, kto im teraz będzie plakaty w kampanii rozklejał? Bo my już nie". Czy liczba plakatów rozklejonych przez zwolenników Mieczysława Baszki zrównoważy liczbę plakatów wywieszanych dotąd przez zwolenników Macierewicza?

PRZESADNA WIARA W PREMIERA

Mateusz Morawiecki jest człowiekiem utalentowanym, pracowitym i szybko się uczy. Chciałbym, żeby zapisał się na kartach historii Polski jako wybitny szef rządu i człowiek, któremu się udało Polskę zmienić na lepsze. Życzę tego zawsze każdemu szefowi rządu, najczęściej żyjąc potem pasmem rozczarowań. Obawiam się jednak, że zbyt często na pytanie: „A kto będzie odpowiedzialny za projekt X czy pomysł Y?" słyszymy odpowiedź: „Tę sferę osobiście nadzorował będzie premier Morawiecki".

Jako człek przychodzący z biznesu Mateusz Morawiecki powinien wiedzieć dobrze, że o talentach organizacyjnych szefa najlepiej świadczy nie liczba obowiązków, jakie wziął sobie na głowę, lecz to, jakich współpracowników sobie dobrał, żeby się tymi obowiązkami skutecznie zajęli. Być może mamy sytuację przejściową, może w najbliższych miesiącach do ekipy szefa rządu dokooptowani zostaną ludzie, których premier we właściwe miejsca będzie delegował. Oby. Jeśli Morawiecki chce odnieść sukces, to powinien pamiętać o najważniejszej radzie amerykańskich prezydentów („spać 10 godzin na dobę") i o tym, że kto za dużo rzeczy chce zrobić sam, ten kończy jak bohater anegdoty biegający z pustymi taczkami i odpowiadający na pytanie, „dlaczego są puste", słowami „bo taki mamy zap…l, że nawet nie mam kiedy ich załadować".

ZA CO WARTO PRZEPRASZAĆ, CZYLI INICJATYWA STRATEGICZNA

W ostatnich miesiącach ministrowie przepraszali za różne rzeczy i oświadczali, że nie ma i nie będzie w Polsce tolerancji dla rozmaitych rzeczy. Dla rasistów, antysemitów, ostatnio mamy na tapecie operetkowych neonazistów. Oczywiście tej tolerancji dla wspomnianych zjawisk być nie może, warto jednak zastanowić się nad tym, czy każdy akt wandalizmu, głupoty czy nawet ksenofobii musi być od razu sprawą państwową; czy nadając im nadmierną wagę przez chór bijących się w piersi, nie wyciągamy spraw marginalnych w światło reflektorów.

Wietrzę tu potencjalny problem – rząd, który zajmuje się głównie reagowaniem na takie doniesienia (czasem bez sprawdzenia, czy naprawdę był to akt ksenofobii czy zwykłego bandytyzmu), traci inicjatywę, staje się reaktywny wobec środowisk, które kalkulują: „Aha, tak bardzo chcecie poprawić wizerunek? No to przepraszajcie, kajajcie się, a my wam będziemy podrzucać kolejne bomby śmierdziuszki".

Mam dziwne przekonanie, że tych wrzutek będzie więcej. Jak nie rasista na przystanku we Wrocławiu, to może licealistki, które prześladują koleżankę (powiedzmy, że np. za jej preferencje seksualne); jeśli nie lżony Ukrainiec, to może chociaż jakiś Niemiec, na którego ktoś krzywo spojrzał itd. Ten wyścig na wyciąganie spraw o mikroskopijnym ciężarze gatunkowym już się rozpoczął. Przypomnijmy sobie, jaką karierę w mediach (nie tylko polskich) zrobił fake news o transparencie wzywającym do islamskiego holokaustu (rzekomo na Marszu Niepodległości) czy napis na dachu jakiegoś osobnika niespełna rozumu („Mszana Dolna od Żydów wolna"). W porównaniu z sabatami prawdziwych nazistów w Niemczech czy we Francji albo z narastającym w zachodnich krajach Unii antysemityzmem to nawet nie drobiazgi, to drobiażdżki. Oczywiście nie powinniśmy zamykać oczu, ale nadmierne rozdmuchiwanie takich spraw poprzez zgubny wyścig ku przepraszaniu to prosta droga przygotowania wszelkim obcym telewizjom setek okazji do materiałów: „Polski rząd przyznaje, że ma problem z… (tu wpisz dowolny zarzut)".

Jak rozwiązać ten problem? Nie wiem, zwracam uwagę, że istnieje i nie jest drobny. Niech się tym zajmą specjaliści od PR pana premiera. Tak jak uważam, że ksenofobia, antysemityzm, czczenie Hitlera (i czczenie Stalina) są odrażające, tak samo jestem przekonany, iż polski prezydent czy polski premier to nie powinny być nakręcane małpki, które wyskakują z pudełka za każdym razem, kiedy jakiś głupek czy prowokator rzuci obelgą, a fałszywie troskliwy cynik wrzaśnie: „Przepraszajcie!".

CZY Z PRAWEJ STRONY TYLKO ŚCIANA?

PiS dotąd umiejętnie zagospodarowywał przestrzeń po prawej stronie, nie pozwalając żadnej konkurencji na wejście do parlamentu. Czy to może się zmienić? Tak, ale zagrożeniem nie jest jakaś mityczna nowa partia Antoniego Macierewicza, którą najbardziej straszą przeciwnicy PiS i sprzymierzone z nimi media – tak jak kiedyś straszyły równie mityczną partią o. Rydzyka.

Im więcej będziemy słyszeć, jak poprawia się sytuacja budżetu, tym chętniej po pieniądze będą wyciągały ręce kolejne grupy zawodowe. Lekarze to tylko początek

Uwagę trzeba zwrócić na to, co się dzieje między ruchem Pawła Kukiza a partią Wolność Janusza Korwin-Mikkego. Taki konkurent byłby prawicą kontestującą PiS i próbującą zgromadzić pod swymi skrzydłami tych, którzy mimo przynależności do obozu konserwatywnego na różnych polach kontestują ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego. Jak słyszałem od niektórych polityków PiS, uważają oni ruch Kukiza za zagrożenie podobne do tego, jakie stwarzała kiedyś Liga Polskich Rodzin. Lękają się, że bardziej krzykliwa i radykalna formacja może okazać się jedynym wyborem przy szukaniu większości rządzącej w następnym parlamencie lub przy szukaniu większości konstytucyjnej. A postrzegany jest ten partner jako ryzykowny, niestabilny i potencjalnie zdradziecki: wejdzie w koalicję (nawet nieformalną), a potem od środka zacznie wszystko rozwalać, tak jak Roman Giertych.

Dobra wiadomość dla PiS jest taka, że ugrupowanie Kukiza ma narastające

eprasa.pl 65aebf6e22

tożsamościowe kłopoty i najwyraźniej na razie nie może zdecydować, jaką właściwie prawicą chce być. Zła wiadomość to ta, że brak konkurencji po prawej stronie PiS zawdzięcza jedynie temu, iż rozmaite nurty (od radykalnych pro-liferów, przez grupy zafiksowane na punkcie antyukraińskim, do libertarian) nie są na razie w stanie wyłonić wspólnej reprezentacji. Być może więc w roku 2019 mantrą kampanii będzie: „Musimy sami osiągnąć większość konstytucyjną", tak jak w roku 2015 mantrą było: „Musimy rządzić samodzielnie".

PUŁAPKA UMIARKOWANEGO ROZWOJU W GRANICACH WZROSTU

Apetyty i aspiracje mają to do siebie, że rosną szybciej niż możliwości ich zaspokojenia. Polska gospodarka powoli przyspiesza, ale są kraje, nawet w naszym regionie, które przyspieszają bardziej. Na razie nie ma oznak, żebyśmy byli na drodze do stania się tygrysem gospodarczym Europy – bardzo tego bym chciał – na razie jesteśmy na etapie zwalczania patologii i uszczelniania istniejącego systemu. Im więcej będziemy słyszeć, jak poprawia się sytuacja budżetu, tym chętniej po pieniądze będą wyciągały ręce kolejne grupy zawodowe. Lekarze to tylko początek.

Świetnie radzą sobie ci, którzy inwestują w specjalnych strefach ekonomicznych. Dlaczego cała Polska nie może być specjalną strefą ekonomiczną? Będzie obniżony ZUS dla drobnych przedsiębiorców. Dlaczego ci, którzy nie są całkiem drobni, mają być karani tym, że ich obciążenia pozostają takie same? Czy owa obniżka nie jest zachętą do prostej kalkulacji: opłaca mi się gospodarzyć i zarabiać lepiej tylko do pewnego (dość niskiego) poziomu, bo jak zarobię, wyprodukuję, wyhandluję więcej, to wpadnę w wyższy ZUS?

Opozycja z prawej (Kukiz'15) stawia nieraz celne pytania. Na przykład: Czy masowy import pracowników z Ukrainy to przyznanie się do bezradności wobec tego, że miliony Polaków, których III RP z kolei wyeksportowała do Europy Zachodniej, po prostu nie mają ochoty wrócić? A nie mają, bo widzą, jak dużo barier przed ludźmi przedsiębiorczymi stawia polski aparat państwowy.

Krótko mówiąc: Czy wszystkie zmiany proponowane dotąd w gospodarce przez rząd Zjednoczonej Prawicy pozwolą na zaspokojenie rosnących aspiracji i ambicji Polaków, czy też przez swoją wybiórczość, uznaniowość, zbyt mały zakres sprawią, że w części elektoratu znów zacznie narastać frustracja?

WODOROSTY, PASOŻYTY I FACHOWCY

Oto historia pewnego miasta średniej wielkości. Dawno, dawno temu, za czasów rządów PO-PSL, lokalnym radiem publicznym rządzili sobie spokojnie kumple z Platformy i PSL. Przyjaźń przyjaźnią, koalicja koalicją, ale interesy swoją drogą, więc w pewnym momencie towarzystwo zaczęło się spierać: o wpływy, o stanowiska, o pieniądze. Skończyło się dymisją jednego z szefów, a było to rok czy dwa lata przed feralnym dla PO rokiem 2015. Cóż wydarzyło się na początku roku 2016, gdy nowy rząd zaczął porządki w mediach? Ów wywalony w ramach walki buldogów osobnik został naraz poważnym kandydatem do objęcia stanowiska prezesa radia, jako ofiara poprzedniego reżimu. Stanowiska nie dostał, bo lokalni działacze podnieśli alarm, ale było blisko.

Przestrzegałem niedawno („Trzecia droga Morawieckiego") przed jakobinizmem, przejawiającym się w obsesyjnym tropieniu, „kto z nominowanych przez naszych otarł się o poprzednią władzę", dziś chciałem przestrzec przed nadmierną wyrozumiałością. Nie zawsze wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, częściej to po prostu grandziarz nieco odmiennego rodzaju, i tyle. Lepiej takie zjawiska widać z dołu, niech więc partyjne centrale ugrupowań tworzących Zjednoczoną Prawicę nie będą zdziwione, że przy niektórych „zakupach" personalnych może pojawić się uzasadniony rwetes podnoszony przez doły. To, co z Warszawy może się wydawać wzmocnieniem siły koalicji w parlamencie albo zmyślnym manewrem przed wyborami samorządowymi, dla ludzi obserwujących politykę lokalnie może jawić się jako awans osoby o wątpliwej reputacji i kompetencjach. Poza jedną kompetencją – odpowiednim ustawieniem się pod wiatr we właściwym momencie.

Każdy statek obrasta pasożytami i wodorostami – tym bardziej, im dłużej żegluje. Sita Zjednoczonej Prawicy powinny przesiewać wyjątkowo dokładnie, inaczej statek zwolni lub zacznie dryf. Jest i zagrożenie z drugiej strony – pochopne roszady wywołane wewnętrznymi rozgrywkami. Sam fakt, że ktoś nie był dotąd zatrudniony przez Waszczykowskiego albo Macierewicza, nie musi oznaczać, iż to wybitny fachowiec, którego trzeba promować, bo był dotąd ofiarą radykałów. Jednak i na wycinanie kompetentnych wiceministrów tylko z tego powodu, że to „człowiek Macierewicza" albo „człowiek Streżyńskiej", dobrej zmiany nie stać – ławka rezerwowych nie jest aż tak długa.

A TERAZ CZAS NA ODLOT

Nie, nie będzie tu ani słowa o samochodach elektrycznych. Chociaż tu też wypadałoby zwrócić uwagę, że kiedy władza za bardzo chwali się tym, iż staniały lokomotywy, naraża się na trudne pytania: „A dlaczego zdrożało masło?".

Chodzi mi o całkiem możliwą niekorzystną kumulację, którą rząd może sobie przyszykować, niekoniecznie z własnej winy. Tak, wiem, są rozmaite unijne regulacje, a kiedy nie regulacje, to oczekiwania. Plus mody, które płyną z Zachodu, plus ambicje rządzących, którzy potrafią przejawiać nadmierną ochotę w organizowaniu i ulepszaniu ludziom życia. Mało kto pamięta, jak politycy dobrej zmiany na początku kadencji próbowali kombinować z przywróceniem karty rowerowej.

Otóż jeżeli Polakom rząd będzie kojarzył się z ekipą gości, którzy każą płacić za torby foliowe w sklepach, żądają egzaminów przed wyjazdem na weekendową przejażdżkę rowerem, zakazują wjazdu normalnymi samochodami do miasta, nie pozwalają ogrzewać piecem domu (to znaczy pozwalają, ale mówią: „Kup nowy piec i płać więcej za opał"), zamykają galerie handlowe w niedzielę itd., to żaden wzrost PKB oraz rozwój programu elektromobilności tego nie zrównoważą. Kumulacja drobnych zmian, z których część może byś słuszna, a część tylko uciążliwa, część wprowadzona, bo trzeba, ale część tylko dlatego – że można; otóż taka kumulacja może zniechęcić do rządzących bardziej niż marsze opozycji i pokrzykiwania biurokratów w Brukseli.

Kto za bardzo zapatrzony jest w odległe szczyty, ten potknie się nieraz na kamieniu leżącym pośrodku drogi. Dobra zmiana powinna bardzo uważać, żeby w owym „drobnym ulepszaniu" nie przeciągnąć struny. Inaczej te kamienie zaczną lecieć w jej stronę. Chociaż od roku 2015 mamy rząd, który jako pierwszy na serio wziął powtarzane przez elektorat przy różnych okazjach wezwanie: „Niech rząd wreszcie coś z tym zrobi!" (w reakcji na rozmaite patologie), to warto pamiętać, że równie często zwykły Polak, drapiąc się w głowę, mówi: „Co oni znowu, do cholery, wymyślili!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Z prof. Jackiem Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Maciej Pieczyński

Dialog to nie ustępstwo

MACIEJ PIECZYŃSKI: Czy profesor Jacek Czaputowicz, politolog, szanowany także przez polityków opozycji, jako szef dyplomacji ma być wizerunkowym kwiatkiem do kożucha dobrej zmiany czy może personifikacją ustępstw?

PROF. JACEK CZAPUTOWICZ: Miło mi, że niektórzy działacze opozycji mają o mnie dobre zdanie. Natomiast to nie będzie dyplomacja ustępstw. Będę realizować politykę rządu Mateusza Morawieckiego czy – mówiąc szerzej – PiS. Nie sądzę, by jakiekolwiek moje dotychczasowe działania mogły świadczyć o zmianie stanowiska w ważnych sprawach dla obozu Zjednoczonej Prawicy. Być może uda mi się w trochę inny sposób prowadzić tę politykę, postawić na dialog z naszymi partnerami w Unii Europejskiej. Żeby przekonać ich do swoich argumentów, musimy być również otwarci na to, co oni mają do powiedzenia.

Styl i język dyplomacji już się zmieniły, dostrzegają to nawet nieprzychylne PiS media. Tylko czy taka zmiana wystarczy? Przecież nasi unijni partnerzy, niezależnie od tego, jak miło będzie się im z panem rozmawiało, w pewnym momencie zapytają o konkrety, o to, czy rząd ustąpi, czy nie...

Nasze interesy się nie zmieniają, nasze stanowisko jest niezmienne, kierunki polityki także, natomiast wyłożenie naszych argumentów w sposób otwarty, szczery, może wywołać większą empatię ze strony naszych partnerów na Zachodzie. Taki efekt dała rozmowa z panem Timmermansem. Nie chodziło o ustępstwa, tylko o dotarcie z argumentami. Dominująca w Europie narracja, w której myśl Polska rzekomo łamie standardy europejskie, nie oddaje stanu rzeczywistego. Bardzo trudno jest przebić się z polskim przekazem. Musimy spokojnie odpowiadać na poszczególne zarzuty, to jedyna droga.

Timmermans chyba na razie nie dał się przekonać, że to Polska ma rację.

Przynajmniej zaczął się nad całą sprawą zastanawiać. Pojawiły się znaki zapytania. Zachęcam KE, by obserwowała, w jaki sposób reforma sądownictwa będzie realizowana. Na tym etapie nie możemy niczego zmieniać. Być może KE dostrzeże, że nie osłabiamy, tylko wzmacniamy niezależność sądów i ich efektywność.

Teoretycznie KE może się jeszcze wycofać z procedury. Nie ma chyba jednak na to szans, chyba że polski rząd całkowicie ustąpi.

My nawet nie namawiamy do wycofania się z procedury. Teraz decydować będzie Rada Unii Europejskiej. Musimy więc przede wszystkim dostarczyć argumentów państwom członkowskim. Przygotowujemy nasze stanowisko na piśmie. Nasi eksperci będą prezentować polskie racje ekspertom z pozostałych państw członkowskich oraz KE, będą odpowiadać na pytania. Chcemy, by nasi unijni partnerzy otworzyli się na nasze argumenty i by dzięki temu decyzję w sprawie Polski podjęli świadomie.

Nie planuje pan żadnego kroku w tył?

Zgodnie z inicjatywą prezydencką Krajowa Rada Sądownictwa będzie pluralistyczna, bo na 15 miejsc sześć zagwarantowano dla opozycji. To ważny argument za naszą reformą. KE na pewno będzie obserwować, czy opozycja wskaże swoich kandydatów do KRS.

Zapewne nie wskaże. PO i Nowoczesna w całości odrzucają reformę.

Nie jestem tego taki pewny. Jeżeli opozycja zbojkotuje KRS, to będzie musiała wykazać dlaczego. Nasi partnerzy zobaczą wówczas, że była dobra wola prezydenta, że zawetował poprzednie ustawy, że była otwarta i ożywiona dyskusja na ten temat.

KE dobrą wolę prezydenta zobaczyła już w lipcu i to nie przeszkodziło jej wdrożyć procedury przeciw Polsce.

Dopiero teraz KE zobaczy tę dobrą wolę w praktyce, gdy będziemy wybierać nową KRS. Moim zdaniem ustawy prezydenckie wychodzą w dużej mierze naprzeciw oczekiwaniom Brukseli. W tym sensie Komisja Europejska przyczyniła się do poprawienia naszego prawa. A nawet jeśli opozycja nie skorzysta z naszej propozycji i nie zgłosi swoich kandydatów do KRS, to rząd będzie mógł ogłosić: „Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, nie jest prawdą, że zawłaszczamy sądy, to opozycja nie chce współpracować".

Sprzymierzeńcem Polski w sporze z Brukselą zapewne nie będzie Donald Tusk. Szczególnie że był pan autorem ekspertyzy, która podważała jego wybór.

Ja tylko postawiłem tezę, że wybór Donalda Tuska na przewodniczącego RE był niezgodny ze standardami demokratycznymi. Kandydatem Polski, przypominam, był Jacek Saryusz-Wolski.

Jego kandydatura nie była chyba jednak należycie przygotowana. Można było wcześniej zacząć lobbować za Saryuszem-Wolskim.

Kandydatura była zgłoszona w terminie.

Może jednak Tusk nie wygrałby tak druzgocącą większością głosów.

Nie ma to żadnego znaczenia. Ważny był gest zgłoszenia polskiego kandydata. Wciąż otwarte pozostaje pytanie, czyim kandydatem był Tusk. Tak czy inaczej nie sądzę, by szef RE próbował szkodzić Polsce. Ponadto w kolejnym etapie procedury więcej do powiedzenia będzie miała sprawująca prezydencję unijną Bułgaria. Stąd moje spotkanie z wiceminister spraw zagranicznych tego kraju.

eprasa.pl 65aebf6e22

No właśnie, teraz będziemy potrzebować poparcia innych państw. Na kogo możemy liczyć?

Wśród państw członkowskich istnieje obawa, że postawienie sprawy na ostrzu noża może pogłębić podziały w UE. Trzeba odbudowywać jedność. Dlatego liczyć głosy i prowadzić kampanię zaczniemy dopiero wówczas, gdy już będzie pewne, że czeka nas głosowanie w Radzie Europejskiej w sprawie Polski. Natomiast z pośrednich sygnałów (pośrednich, bo nikogo wprost nie pytam, jak by zagłosował), które docierają do mnie z różnych państw UE, wynika, że nie tylko Węgry staną po naszej stronie.

Po rozmowie z Sigmarem Gabrielem stwierdził pan, że kwestia reparacji nie stanowi balastu między rządem polskim a niemieckim. Przyjął pan też propozycję Berlina, by temat ten przenieść na poziom dyskusji między ekspertami z obu krajów. Jednak przecież mamy sejmowe ekspertyzy, przygotowane pod kierunkiem Arkadiusza Mularczyka.

To właśnie miałem na myśli, mówiąc o udziale ekspertów w debacie. Informowałem ministra Gabriela, że nad tą sprawą pracuje zespół parlamentarny, poprosiłem o otwartość strony niemieckiej na nasze argumenty. Z uznaniem przyjmuję fakt, że po naszej półtoragodzinnej rozmowie w cztery oczy pan minister zadeklarował chęć dyskusji na ten temat. W tej kwestii potrzebna jest przede wszystkim debata społeczna w Polsce oraz empatyczne podejście ze strony władz niemieckich i społeczeństwa niemieckiego. Chcemy, by Niemcy rozważyli nasze argumenty i nie traktowali tematu reparacji w kategoriach jakiegoś wrogiego, antyniemieckiego działania.

Nie chcemy być potraktowani gorzej niż inne narody, którym Niemcy wypłaciły odpowiednie reparacje

My mamy swoje wyliczenia, zaproszeni do dyskusji niemieccy eksperci zapewne przedstawią swoje. A przecież można było po prostu wystawić Niemcom rachunek.

W rozmowie z ministrem Gabrielem zaznaczyłem, że nie chcemy być potraktowani gorzej niż inne narody, którym Niemcy wypłaciły odpowiednie reparacje.

A jednak poseł Mularczyk stwierdził, że nie dość dobrze przygotował się pan do tej wizyty. Szkoda, że panowie wcześniej nie umówili się na jedną wersję.

Pamiętajmy, że jeszcze przed moją wizytą stanowisko niemieckie było w tej sprawie jednoznaczne – sprawę reparacji Berlin uważał wówczas za definitywnie zamkniętą. W czasie konferencji prasowej minister Gabriel potwierdził ze strony Niemiec wolę rozmowy. Liczę, że ta wola rozmowy z Polską zostanie podtrzymana.

Dzień po pańskiej rozmowie z szefem niemieckiego MSZ Jarosław Kaczyński stwierdził, że „nie zmieniamy zdania w sprawie reparacji". Wyglądało to jak korekta pańskiego łagodnego stanowiska.

Wbrew przekazowi mediów nie ma między nami różnicy zdań. Zgadzam się, że nie zmieniamy zdania, a Niemców poprosiłem, by uwzględnili nasz punkt widzenia.

Czyli sukcesem jest już to, że Niemcy chcą w ogóle z nami o tym rozmawiać?

Tak, uważam to za wielki sukces, niezależnie od tego, czy nasze argumenty ostatecznie ich przekonają.

Tak czy inaczej, wrażenie można było odnieść takie, że w sprawie reparacji co innego mówi szef MSZ, co innego poseł zajmujący się tą sprawą, co innego prezes PiS. Czy w obozie władzy jest w ogóle jakaś przemyślana strategia na ten temat?

Wcześniej rozmawiałem z posłem Mularczykiem na ten temat. Podziwiam jego pracę, uważam, że to on powinien na dalszych etapach przedstawiać stronie niemieckiej polskie stanowisko w sprawie reparacji. Dopóki rozmawiamy z naszymi partnerami, dopóty jest szansa, że ich przekonamy. Chociaż też trzeba mieć świadomość, że nie wszyscy niemieccy politycy muszą być tak otwarci na tę dyskusję jak Sigmar Gabriel.

Część środowiska PiS krytykuje pana za zbytnią koncyliacyjność. Nazywają pana „członkiem korporacji Geremka", która zniszczyła polską dyplomację.

Wiem, że są takie głosy. Nigdy nie byłem w Unii Wolności. Przyszedłem do MSZ w 1990 r. za ministra Skubiszewskiego, a odszedłem zaraz po przyjściu prof. Geremka do resortu. Następnie w Komitecie Integracji Europejskiej, któremu przewodniczył Ryszard Czarnecki, pracowałem razem z Mateuszem Morawieckim.

Co dalej z Nord Stream 2? Uda się zablokować?

Przed rozmową z ministrem Gabrielem wystąpiłem na forum Fundacji Koerbera. Mówiłem o tym, że Nord Stream 1, przeciwko którego budowie protestowaliśmy za czasów pierwszych rządów PiS, doprowadził do uzyskania środków przez Rosję, która je wykorzystała na modernizację armii, następnie dokonała agresji na Gruzję, później na Ukrainę, wreszcie – działa wbrew zachodnim interesom w Syrii. Myślę, że udało mi się przekonać część moich niemieckich słuchaczy. Należy wziąć pod uwagę geopolityczne konsekwencje Nord Stream 2.

Co z Ukrainą? Czy buńczuczne hasło „Z Banderą do Europy nie wejdziecie" wciąż jest aktualne?

To hasło to publicystyka.

To hasło głosili Jarosław Kaczyński i Witold Waszczykowski. Więc jednak polityka. Tak czy inaczej, jak do tej pory na Ukraińców to ultimatum nie podziałało. Nad Dnieprem można usłyszeć, że jeśli nie przez Warszawę, to przez Berlin będą starać się wejść do UE.

W grudniu odbyło się spotkanie prezydentów Dudy i Poroszenki w Charkowie,

eprasa.pl 65aebf6e22

9 stycznia prezydent Andrzej Duda wręczył prof. Jackowi Czaputowiczowi (z prawej) nominację na ministra spraw zagranicznych FOT. KUBA ATYS/AGENCJA GAZETA

niedaleko linii frontu. Przede wszystkim będziemy domagać się zaprzestania agresywnych działań ze strony Rosji, bronić niepodległości Ukrainy.

A co z Banderą?

Mamy różne interpretacje historii. Problemem jest moratorium na poszukiwania, ekshumacje i upamiętnianie szczątków Polaków na terenie Ukrainy. Będzie jednak spotkanie na szczeblu wicepremierów w tej sprawie. Liczymy, że Kijów zmieni swoje decyzje. Minister spraw zagranicznych Ukrainy Pawło Klimkin zadzwonił do mnie z gratulacjami, jesteśmy umówieni na spotkanie po zniesieniu wspomnianego moratorium na ekshumacje. Potrzebna jest dyskusja historyków. Potrzebujemy więc czasu, by przekonać Ukrainę do swoich racji.

Ukraińcy znają nasze argumenty. A mimo to kilka miesięcy temu odsłonili pomnik strzelców Siczy Karpackiej, ofiar – jak głosi tablica pamiątkowa – „polskich okupantów". Co symboliczne, w ceremonii uczestniczyła Iwanna Kłympusz-Cyncadze, wicepremier do spraw europejskich.

Takie incydenty utrudniają nasze relacje. Jestem mimo wszystko zwolennikiem spokojnych rozmów. Dalekosiężnym celem polskiej dyplomacji jest wspieranie integralności terytorialnej Ukrainy oraz jej proeuropejskich i proatlantyckich aspiracji. To się nie zmienia. Nawet jeśli Ukraina chce się dostać do Unii przez Berlin, to ma nasze poparcie.

Jak wykorzystamy swój czas w Radzie Bezpieczeństwa ONZ?

Polska będzie głosić potrzebę umocnienia znaczenia prawa międzynarodowego we współczesnym świecie, które zostało złamane m.in. wobec Ukrainy.

Co konkretnie możemy w tej sprawie zrobić? Może jest szansa na zmianę formatu normandzkiego i włączenie Polski do rozmów pokojowych?

To nie takie proste. Wymaga to bowiem zgody zainteresowanych, w tym Rosji. Musimy budować swoją pozycję w UE, służyć naszą wiedzą na temat sytuacji na wschodzie. Na razie recenzujemy to, co inni robią w tej sprawie, dostrzegamy nieskuteczność formatu normandzkiego.

A jak będą wyglądać nasze relacje z Rosją? Tutaj też postawimy na „spokojną rozmowę" i „poziom ekspercki"? Kreml atakuje nas za dekomunizację i wspieranie Ukrainy.

Polska opowiada się za przestrzeganiem prawa międzynarodowego. Nie zaakceptujemy aneksji Krymu i działań Rosji na Ukrainie, opowiadamy się za sankcjami. Dzieli nas więc fundamentalna różnica zdań. Wciąż uważamy też, że Rosja powinna oddać nam wrak prezydenckiego tupolewa. A co do dekomunizacji – mamy prawo do własnej interpretacji historii. Nie oznacza to jednak, że nie ma żadnych relacji pomiędzy Moskwą a Warszawą. W czasie debaty na forum ONZ zgodziliśmy się z ministrem Siergiejem Ławrowem co do koncepcji rozwiązania kryzysu w Afganistanie. Są więc pewne obszary, gdzie mamy podobne zdanie z Rosją.

Siergiej Markow, doradca Putina, stwierdził, że Rosja nie odda wraku tupolewa, ponieważ boi się, że Polska wówczas „sfałszuje dowody na zamach". Chyba nie ma co liczyć na zwrot.

Rosja obawia się raczej wyników polskiego śledztwa, które dzięki odzyskaniu wraku zyskałoby nowe pole do badań przyczyn katastrofy. Będziemy się domagać zwrotu, bo z punktu widzenia prawa międzynarodowego nie ma żadnego uzasadnienia dla przetrzymywania na terenie Rosji wraku, który jest własnością państwa polskiego.

Co dalej z Trójmorzem? Inicjatywa ruszyła z pompą, pod patronatem USA, ale wielkich efektów wciąż nie widać.

Jesienią będzie szczyt w Rumunii. Z pierwszą wizytą byłem w Bułgarii, a to przecież państwo Trójmorza. Czas, by deklaracje przekuć w czyn. Mamy wspólne interesy. Jako kraje unijne powinniśmy domagać się dofinansowania łączących Trójmorze projektów infrastrukturalnych, takich jak „Via Carpatia".

Jednoczyć miała nas współpraca gospodarcza z USA i gaz zza oceanu, dużo droższy od rosyjskiego.

Amerykańskie wojska na terenie Polski odgrywają zasadniczą rolę, jeśli chodzi o odstraszanie potencjalnego agresora. USA odgrywają ważną rolę w modernizacji sił zbrojnych i w zapewnieniu nam bezpieczeństwa energetycznego. Negocjacje trwają. Amerykański sekretarz stanu Rex Tillerson przyjechał do Warszawy jako do jednej z trzech – obok Londynu i Paryża – europejskich stolic. To też świadczy o tym, że Polska zajmuje ważne miejsce na mapie amerykańskich interesów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Łukasz Warzecha

Głos „Gazety Wyborczej" słabnie, ale nie warto go lekceważyć

„Wyborcza" i opozycja

Wyobraźmy sobie potężnego maga, który od lat trzęsie ziemiami leżącymi w zasięgu jego mocy. I nagle ta moc zaczyna słabnąć. Stworzone przez niego armie orków dostają w skórę, zaklęcia nie odnoszą skutku albo, co gorsza, obracają się przeciwko niemu. Wszystko dlatego, że po przeciwnej stronie pojawił się mocny przeciwnik, który poznał nowe, lepsze zaklęcia, a w dodatku zdobył sobie serca ludu. Kiedyś przeciwnik był ot, szeregowym czarodziejem, ale w czasie, gdy nasz mag spoczywał na laurach, tamten zacisnął zęby, poduczył się fachu i zdobył przewagę.

W drużynie przegrywającego maga trwają narady, co robić, ale przede wszystkim wylewa się frustracja: jak on śmiał, jakiś tam czarodziej z Koziej Wólki, co przez lata był najwyżej w stanie na godzinę zamienić psa w żabę, a teraz robi z nami, co chce?! Jedni poprzestają na pokrzykiwaniu w stylu Ferdka Kiepskiego, że „tak być to nie będzie" – ale konkretnie, dlaczego i jak spowodować, żeby nie było, już nie mówią. Pojawili się jednak i tacy, którzy zaczęli się domagać, żeby mag może przestał biadolić, a zaczął się podszkalać – jeśli trzeba, to od konkurenta – a do tego pomyślał, jak odzyskać serca ludu.

Tak w tej chwili wygląda sytuacja w obozie z Czerskiej. „Gazeta Wyborcza", która przez dużą część III RP była niepodzielnym kreatorem opinii, rządów, autorytetów, osłabła do roli zaledwie jednego z wielu graczy – i to być może jednego ze słabszych.

W BLOKU SIŁA?

Wśród publicystów „Wyborczej" widać dwie frakcje. Jedna wydaje się podążać drogą słynnych życzeń Agnieszki Holland: „Żeby było tak, jak było". Żadna głębsza refleksja nad przyczynami dominacji PiS i coraz mniejszego znaczenia totalnej opozycji nie jest potrzebna, PiS to właściwie faszyści, Polska jest już dyktaturą, a uratować nas może jedynie interwencja bratniej Bundeswehry. Druga frakcja zaczyna dostrzegać, że sposób robienia polityki, przy którym uparcie trwają partie Katarzyny Lubnauer i Grzegorza Schetyny, do niczego nie prowadzi. Dawna standardowa odpowiedź, udzielana przez „GW" dla podtrzymania swoich czytelników na duchu oraz w przekonaniu o własnej wyższości – że na PiS głosuje ciemny lud, starsi i niewykształceni z małych ośrodków – przestaje wystarczać.

„Jaka opozycja może wygrać z PiS-em?" – pyta Jakub Majmurek, na co dzień publicysta „Krytyki Politycznej". Przywołuje przy tym badania portalu OKO.press, dotyczące preferencji partyjnych. Chociaż założony przez Piotra Pacewicza, byłego wicenaczelnego „GW", Ośrodek Kontroli Obywatelskiej „OKO" ma profil jednoznacznie antypisowski, to bywa ciekawym źródłem, sytuującym się raczej wśród reformatorów niż betonów. To właśnie OKO.press opublikował swego czasu głośny sondaż, pokazujący, jak bardzo wśród własnych wyborców nieakceptowani są liderzy dwóch opozycyjnych ugrupowań (wówczas obok Schetyny był to jeszcze Ryszard Petru).

Badanie, przywołane przez Majmurka, pokazało, że jeśli wyborcy dostaliby wybór w postaci PiS z jednej strony, a z drugiej – wspólnego startu PSL, SLD, PO i N oraz jako drugiej siły skrajnej lewicy – Biedronia, Zielonych, Razem, Nowackiej itd. – PiS straciłby samodzielną większość. Co ważne, w kalkulacji całkowicie nieobecny jest KOD, w którym na początku rządów PiS opozycja pokładała nadzieję. Majmurek stawia tezę, że kluczową rolę miałoby odegrać wejście do Sejmu wspomnianego bloku skrajnej lewicy. To wariant, nawiasem mówiąc, bardzo groźny, bo gdyby do władzy faktycznie doszli ludzie pokroju Nowackiej czy Zandberga, po rządach PiS odziedziczyliby gotowe instrumenty, pozwalające im w błyskawicznym tempie przerobić Polskę na modłę zapaterowską. Przed czym wielokrotnie ostrzegałem.

CENTROLEWICA ODDOLNA

Majmurkowi wtóruje Jacek Wesołowski, pisząc: „Jest w Polsce opcja poważna, konsekwentna i kompetentna, której się głosu odmawia. Nowa Opozycja – polska centrolewica oddolna". Wesołowski ma wrażenie, że totalna opozycja się wypaliła – ba, nawet w jakimś stopniu współpracuje z władzą. „[…] rząd wymienia skompromitowanych ministrów na anonimów i nazywa to »rekonstrukcją«. […] Platforma Obywatelska triumfalnie obwieszcza zasadność dawniejszych wniosków o odwołanie, wpisując się w rządową narrację najlepiej, jak to możliwe. Na wypadek, gdybyśmy podejrzewali zbieg okoliczności, Grzegorz Schetyna opowiada, że już nie chce być »totalną opozycją«, tylko współpracować". Wesołowski dostrzega jednak szansę, podobnie jak Majmurek: „Rozpaczliwie potrzebujemy nowych opcji politycznych. […] Jest w Polsce opcja poważna, konsekwentna i kompetentna, której się głosu odmawia. Nowa Opozycja, czyli polska centrolewica oddolna,

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

a zwłaszcza jej najsilniejszy reprezentant polityczny, czyli Partia Razem, wykonała przez ostatnie dwa lata olbrzymią pracę".

O porozumienie apeluje Marek Beylin: „Jednak przeciwnicy władzy często okazują niechęć do łączenia się w koalicje, jakby im mało zależało na tym najważniejszym boju, który może być ich bojem ostatnim". Beylin odwołuje się do tego samego sondażu OKO.press co Majmurek i chce przyjaznej konkurencji pomiędzy liberałami a lewicą.

Wielbicielem opcji skrajnie lewicowej nie jest – co niedziwne – epigon integralnego liberalizmu gospodarczego, Witold Gadomski. Jednak i on widzi szansę w zjednoczeniu totalnej opozycji. Komentując jej blamaż w Sejmie w związku z głosowaniem nad obywatelskim projektem, liberalizujących ustawę antyaborcyjną, stwierdza na koniec: „Po co są potrzebne dwie partie liberalno-konserwatywne, źle zorganizowane, z kiepskim przywództwem i brakiem jasnego przesłania do wyborców? Zasada »brzytwy Ockhama« podpowiada, że powinny się jak najszybciej połączyć – już nawet nie po to, by stworzyć coś lepszego, ale by niepotrzebnie nie mnożyć bytów".

Gadomski odnosił się do bodaj najgłośniejszego, nieco histerycznego tekstu Jacka Żakowskiego z „Polityki" – opublikowanego w „GW". „Nie PiS jest dziś największym wrogiem demokratycznej Polski, ale opozycja – jej mentalne, personalne i organizacyjne zabetonowanie powodujące funkcjonalną niezborność. Taka opozycja tej władzy nie pokona i nie odbuduje polskiej demokracji" – lamentował Żakowski. Dalej stwierdzał całkiem trzeźwo: „PiS jest, jaki jest. Autorytarni populiści są w całej Europie. Wygrywają tam, gdzie demokraci są słabi. Polska opozycja jest słaba. Jeśli chcemy »odzyskać demokratyczną Polskę«, musimy namówić opozycję, by stała się lepsza. Ale ona nie chce się zmienić. Prowadzi grę, którą z dobrym skutkiem prowadziła przez lata. Choć świat się zmienił i zmieniły się reguły gry".

Dla polemiki wewnątrz środowiska z Czerskiej charakterystyczny jest spór nie tyle o KOD – bo ten się już raczej w tamtejszych kalkulacjach nie liczy – co o jego byłego lidera, Mateusza Kijowskiego. Reformatorzy widzą jasno, że Kijowski był antyliderem, pogrążającym, nie zaś windującym opozycję. W grudniu ubiegłego roku Michał Olszewski wyjaśniał na łamach „GW", dlaczego nie zrzucił się „na stypendium dla informatyka". „Jako etatowy niemalże uczestnik demonstracji organizowanych przez KOD nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego jego założyciel, szukając sposobów na podniesienie się z pozycji leżącej, stosuje metody, które pogrążają go jeszcze bardziej, a wraz z nim cały ruch społeczny" – gorzko stwierdzał publicysta. I dalej pisał: „Po pierwsze, zdrowy mężczyzna w sile wieku, z zawodu informatyk […], mieszkaniec miasta stołecznego Warszawy (rekordowo niskie bezrobocie od lat), ma obowiązek płacić alimenty co do złotówki. Jest to kwestia, która nie podlega dyskusji, i trudno się dziwić, że tabloidy oraz prawicowa propaganda podchwyciły ów wątek, czyniąc z niego młot na Kijowskiego".

NA ROZSTAJACH

Po przeciwnej stronie, wśród twardogłowych i antypisowskiego betonu, prym wiedzie Wojciech Maziarski. Maziarski nie ustępuje ani na krok, jest niezłomny niczym skrzyżowanie Wiesława Górnickiego z Jerzym Urbanem. Nie krytykuje opozycji, skupia się na opisywaniu strasznego życia pod kaczystowskim jarzmem. Odpowiada Olszewskiemu: „[…] trudna sytuacja Kijowskiego jest spowodowana tym, że nie może znaleźć pracy. Choć jest informatykiem w mieście stołecznym Warszawa, jego polityczna przeszłość sprawia, że nikt nie chce podjąć z nim współpracy. […] Jeśli Olszewski ma jakiś konkretny pomysł i zna firmę gotową skorzystać z informatycznych usług Kijowskiego, nie powinien udzielać dobrych rad w gazetach, tylko skontaktować zainteresowanych ze sobą". Tekst Maziarskiego ukazał się 22 grudnia. Tymczasem jeszcze pod koniec listopada ofertę pracy przedstawił Kijowskiemu przedsiębiorca z Łodzi. Reakcji nie było. Jednak Maziarski takich sytuacji woli nie zauważać. Na siłę kreuje legendę politycznego męczennika Kijowskiego, w dodatku stwierdzając: „Jednak w takiej dyskusji trzeba ważyć wszystkie argumenty, uwzględniając nie tylko to, co Kijowski zrobił złego, ale także to, jakie były jego pozytywne dokonania i zasługi. Waga ma bowiem dwie szale, a zbudowanie ruchu, który pozwolił Polakom po 2015 r. stawić opór dyktaturze »dobrej zmiany«, jest rzeczą nie do przecenienia". Skoro „dobra zmiana", to oczywiście „dyktatura". Maziarski jako główny przedstawiciel twardogłowych w „GW" nie pojął, że to KOD wprowadził totalną opozycję na błędną ścieżkę, która sprowadziła poparcie dla PO poniżej 20 proc.

Dzisiaj łatwiej znaleźć w „Wyborczej" opinie krytyczne wobec PO i Nowoczesnej niż choćby neutralne. Na Czerskiej zaczęto sobie zdawać sprawę, że z tymi końmi daleko się nie zajedzie. Nie ma jeszcze decyzji kierunkowej – czy główną szansą ma być zjednoczenie sił, które już są, i przez to uzyskanie nowej jakości, czy może raczej wzmacnianie całkiem nowej siły, opartej na skrajnej lewicy. Żaden z wariantów nie wydaje się optymalny. Jak celnie zauważa Żakowski, totalna opozycja parlamentarna nie chce się zmienić. Skrajna lewica z kolei – czego już publicyści „GW" nie widzą – pozostaje w konserwatywnej Polsce marginesem.

Nie wiadomo, na ile uważnie czytają publicystykę „GW" politycy PiS. Być może uznali, że już nie muszą. To jednak błąd. Redakcja z Czerskiej jest ogromnie osłabiona, ale wciąż pozostaje strategicznym centrum opozycyjnego mordoru. Jej wpływ na realną politykę ogromnie zmalał, ale rosnąca tam świadomość, że recepta Agnieszki Holland jest marnej jakości, może się w końcu przełożyć na konkret. Ugrupowanie Kaczyńskiego powinno być na to gotowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Rozmiękczanie linii?

Tomasz P. Terlikowski

W redakcjach liberalnych mediów (także tych podpisujących się jako katolickie) wystrzeliły korki od szampanów. Jeden z najmocniejszych katolickich, a jednocześnie konserwatywnych głosów został – jak wiele na to wskazuje – skutecznie spacyfikowany

FOT. M.LASYK/REPORTER

Sprawę można oczywiście przedstawiać łagodnie, do czego nieustannie namawiają wzywające do zaufania rzesze (coraz mniej liczne, ale jednak) księży, a także świeckich. Arcybiskup Wiktor Skworc, jak informuje oświadczenie kurii katowickiej (co ciekawe, nawet strona Gosc.pl – przynajmniej w środę – go nie przedrukowała), odwołał na wielokrotnie ponawianą prośbę ks. Marka Gancarczyka z funkcji redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego". Jego miejsce zajął dotychczasowy oficjał Sądu Metropolitalnego ks. dr Adam Pawlaszczyk (wcześniej także kanclerz kurii). Wśród jego zasług medialnych w komunikacie kurii wymieniony jest fakt, że pisze wiersze, piosenki, a także bywał gościem (bo tyle zazwyczaj oznacza współpraca) w lokalnych śląskich mediach. Jednym słowem – nie ma on doświadczenia medialnego, ale za to ma zaufanie kurii katowickiej. Słowem – nic takiego się nie stało, a zmiana jest absolutnie standardową reakcją na zmęczenie dotychczasowego redaktora naczelnego.

OSZCZĘDNE DYSPONOWANIE PRAWDĄ

Kłopot z tymi wyjaśnieniami jest tylko taki, że bardzo oszczędnie dysponują prawdą (by nie napisać ostrzej). Ksiądz Marek Gancarczyk jeszcze kilka tygodni temu rozmawiał, także ze mną, o szczegółowych planach rozwoju jednego z segmentów imperium medialnego „Gościa", jego współpracownicy w wielu rozmowach podkreślają, że nie miał zamiaru rezygnować z funkcji, a on sam dyskretnie (to cecha charakterystyczna tego kapłana) milczy. Nie ma ani słowa o własnej prośbie także w felietonie, w którym były już redaktor naczelny żegna się z czytelnikami. Jednym słowem – nic, co by sugerowało, że taka prośba rzeczywiście padła. Osoby związane z archidiecezją katowicką potwierdzają zresztą, że – jakkolwiek byłoby to przykre – oświadczenie kurii nie jest prawdziwe, a powody odwołania ks. Gancarczyka są inne.

Jakie? Odpowiedź jest wielowątkowa. Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że konflikt na linii abp Wiktor Skworc – ks. Marek Gancarczyk tlił się od dawna. Metropolita katowicki nie przepadał za cichym kapłanem i uważał, że „Gość Niedzielny" nie prezentuje odpowiedniej linii politycznej, jest zbyt blisko związany z partią rządzącą obecnie Polską (choć każdy czytelnik portalu czy tygodnika wiedział, że zdarzały się w nim także tek-

eprasa.pl 65aebf6e22

sty bardzo krytyczne wobec Prawa i Sprawiedliwości). Zaskakiwać może również to, że nieszczególnie cenił arcybiskup umiejętności medialne kapłana, który wyprowadził podupadający tygodnik na prostą i uczynił z niego potęgę na nie tylko katolickim rynku medialnym. Gdy odbywał się synod archidiecezji katowickiej, ks. Gancarczyk nie został członkiem podkomisji ds. mediów, a jedynie jej konsultorem, co może świadczyć o tym, że nie doceniono jego umiejętności i wiedzy.

I to właśnie ta niechęć, także politycznie motywowana (bowiem nieprzypadkowo abp Skworc uchodzi za zwolennika raczej PO niż PiS), miała się stać – zdaniem wielu moich rozmówców – przyczyną odwołania redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego".

NIEZGODNOŚĆ Z LINIĄ FRANCISZKA?

Innym, pojawiającym się w rozmowach, a także w doniesieniach medialnych, argumentem na rzecz odwołania ks. Gancarczyka z funkcji redaktora naczelnego jest… rzekoma niezgodność z linią Franciszka, jaką prezentować miał „Gość Niedzielny". Taki powód odwołania ks. Gancarczyka podała, powołując się na źródła w nuncjaturze, katowicka „Gazeta Wyborcza", sugerując nawet, że opcję odwołania miał wspierać nuncjusz apostolski. Ta informacja została niemal natychmiast sprostowana przez rzecznika Konferencji Episkopatu Polski ks. Pawła Rytel-Andrianika. – Z upoważnienia ks. abp. Wiktora Skworca, metropolity katowickiego, podaję do wiadomości, że nieprawdziwa jest informacja opublikowana w „Gazecie Wyborczej Katowice" w artykule pt. „Arcybiskup dymisjonuje szefa »Gościa Niedzielnego«. Poszło o papieża Franciszka?" z dnia 23 stycznia 2018 r. (Katowice.wyborcza.pl, godz. 21.38) i powielana przez inne media, jakoby: „Za zmianami w tygodniku miała również opowiadać się Nuncjatura Apostolska, bo pismo pozwalało sobie na krytykę papieża Franciszka". Jest to fake news – mówił ks. Rytel-Andrianik podczas konferencji prasowej, prosząc o sprostowanie tej informacji.

To wyjaśnienie kończy pytanie o udział nuncjatury w odwołaniu redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego", ale wcale nie oznacza, że opinie teologiczne tygodnika nie miały wpływu na decyzję arcybiskupa. Nie jest żadną tajemnicą, że „Gość Niedzielny" bez entuzjazmu odnosił się do liberalnych interpretacji adhortacji „Amoris laetitia" i do udzielania komunii rozwodnikom w ponownych związkach, na co zgodzili się np. biskupi regionu Buenos Aires. Działania w sprawie ks. Marka Gancarczyka – jak mówili mi moi rozmówcy – nabrały zaś tempa, gdy… arcybiskup powrócił z Rzymu. Czy oznacza to polecenie? Niekoniecznie. Arcybiskup Skworc ma opinię człowieka, który sprawnie odczytuje obecną linię i wciela ją w życie. A w Rzymie, o czym coraz częściej informują watykaniści, sytuacja jest jednoznaczna: wszystkie siły zostały rzucone na odcinek „zmiany paradygmatu w Kościele". Kilka tygodni temu mówił o tym kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej. – „Amoris laetitia" oznacza „zmianę paradygmatu w Kościele" – oznajmił. Hierarcha ten jest drugą osobą w Kościele katolickim. – Prawdopodobnie trudności, które pojawiły się i nadal istnieją w Kościele, są związane – poza pewnymi aspektami jej treści – także ze zmianą paradygmatu, o jaką prosi nas papież – wyjaśniał kard. Parolin. – Każda zmiana przynosi trudności, ale one muszą być rozwiązywane i trzeba wobec nich stawać z zaangażowaniem – dodał hierarcha.

JEST NADZIEJA

Sugestie dotyczące teologicznych podstaw odwołania ks. Gancarczyka, choć wyglądają na wiarygodne, mają jeden słaby punkt. Otóż jeśli szukać osób, które były mózgiem teologicznym redakcji, to nie był to ks. Marek Gancarczyk (geniusz zarządzania, ale niechętnie piszący duże teksty teologiczne), ale jego zastępca ks. Tomasz Jaklewicz. Ten jednak, na prośbę arcybiskupa, w redakcji pozostał, i to na stanowisku wicenaczelnego. W sytuacji, gdy nowy naczelny kompletnie nie zna się na mediach, rola wicenaczelnego znacząco rośnie, a nic nie wskazuje na to, by w poglądach teologicznych ks. Jaklewicza cokolwiek miało się zmienić. Z redakcji płyną też sygnały, że nowy naczelny dystansuje się od wszelkich zmian, zapewnia, że rewolucji nie będzie i że nic się w istocie nie zmieni. Tyle że w takiej sytuacji działania abp. Skworca stają się jeszcze bardziej absurdalne, bowiem… musiałyby mieć one jedynie przyczyny osobiste. A trudno uwierzyć, by tak ryzykowną decyzję podjęto wyłącznie z przyczyn osobistych.

Jest jednak jeszcze wniosek ogólniejszy płynący z całej tej sprawy. Nominacja bardzo dobrego prawnika i kurialisty na stanowisko dziennikarskie (i to w zastępstwie człowieka, który odniósł ogromny na tym stanowisku sukces) pokazuje, że abp Skworc uznał, iż od medialnego zaangażowania i wiedzy ważniejsze jest dobre usadowienie w kurii, a do robienia mediów nie trzeba żadnego doświadczenia, wystarczą dekret biskupa i jego zaufanie. Niestety, wcale tak nie jest, bowiem w mediach od zaufania biskupa (a nawet arcybiskupa) ważniejsze jest zaufanie czytelników. To zaś buduje się latami, a bardzo szybko można stracić. Nie jest niestety wykluczone, że takim, a nie innym sposobem rozegrania tej sprawy „Gość Niedzielny" część (życzę i nowemu naczelnemu, i dziennikarzom „GN", aby jak najmniejszą) owego zaufania właśnie utracił.

Takie traktowanie mediów przez Kościół w Polsce wynika jednak z dziwnego rozumienia ich roli. Dla większości hierarchów media katolickie mają być wyłącznie narzędziem budowania pozytywnego PR i zgodnego klaskania obecnemu kościelnemu mainstreamowi. Takie media nie tylko nie odgrywają roli czwartej władzy, lecz także nawet nie przyczyniają się do wzmacniania Kościoła, bo wcześniej czy później ludzie przestają je czytać, uznając za biuletyny diecezjalne.

Poważne katolickie media na Zachodzie (a akurat w tej kwestii warto się od katolików brytyjskich, amerykańskich czy włoskich uczyć) są niekiedy bardzo krytyczne nie tylko wobec własnych biskupów, lecz także wobec posunięć Kurii Rzymskiej czy niektórych wypowiedzi papieży (także Franciszka). „Catholic Herald", „National Catholic Register" czy portal La Nuova Bussola Quotidiana potrafią bardzo ostro punktować decyzje dyplomacji watykańskiej dotyczące Chin, analizować wypowiedzi papieskie pod kątem ich zgodności z prawem kanonicznym (Franciszek, przy licznych swoich duszpasterskich zaletach, nie jest specjalistą w tej dziedzinie), a nawet atakować najbliższych współpracowników papieża za malwersacje finansowe, obronę homoseksualistów czy próby rozmywania doktryny. Metoda zarządzania polskimi mediami katolickimi pokazuje, że długa droga jeszcze przed nami. Wielu dziennikarzy w mediach kościelnych próbuje wprawdzie wykonywać poważnie swoją pracę, ale – jak pokazuje decyzja w sprawie ks. Marka Gancarczyka – wcale się ich za to nie docenia. Może to zatem szansa dla niezależnych, prowadzonych przez świeckich mediów, odwołujących się do Kościoła, ale rezygnujących z oficjalnego glejtu hierarchii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Zbrodniarz, książka i... cenzura

Marcin Makowski

Po publikacji „Listy Wächtera" Magdaleny Ogórek syn generała SS zapowiedział, że zrobi wszystko, aby zablokować jej sprzedaż. Dlaczego tak bardzo mu na tym zależy?

Gdy w grudniu 2017 r. ukazała się nowa książka Magdaleny Ogórek pt. „Lista Wächtera. Generał SS, który ograbił Kraków", można się było spodziewać, że wywoła dyskusję. W końcu polityczna atmosfera wokół reparacji wojennych gorąca, a sam temat odzyskania wykradzionych z Polski dzieł sztuki – otwarty. Dosyć szybko okazało się jednak, że na debatach w gronie ekspertów się nie skończy. Z pretensjami oraz zapowiedzią sądowej blokady dystrybucji książki wystąpił bowiem Horst von Wächter – syn Ottona von Wächtera, zastępcy Hansa Franka, gubernatora okupowanych ziem polskich. Chociaż jeszcze kilka miesięcy wcześniej udostępniał Magdalenie Ogórek rodzinne archiwa, to dziś twierdzi, że został okłamany. A historia jego ojca to losy człowieka ratującego Żydów i Polaków. Trudno o większe kuriozum i dowód na to, że denazyfikacja w Niemczech oraz Austrii nigdy nie przebiegła do końca.

RODZINNA KRUCJATA

„Książka Ogórek to wstyd dla wszystkich, nie tylko dla Polaków. To największa oportunistka, jaką poznałem" – zaczyna swój list 77-letni Horst, gdy proszę go o wyjaśnienie, w jakich okolicznościach z apologety publikującego w sieci wspólne selfie zamienił się w zajadłego wroga dziennikarki. Dla niego to sprawa skrajnie osobista, a przy takich nie ma półśrodków. Jak dodaje, czuje się moralnie zobligowany do pozwania wydawnictwa, które dopuściło się „reputacyjnego morderstwa" na jego rodzinie. Według Horsta kara za takie „przewinienie" może być tylko jedna – zablokowanie możliwości dystrybucji „Listy Wächtera" i proces o zniesławienie.

– Sama zachodzę w głowę, skąd u niego tak radykalna zmiana – mówi „Do Rzeczy" Magdalena Ogórek. – Chyba po raz pierwszy otwarcie musiał się zmierzyć z prawdą o swoim ojcu, który brał udział w machinie Holokaustu. Nasza współpraca zaczęła się dobrze, ale w tej chwili wydaje się, jakby to była cyniczna gra, a Horst liczył na książkę, która przemilczy niewygodne fakty – sugeruje autorka „Listy...". Jej zdaniem kluczową rolę w skierowaniu sprawy do sądu mogło odegrać rodzeństwo, obawiające się o kontrolę własnego majątku. – Horst zaraz po premierze książki zaczął publikować chaotyczne oświadczenia na Facebooku. W jednym z nich twierdzi, że w drugiej posiadłości Wächterów, w Salzburgu, nie ma zrabowanych dzieł sztuki.

FOT. ARTUR WIDAK/ZUMA PRESS/FORUM

Jednak ja o tej posiadłości w kontekście pochodzenia obrazów nawet nie wspominałam – tłumaczy Ogórek.

Patrząc na postawę prezentowaną w mediach przez mężczyznę, najdelikatniej można ją określić mianem zaawansowanego syndromu wyparcia. Zapytany przeze mnie, kim był jego ojciec, odpowiada bez ogródek: „Przede wszystkim sportowcem i politykiem". O tym, że równocześnie od 1923 r. służył w SA, następnie w SS, a członkiem NSDAP został w 1930 r. nie wspomina. Dla syna to „służba państwu". Tak samo jak planowanie spisku politycznego mającego obalić rząd austriackiego kanclerza Engelberta Dollfussa, piastowanie funkcji gubernatora dystryktu krakowskiego i galicyjskiego czy utworzenie zbrodniczej 14. Dywizji Grenadierów SS. – Horst traktowany jest na Ukrainie w niektórych środowiskach jak dziecko bohatera. Pewnego razu we Lwowie z dumą wpiął sobie w marynarkę przypinkę z insygniami SS-Galizien. Kazałam mu ją zdjąć, ale on tłumaczył, że to przecież najdalej wysunięta na wschód jednostka niemiecka. Duma – opowiada Ogórek.

Doktor Joanna Lubecka, przez lata korespondująca z Horstem, przypomina o jeszcze jednej roli prawej ręki Hansa Franka. – Otto odpowiadał również za budowę krakowskiego getta dla ludności żydowskiej – mówi historyk krakowskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Jej zdaniem Horst to człowiek niezwykle inteligentny, który potrafi oszukać rozmówców i grać na emocjach. Właśnie te cechy najlepiej było widać podczas przekazania w Krakowie dzieł sztuki, które – jak twierdzi – odnalazł przypadkiem w swojej posiadłości. – On na tym zrobił genialny PR-owski biznes. Pisano o nim na całym świecie jako o wzorcowym synu nazisty, starającym się zadośćuczynić za zbrodnie ojca. Historycy sztuki jednak szacowali, że przekazane dzieła poza wartością sentymentalną warte są maksymalnie kilkanaście tysięcy złotych – twierdzi Joanna Lubecka.

SPRAWIEDLIWY OJCIEC, POBOŻNA MATKA

Nie trzeba szczegółowej kwerendy, aby przekonać się, że wszystko, co mówi Horst von Wächter, podporządkowane jest temu samemu celowi co próba zablokowania książki Magdaleny Ogórek. Przekonania, że jego rodzina, a w szczególności ojciec, to bohaterzy. „Dobrzy naziści". „Sam tytuł książki wydawał mi się bardzo ciekawy. Sądziłem, że czerpie inspirację z »Listy Schindlera«, a jej treść będzie nawiązywać do tysięcy ludzi, których ocalił mój ojciec. Nie spodziewałem się, że rzekomo ukradzione obrazy będą jedynym zainteresowaniem Magdaleny Ogórek" – twierdzi Horst, dodając, że jego zaufanie zostało brutalnie wykorzystane. Jak przyznaje dr Lubecka, Otto faktycznie zasłużył się ocaleniem rodziny Lubomirskich od wywózki do obozu, ale z bardzo konkretnego powodu. – Wächter zrobił to ze względu na bliską znajomość i arystokratyczną więź. Obie rodziny spotykały się przed wojną m.in. na nartach w Szwajcarii, dlatego to była dla gubernatora sprawa osobista – tłumaczy historyk. Paradoksalnie opowieść o tym wydarzeniu znajduje również swoje miejsce w książce. Nie została pominięta.

– Horst stale powtarza mantrę o swoim ojcu, który rzekomo uratował tysiące Żydów i Polaków. „On mógł wielokrotnie wydać wyroki, w wyniku których zginęłoby więcej osób, ale tego nie robił". To kompletna relatywizacja historii. Mamy nagle doceniać morderców, że mogli zabić dwa tysiące osób, a zabili półtora tysiąca? – oburza się Magdalena Ogórek. Twierdzi również, że wszystko wskazuje na to, iż Horst w swoje słowa po prostu wierzy. Podczas jednego ze spotkań miał nawet sugerować, że ojciec w zamian za ocalenie Lubomirskich powinien otrzymać medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata".

Na pytanie o matkę Horst odpisuje mi, że „baronessa Charlotte była niezwykle religijną kobietą, chodzącą codziennie do kościoła", „kochała swoje dzieci", a obrazy, które zabrała z Polski, np. z pałacu Potockich, w którym przez jakiś czas mieszkali, w rzeczywistości „uratowała przed zniszczeniem". Czyli ujmując sprawę tak prosto, jak się da – powinniśmy być von Wächterom i innym „dobrym nazistom" wdzięczni, że chronili naszą sztukę oraz nie zabili tak wielu rodaków, jak mogli.

KŁAMSTWA A HISTORIA

Trzeba przyznać, że w tym, co robi, syn generała SS jest nie tylko pozbawiony wątpliwości, lecz także – gdy wymaga tego sytuacja – wewnętrznie sprzeczny. E-mail rozsyłany po mediach, który pierwotnie skierował do dyrekcji Muzeum Narodowego w Krakowie w styczniu tego roku, zaczyna się od następującego zdania: „MOI RODZICE NIE MAJĄ NICZEGO WSPÓLNEGO ZE SZTUKĄ WYKRADZIONĄ Z POLSKI!". Tymczasem jeszcze 27 lutego 2017 r. ten sam Horst von Wächter oficjalnie przekazał polskim władzom obraz pałacu Potockich, mapę XVII-wiecznej Rzeczypospolitej oraz grafikę renesansowego Krakowa, którą jego matka zabrała w 1939 r. z… tego samego muzeum. – Nie wiem, dlaczego tak radykalnie zmienił zdanie, jeśli chodzi o przekazane Krakowowi dzieła sztuki. Sam mówił w polskiej telewizji, że liczy, iż inni potomkowie esesmanów również pójdą jego śladem i zwrócą zrabowane Polsce obrazy – dziwi się Ogórek. Postawa mężczyzny jest nie do obrony również z perspektywy historycznej. „Tak samo zabrano z Muzeum Narodowego rzeźby i obrazy tzw. cechowego malarstwa i średniowieczne oraz najcenniejsze obrazy (Gierymski, Matejko) dla ozdobienia komnat P. Wächtera pod Baranami. P. Wächterowa sama oglądała i wybierała meble i szafy gdańskie" – zapisał w swoim pamiętniku pod datą 22 grudnia 1939 r. Edward Kubalski, były sekretarz w krakowskim magistracie.

– Niestety, bezpośrednie dowody na grabież polskich dzieł sztuki przez rodzinę Wächterów są trudne do zdobycia, ale poszlak jest wiele. Dlaczego mieliby się zachowywać inaczej niż liczni oficjele III Rzeszy, którzy zabierali z muzeów, co im się podoba? Ciekawym zagadnieniem jest również ich powojenny majątek. Pomimo arystokratycznego pochodzenia Wächterowie nigdy nie byli zamożni. Po wojnie klepali biedę. Skąd w takim razie po śmierci matki Horst zdobył tyle pieniędzy, że mógł kupić za nie cały zamek? – opowiada w rozmowie z „Do Rzeczy" jeden z dobrze zorientowanych w sprawie historyków, który pragnie zachować anonimowość. – W trakcie naszej znajomości Wächter przedstawił mi się jako biedny człowiek, który utrzymuje się z emerytury. Podczas licznych wizyt płaciłam rachunki w restauracjach, fundowałam podczas podróży hotele. A teraz nagle ma na prawnika, na tłumaczenie książki i chętnie zleci komuś napisanie pozytywnej książki o swoim ojcu – nie kryje emocji Magdalena Ogórek. Jak przyznaje na końcu naszej rozmowy, dopóki polski sąd nie orzeknie w sprawie „Listy Wächtera", dopóty nie będzie respektować ewentualnego zakazu publikacji nałożonego w Austrii. Zrobi również wszystko, aby przetłumaczyć swoją pracę na angielski i niemiecki. – Ludzie powinni się dowiedzieć, jak wyglądała prawda – tłumaczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Moja książka to arcydzieło

Ze Sławomirem Jastrzębowskim, redaktorem naczelnym „Super Expressu”, autorem książki „Toksyna”
rozmawia Agnieszka Niewińska

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Za chwilę do księgarń trafi pana debiut literacki – „Toksyna”. Sam pan mówi, że to książka obrzydliwa. Zastanawiam się, po co pan ją napisał. To żart ze współczesnych literatów, czytelników, rynku książki?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI: W warstwie językowej książka jest intencjonalnie wstrętna, obrzydliwa, nie do zaakceptowania, podobnie jak świat, który opisuje. Jest to jednak książka głęboko moralna, to egzystencjalny poemat o rozpaczy. Nieprzypadkowo we wstępie przywołuję „Skowyt” Ginsberga.

Sławcio – główny bohater – to właściciel agencji PR. Oprócz porad wizerunkowych oferuje likwidację przeciwników politycznych. Pakuje na siłowni, wstrzykuje sobie sterydy, racząc czytelnika opisami, jak na nie reagują jego genitalia. Dziewczyny podrywa, krzycząc przez okno bmw: „Ty, ruchasz się?”. Z cudzą żoną uprawia perwersyjny seks i nie szczędzi naturalistycznych opisów. Gdzie tu głęboka moralność?

Właśnie tu, bo główny bohater nienawidzi siebie, tego, co robi, i nazywa sam siebie śmieciem. Jest człowiekiem absolutnie złym, ma wszystkie możliwe wady – jest mizoginem, rasistą, homofobem uzależnionym od narkotyków, sterydów, alkoholu i seksu. I chociaż w porównaniu z innymi ludźmi ma niestety dość dobre zdanie o sobie, to siebie nie akceptuje. Chciałby być kimś innym, wskazuje kilku ludzi, na których chciałby się wzorować. Pada tam choćby nazwisko rtm. Pileckiego. Jest przed nawróceniem, szuka dwóch podstawowych wartości. Żebrze o nie.

Złego człowieka szukającego wartości można pokazać zupełnie inaczej. A u pana obelżywe słowo na „ch” to chyba najczęściej padający wyraz. Przekleństwa łączy pan w niespotykane wiązanki. Notował je pan na siłowni, w której rzeźbi biceps dla Polski?

Jakie wiązanki?

Na przykład taka: „Niech zstąpi chuj na jego rodzinę”.

Język w książce jest genialny. To nie jest zwykłe: „chuj”, „kurwa”. Wulgaryzmy są skonstruowane w taki sposób, aby czytelnik mógł dotknąć brudu świata, powąchać go.

Tak mówią warszawskie koksy – jak pan nazywa bywalców siłowni?

Zupełnie nie. I nie jest to także język naszych polityków, choć tak można by sądzić, słuchając taśm z restauracji Sowa i Przyjaciele, ale politycy to zazwyczaj są prości ludzie, nieposiadający wrażliwości językowej, często także choćby średniej inteligencji. Pomysłowość tych kombinacji językowych w mojej książce wskazuje, że jest to język starannie wykształconego psychopaty posługującego się nim w sposób twórczy. Znam takich ludzi.

Popytałam. Nie jest pan ignorantem, czyta pan ambitną literaturę, zna się pan na poezji. To po co serwuje pan taką książkę i taki język?

Bo polska mdła literatura potrzebowała wstrząsającego arcydzieła. Szok jest dobrą formą komunikacji. Ta książka może zostać odczytana na kilku poziomach. Prostactwo, w tym wykształcone prostactwo, odczyta to mniej więcej tak: głupi bohater, degenerat, robi głupie, obrzydliwe rzeczy, a wszystko jest napisane przez prymitywa z tabloidu. Jeżeli ktoś jednak zna kody kultury popularnej i arcydzieła literatury, czytał choćby „Na wspak” Huysmansa, przeanalizował „Bohatera naszych czasów” Lermontowa czy „Skowyt” Ginsberga, to odnajdzie w mojej książce pomieszanie gatunków, różne tropy literackie, które tam pozaszywałem, jak choćby sytuacyjny cudzysłów komiksu Quentina Tarantino czy postać Komedianta z genialnych „Strażników”. No, ale do tego trzeba posiadać pewne narzędzia w głowie.

Debiutujący literaci, pytani, skąd pomysł na książkę, często odpowiadają, że z potrzeby opowiedzenia o czymś. Pan też miał taką potrzebę?

Nie. Nie miałem żadnej potrzeby, w wieku 49 lat książka do niczego nie jest mi potrzebna, choć jako dziecko chciałem być pisarzem. Przez literaturę chciałem dotrzeć do absolutu. Wcześnie zacząłem czytać Biblię, pochodzę zresztą z bardzo religijnego, katolickiego domu. Literatura była otwarciem nowych perspektyw, chciałem doświadczyć czegoś, co daje odpowiedzi na zasadnicze pytania. Zależało mi jednak na tym, by uniknąć losu większości literatów, którzy byli strasznie biedni, dlatego jako dziecko jednocześnie chciałem być cinkciarzem. Ci to używali

życia: mieli pieniądze, złote łańcuchy i zagraniczne samochody. Cinkciarzem nie zostałem, nie wiem, czy zostanę pisarzem.

Wydał pan właśnie książkę.

Nie uważam się za pisarza. Skończyłem filologię polską. Czytam dużo książek. Usiadłem do jednej, polskiej książki, którą mi ktoś polecił. Przeczytałem 20–30 stron i wyrzuciłem ją do kominka. Była beznadziejna, głupia, nijaka. Jak można pisać takie książki? Dlaczego takich marnych książek jest tak dużo? Dlaczego ci ludzie niczego nie przemyśleli? Dlaczego nie potrafią nic opowiedzieć? – zastanawiałem się. Dlaczego taka jest współczesna literatura polska? A że żona z dziećmi gdzieś wyjechała, to usiadłem i w dwie noce napisałem książkę, i przez miesiąc ją dopieszczałem. Ona nie powstała z potrzeby, ale z buntu. Nie myślałem nawet o tym, żeby ją wydać, ale ochłonąłem, przeczytałem ją i powiedziałem sobie: „Genialna, rewelacja!”.

Tak, o pana skromności krążą legendy.

Nie mam czasu na skromność. Ta książka to arcydzieło, pomieszanie gatunków, żonglerka konwencjami i bardzo gorzka ocena fragmentu naszej rzeczywistości.

A mnie się wydaje, że taką książkę można napisać albo dla zgrywu, albo dla kasy, albo dla popularności. Może jednak chciał pan napisać „50 twarzy Greya” w odsłonie dla koksów i być jak E.L. James?

Dla kasy? Jestem bardzo dobrze opłacanym pracownikiem. Nie pisałem tej książki dla pieniędzy.

Wydawcy ustawiali się do pana w kolejce?

Pięć wydawnictw odrzuciło tę książkę. Jedno odpowiedziało mi, że jest zbyt drastyczna. Pani z innego wydawnictwa napisała mi, że ta książka ją zgwałciła. To była dla mnie bardzo dobra recenzja, bo zobaczyłem, że książka działa.

Czeka pan na opinie krytyków? Jeden, który pożyczył mi pana książkę, zapytał, dlaczego chcę czytać taką grafomanię.

Czekam na recenzje ludzi, którzy się znają na literaturze, krytyk, którego pani przywołała, nie należy do tego grona. Czekam na opinie tych, którzy operują odpowiednim aparatem pojęciowym, przeczytanymi lekturami i potrafią bawić się konwencjami. Niestety, polscy krytycy literaccy to w większości zmanierowane eunuchy. Spodziewam się więc stereotypów typu „cynik, książka napisana dla pieniędzy, skandalista”. To tylko rechot.

Rechot, którym jest pan zachwycony. Udostępnia pan niepochlebne recenzje, retweetuje nieprzychylne wpisy.

Jestem prowokatorem. Widzę ludzi, którzy mają małe móżdżki, ale za to kompletnie niepofałdowane. Nazywam ich lewaczkami. Kiedy lewaczek, który myśli, że jest bardzo postępowy, a niczego nie rozumie, rzuca się z jakimś rechotem, to mnie to bawi. Zastanawiałem się nawet, czy nie wydać książki pod pseudonimem, ale pomyślałem, że stracę wielki atut, jakim jest nienawiść lewaczkowych recenzentów. Skoro mnie nienawidzą, to będą mi chcieli zrobić mnóstwo złego, a jak będą chcieli mi zrobić mnóstwo złego, to wyjdzie z tego kapitalna promocja książki. Przeczytałem np. wybór cytatów, który zrobił ASZ Dziennik, i pomyślałem: fajnie! To jest kapitalna metoda, znam to, w końcu jestem redaktorem naczelnym tabloidu.

No pewnie, sam pan tak ludzi ośmiesza.

Proszę pani, znam zasady, w ten sposób można szybko wykazać, jakim głupim człowiekiem był James Joyce. Mogę wziąć do ręki „Ulissesa” i w 10 minut wynaleźć wiele takich cytatów. Banalna technika.

Wróćmy do Sławcia. Ten obrzydliwy bohater to pana alter ego?

Na szczęście nie. Nie mam takiego życia jak Sławcio, ocaliła mnie miłość, jestem w fantastycznym związku, nigdy nie miałem ciągot do prowadzenia takiego życia jak mój bohater. Jednak przydając mu swoje cechy, dokonałem pewnego zabiegu literackiego: ma tak samo na imię, chodzi na siłownię tak jak ja, ma biceps 48 cm jak ja, czyta poezję…

… lubi drogie marki i gadżety tak jak pan.

Tak. Lubię gadżety, lubię marki, lubię sobie fajnie pożyć. I jeżdżę bmw jak Sławcio. Pozaszywałem w książce pewne rzeczy, które mogą wskazywać na moją osobę, ale to tylko prosprzedażowa prowokacyjka. I zadziała.

Przepytuje pan polityków, ma pan program w publicznym radiu. Tak wulgarna książka panu nie zaszkodzi?

Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi zaszkodzi, a co mu otworzy drzwi. Dla polityków to nie będzie wielki problem, bo w literaturze może się wszystko wydarzyć. A przez to, że mój narrator rzuca kurwami, książka może dotrzeć do ludzi, którzy zwykle nie sięgają po literaturę.

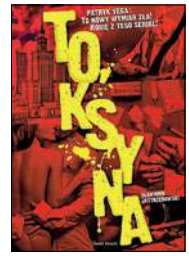

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI „TOKSYNA” ŚWIAT KSIĄŻKI 2018

Arcydzieło plus promocja czytelnictwa.

Postanowiłem napisać książkę, która jest interesująca, bo literatura powinna być interesująca. Znajoma, która czytała „Toksynę”, odkładała ją trzy razy. Wracała, bo była ciekawa, co bohater jeszcze wymyśli. Starałem się uzależnić ludzi od moich obrazów, a bohaterem uczynić psychopatę. Czytelnik może wejść w jego głowę, obserwować świat jego oczami. Po tych 200 stronach nie można z tej głowy wyjść. Skończyła pani czytać książkę, a ona będzie się pani śniła.

Oby nie, proszę mnie nie straszyć. W książce pojawia się naczelny tabloidu. Gwiazda najpierw go pozywa, a potem z podkulonym ogonem wraca, by prosić o pomoc w promocji płyty. Naczelny zdejmuje z okładki zdjęcie pijanego polityka w zamian za to, że ten sprzedał kompromitujące fakty o przyjacielu z partii. To pana własne doświadczenia z „SE”?

Cała książka jest fikcją i tego będę się rozpaczliwie trzymać.

Sam się pan śmieje ze słów, które właśnie pan wypowiedział.

Absolutnie się ich trzymam. Jest tam jedynie zaszytych kilka dzieł literackich i kilka postaci.

Premier Mareczek?

Jest całkowicie fikcyjny. Książkę pisałem, kiedy premierem była kobieta, więc proszę czytelników, żeby nie szukali żadnych powiązań, bo takowych nie ma.

Media obiegła informacja, że Patryk Vega nakręci serial na motywach pana książki. To marketingowy chwyt czy już szykuje pan scenariusz?

Książkę do przeczytania dałem Patrykowi Vedze rok temu i on się tym zachwycił. Stwierdził, że to jest tak dobre i tak chore, że napiszemy scenariusz serialu. Pomysł już został przedstawiony producentowi. Wygląda na to, że powstaną cztery odcinki, które będą obejmowały wątki polityczne „Toksyny”.

Wie pan, co zrobić, by nakręcić popularność.

Nieskromnie powiem, że się na tym znam.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

Andrzej Horubała

Nienawidzę Teatru Telewizji

Kompletnie nie wiem, po co mi ten tekst. Mam przecież też swoje drobne interesiki, które chciałbym rozwinąć w TVP, skąd przepędziła mnie PO, znów chciałbym z fasonem zajeżdżać na Woronicza, by coś tam poprodukować, mam swoich znajomych, którzy w tym całym biznesie robią i przecież całkiem szlachetne to postaci, a jednak nie mogę wytrzymać, po prostu nie mogę i znowu czuję się jak krytyk debiutant, który słyszy zewsząd syki i widzi miny strofujących go dorosłych i bardziej doświadczonych i wie, że oni chcą dla niego dobrze, że może lepiej nie zaczynać. No bo faktycznie: po co o tym opowiadać? Jest tyle książek do przeczytania, jest tyle filmów do obejrzenia, spektakli prawdziwych do zaliczenia. Jednak przecież to wszystko jakaś paranoja.

Chodzi o Teatr Telewizji. Wielkie osiągnięcie telewizji dobrej zmiany, znak, że oto siepacze z PiS nie tacy straszni, że mają też coś dla inteligentów, no i dla środowiska teatralnego, rzecz jasna.

Kuzyn Prezesa, Jan Maria Tomaszewski, w żenującym wywiadzie, którego udzielił Robertowi Mazurkowi („mam takie pier...ęcie z pięści, że mógłbym kilku delikwentów położyć..."), chwali się i puszy, jaki to wielki z niego mecenas. No tak: skłonił spółkę Skarbu Państwa do dotowania Teatru Telewizji. Coś, co w normalnym przypadku uchodziłoby za aberrację: krewniak prominentnego polityka załatwia kasę na deficytową produkcję, tu najwyraźniej uchodzi – w imię wyższej kultury – za gest mecenasa. Bo Teatr Telewizji to jakiś fetysz, to coś, co wymieniane jednym tchem z Kabaretem Starszych Panów ma być znakiem najwyższej jakości telewizyjnej sztuki, dotknięciem absolutu nieledwie.

TRUPA GOMBROWICZA

Groteskowe to wszystko: brat cioteczny jako mecenas – wiem, wiem groźna to postać, wpływowa, lepiej nie zadzierać – i to wielkie święto polskiej kultury, raz na dwa tygodnie premiera w telewizyjnej Jedynce. Teatr o największej widowni. Misja stuprocentowa. A ja po prostu nie jestem w stanie tego oglądać. Ostatni eksces tego gatunku – „Biesiada u hrabiny Kotłubaj" według zabawnego, lecz banalnego dość opowiadanka Witolda Gombrowicza i towarzysząca temu celebracja. Oto reżyser Robert Gliński zgromadził leciwych, lecz zasłużonych aktorów – Barbarę Krafftównę (lat 89), Annę Polony (79 lat) i Bohdana Łazukę (79 lat), no i do tego zaprzągł jeszcze wdowę po Witoldzie – Ritę Gombrowicz (lat 83), której przecież ostatnim mocnym akordem powinny pozostać wstrząsające, ekshibicjonistyczne wyznania poczynione Klementynie Suchanow. Aha, no to na takim tle faktycznie mógł w charakterze „młodego" obsadzić Piotra Adamczyka (lat 45). I szantażując taką doborową stawką aktorów, wystawić nie wiadomo co i nie wiadomo po co. Autor adaptacji, Jan Bończa-Szabłowski, ubogacił to opowiadanko dodanymi zupełnie ni priczom fragmentami innych dzieł autora „Iwony, księżniczki Burgunda", każąc na przykład Grzegorzowi Małeckiemu jako kucharzowi robiącemu przez cały spektakl tylko miny wyrecytować na koniec pokaźny fragment „Pamiętnika Stefana Czarnieckiego".

Potem, po tym spektaklu – bez sensu i potrzeby wystawionym – program „Tanie dranie" Krzysztofa Kłopotowskiego i Jakuba Moroza, którzy zamiast rozjechać ten żenujący pokaz podpinania się pod wielkości, ciumkając, odgrywają po raz kolejny rytuał opowieści, jaki to wielki jest Gombrowicz i jak wiele możemy się od niego nauczyć. Profesor Dariusz Gawin po raz setny chyba powtarza opowieści, że z jednej strony tak, a z drugiej inaczej, reżyser Gliński sprzedaje nam banały na poziomie licealnym. I to jest, jak rozumiem, szczyt inteligencji i wyrafinowania! Jedyne sensowne pytanie, mordercze, Kłopotowskiego, o to, jak zareagowałby Gombrowicz na Muzeum Powstania Warszawskiego, przecież zatapiające Gawina, wiceszefa tej placówki, nie zostaje pociągnięte, więc szlus, sprawa odfajkowana. W „Rzeczpospolitej" i nawet „Gazecie Wyborczej" pojawiają się pochwalne recenzje, rzecz zaliczona.

A we mnie po prostu coś skręca się na te pozory myślenia, pozory sztuki głębokiej,

eprasa.pl 65aebf6e22

„Biesiada u hrabiny Kotłubaj" – Bohdan Łazuka, Anna Polony oraz Barbara Krafftówna FOT. JAN BOGACZ/TVP/PAP

pozory sztuki drapieżnej! Wykalkulowany zestaw aktorów z potakującą wdową po Wielkim Pisarzu – zaiste groteskowa po gombrowiczowsku, to trupa (teatralna) – i pozór ostrej jak brzytwa dyskusji o współczesności. Se pogadali.

MINY DO KAMERY

Ale przecież tyle samo warte są i inne produkty Teatru Telewizji, z tymi gestami przerysowanymi, z tą estetyką sprzed kilkudziesięciu lat, aktorską i reżyserską manierą, patosem – akceptowalnymi może na teatralnych deskach, tutaj, dla mnie – śmiesznymi i wkurzającymi po prostu. Wiem, wiem, inni to kupują, to nie jest sprawa ideologiczna. Piotr Zaremba z zachwytem pisze o „Listach z Rosji", wyreżyserowanych przez zdolnego przecież Wawrzyńca Kostrzewskiego, i opowiada, że to wielkie dzieło, że przejdzie do historii polskiej kultury. „Pokazana przez moment twarz zamordowanego w Szlisselburgu młodego cara Iwana – będzie mi się śnić po nocach" – zapewnia nas Zaremba, no a ja przecież nie mam kompetencji, by zaprzeczyć, nie wiem, co tam śni się Piotrowi, może i zjawi mu się buzia aktora Marcina Bubółki z doczepionym zepsutym zębem. Takie to, panie, horrory.

O wyginających się przed kamerą aktorach, robiących miny dziwaczne a prezentujące głęboką wiedzę o Rosji, pisze Zaremba w samych superlatywach. I ja wiem, że to szczerze. Pisze Zaremba: „Sceny balowe na carskim dworze zarazem kojarzą się z wielką polską tradycją literacką (bal u Senatora z „Dziadów"), jak korzystają z dorobku współczesnej kinematografii kreacyjnej posługującej się groteską, symbolem, skrótem". Ha, ha, ha, chciałoby się rzec na te opowiastki o „dorobku współczesnej kinematografii kreacyjnej" – co to w ogóle za dziwoląg? – ale okazuje się, że nabiera się najwyraźniej na to nawet Michał Oleszczyk, koleś z innej bajki, umieszczający owe „Listy z Rosji" wśród złotych produkcji roku 2017.

Co ja poradzę, że ja nie mogę kupić tej konwencji? Po prostu. W teatrze realnym – jestem w stanie, w kinie – jestem, a w tym tworze pokracznym, niby-telewizyjnym, ale realizowanym tak, jakby nie było współczesnej techniki, jakby nie było filmów, jakby nie było Internetu, nie było nowego języka i nowej estetyki, tu po prostu nie mogę. Gdy widzę po raz kolejny Piotra Adamczyka z błąkającym się po twarzy uśmieszkiem, jak na tle jakichś płacht wygłasza słowa de Custine'a, którymi, gdy wydał je podziemny „Krąg", jaraliśmy się jeszcze za komuny, to przecież kompletnie mu nie wierzę. I przecież czy to Adam Ferency jako car, czy matka reżysera Halina Łabonarska w roli carycy, to dla mnie wciąż aktorzy recytujący swoje role w tekturowych i płóciennych umownych dekoracjach. Puste to wszystko dla mnie, tępe i niedrapieżne.

Jeśli ktoś kupuje taką konwencję, jest w stanie znieść aktorów strojących groźne miny do obiektywu, proszę bardzo. Tylko czy te rytuały do czegokolwiek prowadzą? Zdaje mi się Teatr Telewizji jakimś wielkim inteligenckim masturbatorem, pozorującym ruch myśli, a spełniającym tylko funkcje pustego obrzędu. Zapuszczam sobie na Vod.tvp.pl „Brata naszego Boga" (reż. Paweł Woldan), no i jakaś niemoc kompletna. Aktorzy, wcielający się w przyjaciół świętego brata Alberta Chmielowskiego, wspominają go, gadając do kamery, jakby nagrywany był jakiś dokument z ich udziałem, i jeszcze podgrywają, przerywają tekst wspomnienia, uśmiechają się, niby wahają, no koszmar jakiś. A scenografia? A życie drugiego planu? Zero. Kompletnie niewiarygodne przestrzenie. O, znajomkowie: Tadzio Chudecki jako bezdomny – w peruce i włóczkowym berecie coś peroruje; Arkadiusz Janiczek, etatowy esesman, tu z wniebowziętym, kompletnie niewiarygodnym uśmiechem braciszka zakonnego; a do tego Borys Szyc udający głęboką duchowość. Słucham ich, patrzę na nich i czekam tylko, który z nich wybuchnie śmiechem szyderczym z tego, co robi. Drewniany tekst Wojtyły, który owszem, mocował się ze swoimi dylematami, ale na miłość boską, nie stworzył arcydzieła, więc jakoś trzeba by było podejść do tego sposobem! A tak? – totalna porażka.

eprasa.pl 65aebf6e22

No i spektakl o Krystynie Skarbek – „Wojna – moja miłość" Wojciecha Nowaka z Małgorzatą Kożuchowską. Przykład bezsilności reżysera i aktorki. Pobrzmiewa w tym jakiś odgłos Teatru Sensacji, dawnej czwartkowej Kobry. Ten Londyn żałośnie robiony w telewizyjnym studiu. Czerwona budka telefoniczna, stary samochód, karafka ze „scotchem" przynoszona do hotelowego pokoju, stary telefon. No i Kożuchowska, której kreacja miała zdaje się przysłonić inscenizacyjne ubóstwo, wstrząsając opowieścią o ostatniej nocy w tragicznym życiu „ulubionej agentki Winstona Churchilla", pięknej, lecz przegranej, niepotrafiącej odnaleźć się w świecie bez wojny. No i Kożuchowska – niespecjalnie porusza. Inni aktorzy zresztą też – skoro to Teatr Telewizji, to gramy to tekturowo.

ZABICIE MARSZAŁKA

Ja wiem, jest kasa na Teatr Telewizji, jest zamówienie, to robimy Teatr Telewizji. Czyż nie w podobnym stylu rozłożono tekst Wojciecha Tomczyka o Piłsudskim? „Marszałek" w reżyserii Krzysztofa Langa. Zmanierowane, nudne widowisko. Temat niby ekscytujący: lata 30., stojący nad grobem stary Naczelnik, poczucie kresu niepodległości, wstrząsający projekt wojny prewencyjnej przeciw Niemcom. A w telewizorze – znani i lubiani aktorzy, ba – żeby tylko znani i lubiani, ale naprawdę zdolni, gotowi zagrać fantastyczne rzeczy: Mirosław Baka! Adam Woronowicz! – wygłaszają sztywno jakieś kwestie, osadzeni przy stole, prowadzeni po korytarzu. Wszystko rozgrywane płasko, prawda, bo to, panie, nie film, tylko sztuka telewizyjna, więc – choć rzecz gramy w naturalnych wnętrzach – nie ma zgody na to, by do kółka naszego recytatorskiego wtargnęło życie. Jeździmy od twarzy do twarzy, nie ma żartów. No i biedny Mariusz Bonaszewski, świetny przecież jako Marszałek, naprawdę robi, co może, wygina się, miota, ale przecież wsadzony jest w sztywne ramy Teatru Telewizji, między kukły i rekwizyty. Ma być uroczyście, pusto i nudno, będzie pusto, jak sobie stryjenka winszuje.

To po prostu wszystko jest nie do zniesienia!

Oglądam koszmarną „Lekcję polskiego" w reżyserii Mariusza Malca. Oglądam „Mocka", który ma mieć premierę w najbliższy poniedziałek. Znów: zdolny przecież reżyser, ten Łukasz Palkowski, ale wchodzi w konwencję jakąś dziwaczną, w inscenizację teatralną, która z kryminału czyni jakąś artystowską wariację. Odgrywa sceny w wielkich, ziejących chłodem przestrzeniach, aktor Warszawski przenosi grymasy z „Belfra", w którym grał oficera CBŚ. Zero realizmu, jakieś senne widziadła. Intryga, napięcie? Gdzież tam.

Ktoś powie, ale kup tę konwencję, to jak opera, no przecież trzeba zaakceptować umowność. No zgoda, to ja akceptuję – w teatrze. Ale nie tu, gdy serwuje się sztukę w jakimś rozkroku. Między manierą a realizmem. Mamy te rzeczy przerysowywać? To róbmy to jak w „Fernando Krapp napisał do mnie ten list" (to jeden z ostatnich spektakli, który mi się podobał, rok 1995, czasy naszej pampersiej świetności w telewizji: reżyseria – Marcin Ziębiński, scenografia – Anna Brodnicka, no i w rolach głównych Marek Walczewski z Małgorzatą Rudzką), róbmy to w sposób przerafinowany, jedźmy po bandzie, a nie tak: ni to, ni sio czyniąc. Albo jedźmy w kierunku, w jakim ciągnął sprawę Wojciech Smarzowski w „Małżowinie", w stronę filmu. Ale niech to będzie jakieś. Wyraziste, radykalne!

W STRONĘ FILMU

Czy nie lepiej, by jednak dać budżet na robienie telewizyjnych filmów? Choćby i ludziom związanym z teatrem, jeśli już w ten sposób mamy ich dotować. Strzępka z Demirskim w serialu „Artyści" (zamówionym przez Jerzego Kapuścińskiego) pokazali, że prawie są na to gotowi. Znaczące, że najgorsze fragmenty ich serialu to były te, które odwoływały się do maniery Teatru Telewizji: zagubienie się w labiryncie klatek schodowych Pałacu Kultury, sceny wizyjne, groteskowe, robienie grozy zgrzebnymi środkami. Jednak przecież inne elementy pokazały, że twórcy teatralni chcą się uczyć nowych form.

Podobnie zresztą – w kierunku prawie filmowej realizacji – idzie Jan Englert w remake'u spektaklu Zygmunta Hübnera z roku 1980, w „Spiskowcach" według Josepha Conrada. Dofinansowany z państwowych środków w związku z Rokiem Josepha Conrada, kręci swój spektakl w naturalnych wnętrzach. (O dziwo, plenerowe sceny nie wychodzą mu kompletnie, jakby wypuszczony na świeże powietrze tracił kontrolę nad operatorem i aktorami). Jednak daje dzieło rzeczywiście satysfakcjonujące pod względem reżyserii i aktorstwa, choć nie wiem co prawda, dlaczego Mateusz Rusin jako Razumow nie zagrał ostrzej. Oglądamy więc fantastycznie przyrządzone danie z tej powieści dziwacznej, pokazującej zakompleksionego Conrada szamoczącego się między odrazą a podziwem dla Dostojewskiego, Conrada pragnącego przezwyciężyć i zakwestionować autora „Biesów", a wciąż wpadającego w jego koleiny. Nie wiem, co ma wynikać z tej opowieści dla współczesnych i – jeśli wierzyć Englertowi – sam reżyser niespecjalnie wie, czemu ma służyć ten niewątpliwie świetnie zagrany spektakl. Spektakl ciążący ku filmowi, uciekający od estetyki Teatru Telewizji.

Któż zresztą ceni tę estetykę? Przecież język teatru współczesnego znacznie wyprzedza to, co pokazywane jest w telewizorze. Wycieczki w kierunku multimediów: wideoprojekcje, montaż, zabawy w awatary, hologramy, wciąganie w grę gatunków filmowych i telewizyjnych, wtargnięcie Internetu i mediów społecznościowych, przecież w tym kierunku rozwija się język sztuk fabularnych.

Owszem, może kiedyś, lat temu dziesięć, w Scenie Faktu, gdy pospiesznie przywracaliśmy pamięć o naszych narodowej sprawy męczennikach, chodzenie na skróty i korzystanie z umowności Teatru Telewizji było uzasadnione. Gwałtowne zaczerpnięcie oddechu, by wykrzyczeć, wycharczeć te historie, tendencyjnie, prosto, miało w sobie mnóstwo surowego autentyzmu. A teraz? Kurz głównie i tektura.

Jeśli inteligenci mają mieć w telewizji publicznej raz na dwa tygodnie jakieś święto, jakiś swój czas, to pokażmy im coś, co będzie prawdziwie inspirujące, co tak da nam po oczach, że poruszeni będziemy o tym rozmawiali przez następne tygodnie.

A tak co? Mamy włożyć ciepłe papucie, zaparzyć sobie herbatki i zobaczyć kolejne tekturowe albo halowe przedsięwzięcie. Może i Prezes to lubi, może Kuzynowi to daje dużo splendoru, środowisko go lubi, ale naprawdę, hm, cóż, już chciałbym wypowiedzieć się w imieniu jakiejś grupy, ale widzę, że przecież jestem sam, samiutki i inni kupują tę konwencję, inni się zachwycają. No dobra, to deklaruję, ja, Andrzej Horubała: mnie się to nie podoba i ja jestem przeciw. Dlaczego? Bo wierzę w język telewizji, wierzę w język filmu, a w anachroniczny język teatru upychanego do telewizyjnego studia kompletnie wnie wierzę.

I mówię to nie jako prawica, nie jako reprezentant kogokolwiek, mówię jako ja: Teatr Telewizji wydaje mi się tak samo groteskowym pomysłem jak czczenie rocznicy niepodległości festiwalem chopinowskim na instrumentach dawnych. Howgh!

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 65aebf6e22

Grzegorz Brzozowicz

Wypowiedzi lidera Kultu bulwersują zarówno zideologizowane media, jak i środowisko – nie tylko muzyczne. Dlaczego?

Kazika wierność sobie

W Radiu RMF FM 2 stycznia Robert Mazurek gawędził z Kazikiem Staszewskim o życiu. Lider Kultu stwierdził na marginesie: „Nie czuję, żeby moja wolność była zagrożona, żeby zagrożona była demokracja". Media lewicowe nie ścierpiały obrazy, prawicowe uznały wokalistę za rzecznika dobrej zmiany. Środowisko muzyczne poczuło krew – możliwość zagryzienia konkurenta.

Rozmowa trafiła na łamy „Dziennika Gazety Prawnej" i rozpaliła do żywego Jacka Żakowskiego. Podczas przeglądu prasy w Radiu TOK FM najpierw zacytował wypowiedź muzyka: „Nie czytam gazet i nie oglądam telewizji. Nie opiewam sukcesów dobrej zmiany, ale nie widzę, by pozycja Polski, by sytuacja tutaj była dużo gorsza niż za poprzedniej władzy". Po czym znany obrońca demokracji z furią skomentował: „No do jasnej cholery, Kaziu kochany, skąd ty masz to wiedzieć, gdzie ty masz to wiedzieć, jak nie oglądasz telewizji i nie czytasz gazet?! Przepraszam cię bardzo, w zieleniaku tę pozycję Polski zbadasz? W toalecie się przekonasz, czy w Polsce jest dużo lepiej czy gorzej niż za poprzedniej władzy? […] To jest właśnie objaw takiego ćwierćinteligenckiego paplania, którego skutki, jak się umocnią w polityce, mogą być straszne".

Żakowskiego poważnie potraktował Łukasz Adamski, publicysta portalu wPolityce.pl.: „Ma rację. Jak ktoś nie ogląda TVN i nie czyta »GW«, to może przegapić dyktaturę w Polsce. Może przegapić obozy, prześladowanie w więzieniach Frasyniuka i blokowanie możliwości awansu Kijowskiemu. Ba, nawet nie zauważy, że gazety antyrządowe są zamykane, a telewizje mają zakłócany sygnał".

Do boju ruszył Mirosław Pęczak, redaktor „Polityki" od ponad 30 lat śledzący dokonania rockowej alternatywy. Oceniając Kazikową paplaninę, napisał:

„Zaiste trudno przejść obojętnie nad prorządowymi wypowiedziami artysty, który swoją pozycję w branży muzycznej zbudował na radykalnej krytyce politycznego establishmentu". Następnie z ojcowską dobrodusznością Pęczak wytknął części rockowego środowiska flirt z Korwin-Mikkem, Janem Olszewskim i AWS. „Było to o tyle osobliwe, że w kulturze anglosaskiej – pisze dziennikarz »Polityki« – skąd rock się wywodzi, reprezentanci tego stylu muzycznego albo pozostawali konsekwentnie obojętni politycznie, albo, jeśli już się angażowali, jak Joe Strummer z The Clash czy Bruce Springsteen, to raczej po stronie lewicy, najchętniej zresztą anarchistycznej".

BUNT JEST NIEMODNY

Tyle że od swojego poczęcia w 1954 r. muzyka rockowa potwornie się postarzała i od kilku dekad trudno ją uznawać za medium młodzieżowe.

Wystarczy posłuchać albumów ze szczytów dzisiejszych list przebojów, a nawet tych najwyżej ocenionych przez krytyków. Okaże się, że nie znajdziemy wśród nich płyt zaangażowanych politycznie, co było nagminne w ubiegłym wieku. W 1984 r. koncert „Live Aid" oglądało 1,5 mld telewidzów ze 100 krajów. 21 lat później organizacja „Live 8", powtórki największej muzycznej imprezy charytatywnej, pochłonęła trzy czwarte dochodów z koncertów.

Wśród współczesnych gwiazd trudno jest wyszukać wykonawców otwarcie zaangażowanych politycznie. Jeśli już, to protestują gwiazdorzy, którzy swój etos zbudowali przed laty na walce o wolność, a dziś dożywają starości na luksusowych jachtach i w wypasionych posiadłościach. Oczywiście piszę o gwiazdach z pierwszych stron gazet, a nie o niszowych buntownikach. Nikomu nie chcę wypominać zdobytych fortun, ale walka o wolność jest tak samo intratnym zajęciem jak każde inne.

W felietonie Pęczak brnie dalej: „U nas liczni rockmani […] po zmianie systemu stali się nagle świeżo nawróconymi fundamentalistycznie zorientowanymi katolikami albo, jak […] Paweł Kukiz, odbyli trudno zrozumiałą drogę od anarchizmu i antyklerykalizmu do sławienia dmowszczyzny i jakiejś niby-nowej idei endeckiej, która najgłośniej daje znać o sobie na Marszach Niepodległości wśród łopotu flag ONR. Kazik wydawał się wobec tych wolt zdystansowany, ale – jak widać i słychać – bardziej obawia się skojarzeń jego osoby z antypisowskim towarzystwem Tymona Tymańskiego czy Macieja Maleńczuka

FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

eprasa.pl 65aebf6e22

niż z piewcami idei Katolickiego Państwa Narodu Polskiego".

Najwyższy czas, by przytoczyć najbardziej kontrowersyjne zdania, jakie wymsknęły się Kazikowi podczas radiowej rozmowy: „Ja nie czuję jakoś teraz, żeby moja wolność była zagrożona. […] Ja się nie mogę zdecydowanie opowiedzieć po tej czy po innej stronie, bo ja bym chciał, żeby jakakolwiek władza w jak najmniejszym stopniu przeszkadzała mi w życiu. [Obecna] nie przeszkadza bardziej niż poprzednia. Co więcej, […] nawet ostatnio się dowiedziałem, że podniesiono mi i innym artystom kwotę ulgi podatkowej".

Mocne? Straszne? Godne napiętnowania? Wrzawa obudziła z marazmu część środowiska muzycznego, które od lat czekało na potkniecie autora „Polski". Przytaczam wypowiedzi z dyskusji na Facebooku, w której sam też uczestniczyłem.

MUREM PODZIELENI

Stanisław Trzciński (promotor koncertowy): „Warto wczytać się w to kuriozum. […] Bardzo »wygodna« i wyczekująca postawa. […] nie lubię tego typu uników i niby wyluzowanego, ale wywyższania się – a de facto unikania istoty sprawy […]. Ja odbieram zresztą jego wypowiedź jaśniej, niżby tego chciał – nie przeszkadza mu to, co robi władza. I spoko. Jego prawo tak myśleć. Ale nazwijmy to, do cholery".

Jan Benedek (muzyk): „Egonarcystyczny populizm. Znamy to. […] Kazik, baczny obserwator, siedzi póki co na Teneryfie i się ze swoich fanów śmieje. Do czasu, aż mu paszport dzielnicowy Błaszczaka zabierze. Wtedy pewnie zaśpiewa »coście sk...ny uczynili z tą krainą« ;)".

Jacek „Kazik" Bryndal (muzyk): „Zarabiać przez 30 lat, śpiewając o domu, który jest murem podzielony, a potem tolerować ludzi, którzy dzielą Polaków, stosując najbardziej podłe metody!!! Brak słów".

Tomasz Kopeć (wydawca muzyczny i filmowy): „A może Kazik stoi z boku, bo to opłacalne? Pamiętam, jak zaśpiewał – Wałęsa oddaj moje 100 milionów, a na drugi dzień poszło wcześniej nagrane 100 tysięcy kaset. Jak się opowie po stronie, to zniknie mu 50 proc. możliwości tekstowych. Bo jak tu pisać wiarygodnie przeciw sobie?".

NIEZALEŻNOŚĆ

Ostatnia z wypowiedzi opisuje istotę zadry, jaką od lat nosi środowisko wobec Kazika. Lider Kultu jak piskorz unika w wywiadach wyjawienia dochodów z własnej pracy. Nie musi. Natomiast tajemnicą poliszynela jest to, że jest on osobą „oszczędną", a zarazem umiejącą inwestować zarobione pieniądze. Dodatkowo etos ekspunkowca uniemożliwia mu przyznanie się, że na tym, co tworzy, dorobił się, jak na nasze warunki, fortuny. Środowisko muzyczne znacznie wyżej będzie ceniło Roberta Brylewskiego, który kilka lat temu ogłosił, że nie ma z czego żyć, niż choćby Muńka Staszczyka, który jako jedyny z „alternatywy" wyjawił, iż tylko z tantiem w ZAiKS-ie ma rocznie ponad 400 tys. zł dochodu. W ostatnim „Topie Wszech Czasów" radiowej Trójki Kazik ma najwięcej piosenek z polskich wykonawców – cztery! Zapewne zasłużenie, ale ten fakt w oczywisty sposób wpływa na wyniki w ZAiKS-ie. Niestety, w naszej krainie, mimo że uwielbiamy miliarderów pokroju Paula McCartneya i Micka Jaggera, wciąż jesteśmy przywiązani do maksymy Budki Suflera – „znowu w życiu mi nie wyszło". Tak nawiasem mówiąc, ponoć najwięcej z tantiem ściąga Romuald Lipko.

Kariera Kazika kłuje w oczy koleżeństwo wyrosłe ze sceny alternatywnej. Jednak żaden z pokrzywdzonych buntowników nie chce zauważyć, że lider Kultu kieruje się w show-biznesie dawno temu ustalonymi przez siebie zasadami: nie podpisał kontraktu z zachodnim koncernem fonograficznym, nie występuje na korporacyjnych eventach ani w reklamach, nie odbiera nagród, nie przyjmuje orderów od władzy, nie zasiada w jury wszelakich talent show, nie daje wywiadów plotkarskim pismom, natomiast książki o sobie wydaje jedynie przez wydawnictwo swojego syna, a przy tym, a może dzięki temu, jako jeden z nielicznych wykonawców gra biletowane koncerty. Raz, w 1998 r., przyjął Paszport „Polityki", ale zrobił ten wyjątek ze względu na postać Mirosława Pęczaka, bo ten przypominał mu z wyglądu jego ciocię! Kazik nie daje dupy i zarabia duże pieniądze. To drugie boli jeszcze bardziej.

Tymon Tymański, były wojownik alternatywy, który stał się głosem „GW" i celebrytą z programów „Must Be the Music" i „Azja Express", zawyrokował w październiku: „Kazik siedzi cicho, choć za czasów niezagrożonej wolności grzmiał jak z ambony. Muniek wieki temu stracił zęby. Na Kukiza nie liczę, bo światopoglądowo zawsze bełkotał".

Przypomnijmy Kazikowe gromy. Wiosną 1989 r. wystąpił na koncercie wyborczym Pomarańczowej Alternatywy, równolegle śpiewał: „Najlepszy rząd to żaden rząd". Później wspierał Unię Polityki Realnej i śpiewał: „Wałęsa, oddaj moje sto milionów". Jednocześnie senator Jan Szafraniec z ZChN złożył na niego doniesienie do prokuratury za obrazę hymnu państwowego. Potem Kazik napisał piosenki: „Łysy jedzie do Moskwy" o premierze z SLD, „Pierdolę Pera" o liderze Samoobrony i „Lewy czerwcowy" o obaleniu rządu Olszewskiego.

Odmawiając przyjęcia orderu z rąk prezydenta Komorowskiego, który półtora miesiąca przed wyborami parlamentarnymi w 2011 r. rozdawał odznaczenia rockmanom, oświadczył: „Generalnie wciąż jestem wierny wczesnym ideom punkowym i mądrościom, jakie wyniosłem ze studiowania Pisma Świętego. Uważam polityków, niezależnie po której stronie stoją, za ludzi, z którymi nie mam nic wspólnego. Jest to klasa społeczna zbudowana według struktur mafijnych. Z tą jedynie różnicą, że działają legalnie. Nie odczuwam przyjemności w otrzymywaniu gratyfikacji od ludzi, których nie szanuję z założenia".

Rozochocona aferą prawica nie tylko nie powinna się łudzić, że znienawidzony przez Żakowskiego muzyk wpadnie w jej objęcia. Warto też się zastanowić, czy tego naprawdę by chciała. Kazik wierzy w Boga, ale kontestuje Kościół katolicki. W czasach „zagrożonej wolności" na ostatnim albumie Kultu „Wstyd" dołożył Tuskowi, a może nawet bardziej Kaczyńskiemu. Wcześniej w książce o swoim ojcu wyjawił, że Tata Kazika był współpracownikiem bezpieki o pseudonimie Nowy. Spowodowało to groźbę usunięcia imienia Stanisława Staszewskiego z jednej z pabianickich ulic.

„Mogłem to zataić i pies ze złamaną nogą do dzisiaj by nie wiedział o tej sytuacji – powiedział muzyk w Radiu RMF FM – ale pisząc jego biografię, stwierdziłem, że to jest konieczne do pełnego obrazu osoby mojego ojca. […] A mojego taty z panteonu największych poetów polskich taki epizod nie wykreśli. Tak jak nie wykreślił Mickiewicza, że ten z carską ochraną współpracował".

Na koniec donoszę, że podczas rozmowy z redaktorem Mazurkiem obywatel Kazimierz Staszewski bezmyślnie wyjawił: „Ja misjonarzem absolutnie nie jestem i Polska nie jest dla mnie absolutnie wartością, dla której miałbym poświęcić szczęście, dobry czas i swoje jedyne życie. Jakbym miał trzy życia, jak w grach, może bym je poświęcił".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Cygara, krew i łzy

★★★★☆☆
REŻ. JOE WRIGHT
„CZAS MROKU" („DARKEST HOUR")
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Gary Oldman, Lily James, Kristin Scott-Thomas

Winstona Churchilla za życia nagrodzono Literacką Nagrodą Nobla. Czy pośmiertnie dostanie Oscara?

Gary Oldman za młodu grał buntowników, teraz udatnie wcielił się w postać będącą uosobieniem establishmentu. Zadanie miał o tyle trudne, że fizycznie słynnego premiera wcale nie przypomina. Z drugiej strony mógł korzystać ze ściągawki: gesty, maniery, sposób mówienia i poruszania się Churchilla udokumentowano po wielokroć. Amerykańska Akademia Filmowa lubi, gdy aktorzy cierpią. Oldman musiał poddawać się uciążliwej charakteryzacji, truć się nikotyną i wcinać jajka na bekonie. To zwiększa jego szanse na statuetkę.

Anthony McCarten, autor książki, której ekranizacją jest „Czas mroku", sportretował brytyjskiego męża stanu w krytycznym momencie kariery. Jest maj 1940 r. Niemieckie czołgi walcują Belgię i Francję, skompromitowany Chamberlain podaje się do dymisji, na jego stanowisko król wyznacza (z ociąganiem) jedynego konserwatystę, którego może poprzeć opozycja. „Człowiek dźwigający losy świata na swych barkach" zrazu nie wzbudza sympatii ani zaufania. Od rana jest na rauszu, obżera się w łóżku, kopci cygara, pomiata podwładnymi, krzyczy na ministrów, jest zgryźliwy, a czasem po prostu chamski. Sam przyznaje, że nie potrafi zapanować nad emocjami, a dla polityki zaniedbał rodzinę. Nawet kiedy mówi po angielsku, mamrocze tak, że trudno zrozumieć, o co mu chodzi. Sir Winston od dziecka marzył o stanowisku premiera, lecz władza trafiła mu w ręce na starość, gdy imperialny okręt nabrał już mnóstwo wody. Pierwszy toast po awansie? „Żebym tego nie schrzanił".

Z frontu docierają hiobowe wieści. Kapitulanci, nazywający siebie realistami, naciskają na Churchilla, by pozwolił „zbadać szanse na pokój". On trzyma fason, lecz w chwili słabości gotów jest oddać Hitlerowi środkową Europę. Kreacja Oldmana zdominowała film, odwracając uwagę od banalnej w sumie fabuły. Pomysł, by na przywódcę państwa spojrzeć oczami jego sekretarki, wydaje się (o zgrozo!) wzięty z niemieckiego „Upadku".

Brytyjczycy mają słabość do ciętych ripost i mów, godnych Cycerona – sir Winston był w tym mistrzem. Oratorskie talenty premiera wlały otuchę w serca wyspiarzy, lecz to nie ucieczka z Dunkierki (przedstawiana przez nich uparcie jako sukces) odwróciła losy wojny. III Rzesza padła, bo rzuciła wyzwanie całemu światu. My też mieliśmy złotoustych polityków: Beck pięknie mówił o honorze, Śmigły-Rydz zapewniał, że „nie oddamy ani guzika". Warszawiacy, tak samo jak mieszkańcy Londynu, wierzyli w zwycięstwo. Jednak się go nie doczekali. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TRZY BILLBOARDY ZA EBBING, MISSOURI"

Cztery Złote Globy i deszcz innych wyróżnień dla dramatu obyczajowego łączącego klimat filmów braci Coen z nutami faulknerowskimi. Zdesperowana matka (Frances McDormand) domaga się wyjaśnienia sprawy swojej zamordowanej i zgwałconej córki. Jej nietypowe wołanie o sprawiedliwość rozpocznie psychodramę, z której nikt nie wyjdzie bez szwanku. Gniew, smutek, poczucie straty i poczucie winy – to elementy, z których utkano tę opowieść. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Trzy billboardy za Ebbing, Missouri", reż. Martin McDonagh, wyst. Frances McDormand, Woody Harrelson, Sam Rockwell, USA 2017***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Niemiłość" („Nelyubov"), reż. Andriej Zwiagincew, Belgia/Niemcy/Rosja 2017***
- ***„Pełnia życia" („Breathe"), reż. Andy Serkis, Wielka Brytania 2017***
- ***„Ja, Godard" („Redoutable"), reż. Michel Hazanavicius, Francja 2017***
- ***„Miasto duchów" („City of Ghosts"), reż. Matthew Heineman, USA 2017***

eprasa.pl 65aebf6e22

Gra w zielone

„Mission: impossible" po polsku? Nakręcić komedię romantyczną, która rozbije bank, nie będąc przy tym kalką zachodnich produkcji. Jeśli ktoś szuka dowodów na pogardę, jaką nasi filmowcy darzą widzów, to odnajdzie je, kontemplując dzieła typu „Dzień dobry, kocham cię!" czy „Ja wam pokażę!".

Utarła się opinia, że szanujący się reżyser powinien unikać tematów okołowalentynkowych. Kinga Dębska wyszła z tej próby ogniowej obronną ręką. „Plan B" ma właściwości terapeutyczne. Niesie pocieszenie tym, którym posypały się związki. Przekonuje, że przyjaźń może zastąpić miłość, a każdy wcześniej czy później znajdzie bratnią duszę.

★★★★★★

REŻ. KINGA DĘBSKA
„PLAN B"
POLSKA 2018

wyst. Kinga Preis, Małgorzata Gorol, Edyta Olszówka

Nie wszystkie rafy udało się Dębskiej ominąć. Irytują natrętnie serwowane angielskie piosenki tudzież Warszawa pokazana jako wzorcowa metropolia, zamieszkana przez światowców, którzy sączą wino w modnych lokalach, imprezują przy ogniskach nad Wisłą, wcinają meksykańskie świerszcze i żyją w odpicowanych kamienicach. Tylko wąsaty Mirek wypuszczony z więzienia koczuje w bloku.

„Plan B" ciągną w górę aktorzy (Marcin Dorociński i pies przybłęda to moim zdaniem filmowy duet roku) oraz finałowy cover „Jeszcze w zielone gramy" Młynarskiego w wykonaniu Darii Zawiałow. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BĘDZIEMY WALCZYĆ NA PLAŻACH

★★★★★★

REŻ. CHRISTOPHER NOLAN
„DUNKIERKA" („DUNKIRK")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Fionn Whitehead, Tom Hardy, Cillian Murphy, Mark Rylance

„Dunkierka" to najlepszy jak dotąd film Christophera Nolana i jeden z najlepszych filmów roku 2017. Wizualna perfekcja, z której słynie twórca „Incepcji", wreszcie spotkała się z wagą opowiadanej historii. Opowieść o ewakuacji brytyjskich wojsk odciętych na francuskiej plaży to także narracyjny majstersztyk. Poznajemy ją z kilku punktów widzenia: żołnierza piechoty czekającego na cud, pilota myśliwca, cywila płynącego własną łodzią pod Dunkierkę. Jest i oficer floty nadzorujący ewakuację, jest francuski dezerter, są brytyjscy marynarze. Poszczególne linie fabuły przenikają się i łączą w intrygujący sposób, lecz – co najważniejsze – nie jest to pusta zabawa. Nie jest to także, wbrew sugestiom niektórych recenzentów, film antywojenny, tylko wielki hołd dla męstwa upartych wyspiarzy i dla tych, którzy militarną katastrofę obrócili w propagandowe zwycięstwo. I przypowieść o tym, że zawsze jesteśmy samotni wobec ważnych wyborów, tyle że na wojnie zależy od nich więcej niż zwykle. ©℗

FANTAZJE DUŻYCH CHŁOPCÓW

★★★★★★

REŻ. MICHAEL CUESTA
„AMERICAN ASSASSIN"
USA 2017, MONOLITH

wyst. Dylan O'Brien, Michael Keaton, Taylor Kitsch, Sanaa Lathan

„American Assassin" udaje film szpiegowski, ale to bardziej komiksowa fantazja w stylu mniej fantastycznych produkcji à la Marvel. Pełno tu supertwardych gości, którzy wyczyniają cuda w supertrudnych warunkach, tyle tylko że zamiast nosić trykoty i rzucać tarczą Kapitana Ameryki, są członkami tajnego oddziału Orion, karzącej ręki CIA, i używają spluw. Do krainy fantazji trafiamy już na początku filmu. Młody jankes, na własną rękę potrafi zamienić się w mistrza walk wszelakich udającego muzułmańskiego fundamentalistę oraz wytropić islamskiego terrorystę – podając się za ochotnika samobójcę. W CIA główne problemy Mitcha to surowy nauczyciel (gra go Michael Keaton) oraz kłopoty z dyscypliną. W filmie jest polski ślad – Rosjanie sprzedają skradziony pluton w Warszawie, ale to jedna z nielicznych ciekawych rzeczy w tej drugorzędnej produkcji. Drugą jest niespodziewany finał. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „THEY ARE BILLIONS"

Niektóre gry rządzą się niezbadanymi dla recenzentów prawami. Weźmy takie „They Are Billions". Przeciętna grafika, wyeksploatowana tematyka zombie, model fortyfikowania miasta przed hordami nadciągających wrogów przerobiony w serii „Stronghold", piekielny i niezbalansowany poziom trudności... a jednak fenomen. I ponad 400 tys. kopii sprzedanych na platformie Steam, jeszcze przed oficjalną premierą. Jak zatem wytłumaczyć sukces komercyjny osadzonego w świecie steampunku RTS? Może właśnie tym, że nie wszystkie produkcje muszą być ładne i nowatorskie.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Ważne, aby przypominały to, co już znamy. ©℗ ***Marcin Makowski***

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Numantian Games*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 65aebf6e22

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

To nasze Termopile

Bolesna to książka. Opowiada nie tyle o swoich bohaterach, takich jak Zygmunt Szendzielarz ps. Łupaszka, Hieronim Dekutowski ps. Zapora, kmdr Stanisław Mieszkowski czy ostatni komendant NSZ Stanisław Kasznica, ile o ich szczątkach odnalezionych w tajnych dołach kwatery „Ł" Powązek Wojskowych podczas prac ekshumacyjnych, jakie przez ostatnie pięć lat prowadził tam zespół IPN kierowany przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka. O tożsamości przywracanej ofiarom komunistycznych mordów i, bodaj jeszcze ważniejszej, tożsamości przywracanej nam samym, samych siebie.

Przemysław Dakowicz przypomina rzeczy i sprawy, zdawałoby się, oczywiste, o których jednak nie myślimy na co dzień, przechodzimy nad nimi do porządku dziennego, wreszcie – nie brakuje wśród nas i takich, którzy wyparli je ze swej pamięci oraz usiłują je wymazać z pamięci zbiorowej: społecznej, narodowej. Powiedziałbym, że z niemałym powodzeniem.

A przecież – czytamy w „Kwaterze zmartwychwstałej pamięci" – jak wszyscy ludzie „żyjemy w określonej przestrzeni symbolicznej", z tym że w naszej polskiej przestrzeni po komunizmie wszystko się pomieszało. W 1989 r., zachwyceni, iż oto na naszych oczach zdycha system, który trwać miał wiecznie, „ulegliśmy złudzeniu, że z czasem sprzeczne porządki przyczynią się do stworzenia porządku nowego, do powstania jakiejś syntezy, która wyniesie nas na wyższy stopień zbiorowego rozwoju, uczyni nas społeczeństwem dojrzalszym, zdolnym uszanować różnorodność stanowisk i postaw". To przy Okrągłym Stole zafundowano nam pokraczną, z czasem spotworniałą „ojczyznę ponad podziałami", zadekretowaną grubą krechą, i jeszcze kazano być dumnymi, że tacy jesteśmy wspaniali,

PF07, JAKUB KAMIŃSKI/PAP

bo gdzie indziej komunistycznemu dyktatorowi strzelono w łeb, a my jego rodzimego odpowiednika nagrodziliśmy urzędem prezydenckim. A całkiem niedawno, w 2014 r., gdy zmarł ten – o ironio! – pierwszy prezydent Polski, odkąd Joanna Szczepkowska naiwnie odtrąbiła nam koniec komunizmu, złożyliśmy jego szczątki tam, gdzie znajduje się też „Łączka", na Powązkach Wojskowych. W miejscu, które powinno być świętym, a takim nie jest. Za sprawą tych, których żegnano tu z pompą i honorami, jak kiedyś Bieruta, a całkiem niedawno Jaruzelskiego. Nie pamiętamy już?

A tak pięknie prezydent Komorowski nad mogiłą cytował pieśń: „Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie", a były prezydent Kwaśniewski nawoływał: „Baczność! Walka o dobre imię Wojciecha Jaruzelskiego trwa". Dalej było równie wspaniale: „Trzy salwy honorowe. Werble. Wieńce. Werble. Biało-czerwone szarfy. Czesław Kiszczak rozdziela uśmiechy. Przechodzą poczty sztandarowe. Adam Michnik składa wieniec. Niezłomni leżą w ciszy pod półtorametrową warstwą ziemi i gruzu. Im też śniła się Polska. Małe sosnowe trumienki tych, których udało się wydrzeć ziemi, spoczywają w chłodni, czekając na pochówek. Ich kości, ich zgruchotane czaszki milczą". Gdy oni ukrywali się, ci drudzy urządzali na nich obławy po lasach. „Jednych wrzucano nagich lub przebranych w mundury Wehrmachtu do płytkich dołów, po dwóch, trzech, ośmiu i pośpiesznie, by zdążyć przed świtem, polewano ich wapnem, przysypywano ziemią – drudzy grzali się w wygodnych mieszkaniach w alei Róż, alei Przyjaciół i na Ikara".

Ależ to małostkowe! – skrzywią się pięknoduchy, etycy od siedmiu boleści, humaniści z kombatancką kartą ujętą w teczki TW, którym mylą się kaci z ofiarami. Powtórzmy za Przemysławem Dakowiczem: „Łączka to Polska, Polska to Łączka".

Autor „Kwatery zmartwychwstałej pamięci" przyjeżdżał na „Łączkę" kilkakrotnie, uczestnicząc w pracach poszukiwawczych i identyfikacyjnych prowadzonych przez zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Pisał o tym eseje i reportaże, także wiersze, które złożyły się na tom „Łączka". Teraz wszystkie te teksty, także te niepublikowane, tworzą książkę, której wymowę podkreślają liczne fotografie dokumentujące to, co działo się w kwaterze „Ł" w latach 2013–2017. A diariuszowe notatki kończy autor znamienną prośbą: by ci, którzy w przyszłości projektować będą nowe wejście na powązkowski Cmentarz Wojskowy – przez Bramę Niezłomnych – zechcieli umieścić na progu nekropolii dwa wersy z wiersza Norwida:

– Gdzie się podział krzyż?
– Stał się nam bramą. ©℗

★★★★★★

PRZEMYSŁAW DAKOWICZ „KWATERA ZMARTWYCHWSTAŁEJ PAMIĘCI"
WYDAWNICTWO SIC! 2017

eprasa.pl 65aebf6e22

NIEZAPOMNIANY KONCERT

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

16 MARCA
WROCŁAW
NARODOWE FORUM MUZYKI
PLAC WOLNOŚCI 1
GODZINA 20.00

WYSTĄPIĄ M.IN.

RENATA PRZEMYK
OLA GINTROWSKA
JULIA GINTROWSKA
KRZYSZTOF KILJAŃSKI
MATEUSZ ZIÓŁKO
ADAM SZERSZEŃ
RAFAŁ BARTMIŃSKI
KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI
I INNI

ORAZ

ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

MECENAT KONCERTU

centrum historii zajezdnia

Ośrodek Pamięć i Przyszłość

ALIOR BANK

WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI

wprost

do RZECZY

Gazeta Wrocławska

TVP 1

eprasa.pl 65aebf6e22

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gdzie te ryby

Dopiero co zaglądałem do świata Lecha Majewskiego, a tu już okazja, by zająć się innym samotnikiem kina. Książeczka „W pogoni za wielką rybą" to uzupełnienie autobiograficznego tomu rozmów „Lynch on Lynch" (u nas wydanego kiedyś jako „Widzę siebie"). Tamta książka powstała w roku 1997, a przez minione dwie dekady coś jednak się jeszcze wydarzyło, fan kina wyszukiwał więc będzie w nowej publikacji ciekawostek na temat późniejszych przedsięwzięć twórcy „Dzikości serca". Dowie się, co fascynowało Lyncha w scenariuszu „Prostej historii", odkryje, że „Mulholland Drive" miał być pilotem serialu telewizyjnego, ale został uznany za nudny przez decydenta oglądającego go o szóstej rano między parzeniem kawy a rozmowami przez telefon. Pozna polskie tropy w „Inland Empire", z ciekawą informacją o aktorskich przyzwyczajeniach Krzysztofa Majchrzaka włącznie (choć ważniejsze jest szczere: „Po raz pierwszy kręciłem film bez scenariusza").

Przy okazji Lynch dzieli się (fakt, że skąpo) swoimi fascynacjami. Billy Wilder i jego „Garsoniera" oraz „Bulwar Zachodzącego Słońca". Alfred Hitchcock i „Okno na podwórze". Stanley Kubrick, z którego dorobku najbardziej ceni – zaskoczenie – „Lolitę", a w szczególności grę Jamesa Masona. Federico Fellini, z którym Lynch miał okazję się spotkać dzień przed zapadnięciem w śpiączkę włoskiego geniusza filmu. „Wziął mnie za ręce i rozmawialiśmy przez pół godziny. Nie pamiętam, żebym zadawał mu zbyt wiele pytań. Po prostu słuchałem, jak mówi. Wspominał, jak było dawniej".

Prostota dobrze robi tej książce; prostota i trzymanie się faktów, czasem drobnych obserwacji. Gdy Lynch zabiera się do filozofowania, jest już gorzej. Po pierwsze, wpadamy na stertę banałów typu „uwierz w siebie", po drugie – co ważniejsze – na nieustanne zachwalanie medytacji transcendentalnej, którą Lynch uprawia od wczesnych lat 70. Jest ona, zdaniem reżysera, nie tylko drogą ku kreatywności (skąd zatem w historii tylu geniuszy, którzy tej wschodniej praktyki nie poznali?), lecz także ku pokojowi na świecie, który można osiągnąć, jeśli tylko odpowiednio wielu z nas zacznie medytować. Lynch, wydając tę książeczkę, zbiera pieniądze na własną fundację propagującą medytację i „edukację opartą na świadomości". Po lekturze nie mam wątpliwości, że Lynch to ciekawszy rozmówca w sprawach kina niż duchowości. Co do tytułu i „pogoni za wielką rybą" (złapiemy ją, znaczy genialny pomysł, dzięki medytacji, mówi autor) to kiedy Lynch nakręcił swój ostatni wielki film? ©℗

★★★☆☆☆
DAVID LYNCH
„W POGONI ZA WIELKĄ RYBĄ"
SAMSARA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kolejny tom zebranych szkiców krytycznych autora „Do Rzeczy" – tym razem teksty z lat 2014–2015. Kino, teatr, literatura, a naprzeciw wyborny warsztat, olbrzymia wiedza, niezgoda na intelektualną tandetę i ideologiczne sztuczki.

ANDRZEJ HORUBAŁA
„BYLIŚMY TACY ZAKOCHANI"
NCK/FRONDA

Bitne plemię i jego legendarni wodzowie: Cochise czy Geronimo, czyli niemal pół wieku wojny znanej z westernów. Prawdziwa historia była dużo ciekawsza, o czym amerykański badacz pisze ze swadą, malując barwny obraz epoki.

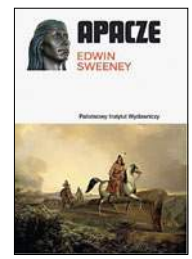

EDWIN SWEENEY
„APACZE"
PIW

Zbiorcze wydanie znakomitej hiszpańskiej serii komiksowej. Tytułowy Torpedo to zabójca do wynajęcia, kierujący się jednak własnym specyficznym kodeksem. Jego przygody to przegląd wszelkich możliwych motywów literatury i filmu noir.

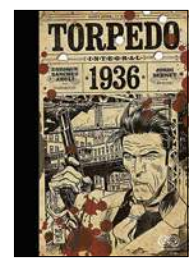

ENRIQUE SÁNCHEZ ABULÍ, JORDI BERNET
„TORPEDO 1936"
NON STOP COMICS

Znany autor o swoich wędrówkach po Skandynawii. Nie tylko o historii, nie tylko nostalgicznie. Także gniewnie: gdy pisze o terrorze politycznej poprawności i bezradności wobec inwazji islamu. ©℗

poleca Piotr Gociek

ANDRZEJ PILIPIUK
„RAPORT Z PÓŁNOCY"
FABRYKA SŁÓW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. Jerzy Vetulani „Sen Alicji, czyli jak działa mózg" (Mando) – inteligentna i zabawna książka dla dzieci autorstwa zmarłego niedawno znakomitego polskiego neurobiologa.

2. Jojo Moyes „Ostatni list od kochanka" (Znak) – wznowienie mniej znanej powieści autorki bestsellerów „Zanim się pojawiłeś" i „Kiedy odszedłeś".

3. Beata Anna Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej" (WAM) – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie, autorką jest synowa lekarki.

4. Autorzy różni „Pierwsza książka mojego dziecka" (Fundacja ABC XXI) – zbiór utworów opracowanych z myślą o najmłodszych słuchaczach (poniżej trzeciego roku życia).

5. Harlan Coben „W domu" (Albatros) – 11. tom serii o Myronie Bolitarze, rozpoczętej w 1995 r. bestsellerową powieścią „Bez skrupułów".

(Najchętniej kupowane książki w internetowym sklepie Bonito.pl)

eprasa.pl 65aebf6e22

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Panny sprawiedliwe

Darek Malejonek z córką Kasią

FOT. ANDRZEJ STAWIŃSKI/REPORTER

Pieśń od najdawniejszych czasów odgrywała ważną dla wspólnoty rolę. Była spoiwem, przekazywała najważniejsze treści, utrwalała pamięć o epokowych wydarzeniach, opowiadała wielkie czyny bohaterów.

Intuicja podpowiadała starożytnym, że właśnie w pieśniach można sławić imiona wodzów, opowiadać o niezłomności, odwadze, poświęceniu, upamiętnić po wsze czasy tych, którzy za wspólnotę oddali życie.

Melodia i rymowane strofy, choć na pozór ulotne, stawały się nośnikiem wspólnotowej pamięci, przekazując następnym pokoleniom treści równie skutecznie jak reliefy wykute w kamieniu.

Do tego archetypu nawiązuje Darek Malejonek, nagrywając, a właściwie wprowadzając w obszar kultury masowej ważne treści z naszej najnowszej historii. W pewnym sensie jesteśmy jak owi starożytni. Wobec naporu często sprzecznych z prawdą i nie zawsze życzliwych Polakom narracji z naszą „pieśnią" przebijamy się z trudem. Dlatego ogromną pomocą w skutecznym przekazie są dzieła popularne. Darek, inicjując cykl „Morowe panny", potem „Panny wyklęte" i kolejne odsłony „Panien", nie tylko przekazał masowemu odbiorcy ważne treści. Powierzając napisanie tekstów wykonawczyniom – popularnym piosenkarkom – skłonił je do odrobienia w imieniu swoich fanów (często nieznanej) lekcji.

Dzięki temu historia spotyka się z wrażliwością współczesnych twórców, aktualizując doświadczenie, zyskując na autentyczności. Dlatego tak cenna jest najnowsza płyta cyklu – „Panny Sprawiedliwe wśród Narodów Świata". Nieznane historie bohaterskich Polek, które z narażeniem swojego życia i życia swoich rodzin ratowały żydowskich sąsiadów, wyśpiewane przez „pierwszą ligę" polskich wokalistek, to nie tylko zestaw świetnych kompozycji, które wzbogacają rodzimy rynek muzyczny. To przede wszystkim kontynuacja wspólnotowej pieśni, która dzięki wspaniałym interpretacjom ma szansę utrwalić imiona bohaterek, włączając je na zawsze w polską zbiorową pamięć. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Artysta cierpiący

Debiutancki album „Bumerang" 28-letniego Łukasza „Korteza" Federkiewicza rozszedł się w ponad 60-tysięcznym nakładzie. W 2016 r. artysta dostał Fryderyka za fonograficzny debiut roku oraz nagrodę publiczności na festiwalu opolskim.

Kortez osiągnął sukces dzięki piosenkom, które poruszyły serca dojrzałych emocjonalnie pań. Główną siłą tych piosenek jest mamroczący, melancholijny wokal Korteza i osobiste, przesycone bólem teksty.

Okładka „Mojego domu", stylizowana na kopertę legendarnego albumu „Blues" Breakoutu, może sugerować, że na celu wokalisty są również panowie po przejściach. Potwierdzają to piosenki opisujące rozstanie. „To dobry moment / oszczędźmy sobie / najgorszych wspomnień" – śpiewa Kortez w piosence „Dobry moment", która dotarła na szczyt listy przebojów Trójki. Podmiot liryczny nie tylko cierpi, ale przyznaje, że wina leży po jego stronie. Sprawa jest poważna. W grę wchodzą uczucia („Nic tu po mnie, jeśli nie ma cię też i nic już więcej nie zachwyci mnie"), a także dzieci („Ty z błyskiem w oku mi opowiesz coś o dzieciach, coś o sobie / I wtedy będę pewien, że o miłości nigdy więcej / Nigdy więcej się nie dowiem). Emocjonalne, poruszające wyznania Korteza przetworzyła na rymujące się słowa Agata Trafalska, która współpracuje również z Anią Dąbrowską.

Problem w tym, że śpiewając w jednej manierze, Kortez cierpi strasznie monotonnie. A chciałoby się choć raz usłyszeć jego krzyk. ©℗

★★★★☆☆

KORTEZ „MÓJ DOM" JAZZBOY

★★★★☆☆

BOB DYLAN „TARANTULA" BIURO LITERACKIE

Ten poetycki strumień świadomości pisany prozą noblista stworzył w 1966 r. Książkę wydaną pięć lat później krytycy przyjęli z pogardą. „Tarantula" wciąż stanowi wyzwanie dla czytelnika nawet w świetnym tłumaczeniu Filipa Łobodzińskiego. ©℗

★★★★☆☆

ROSALIE. „FLASHBACK" ALKOPOLIGAMIA

Rozalia, urodzona w Berlinie, ze swobodą porusza się po alternatywnym, „czarnym" R&B. Rozmarzony wokal, nieagresywna elektronika, dowcipne polskie teksty i angielskie banały. W Wielkiej Brytanii kariery nie zrobi, ale u nas może zamieszać. ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. WIKIPEDIA

Stworzenie

Z o. Michałem Chaberkiem, doktorem teologii fundamentalnej
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: W bożonarodzeniowym „Do Rzeczy" Waldemar Łysiak przedstawił swoje krytyczne spojrzenie na fundament współczesnych nauk przyrodniczych – teorię ewolucji. Co sprawia, że również ojciec spiera się z Darwinem?

O. MICHAŁ CHABEREK: Wyjaśnijmy najpierw, o co chodzi w sporze o ewolucję. Nie wszyscy, którzy podważają teorię Darwina, wierzą, że świat ma 6 tys. lat, że dinozaury istniały razem z ludźmi albo że góry i doliny zostały ukształtowane przez jedną falę potopu. Teoria ewolucji to bardzo ogólne pojęcie i w zależności od tego, jak je rozumiemy, jedni uznają ewolucję, a drudzy nie. Dotyczy to zarówno teologów, jak i biologów. Jeżeli ewolucję rozumiemy jedynie jako „zmianę w czasie", to jest oczywiste, że ewolucja była, jest i na pewno będzie do końca świata. Widzimy przecież, że wszystko się zmienia – ekosystemy, formacje geologiczne, nawet zwierzęta i rośliny potrafią w pewnym zakresie adaptować się do nowych warunków środowiskowych. Ewolucja jest więc faktem. Jednak tak rozumiany „fakt ewolucji" nie jest przedmiotem współczesnej kontrowersji. Ewolucjoniści darwinowscy twierdzą jednak dużo więcej niż tylko tyle, że organizmy się zmieniają. Promują oni pogląd, który najogólniej można nazwać makroewolucją biologiczną.

Co to oznacza?

Kluczowe jest tutaj rozróżnienie na mikro- i makroewolucję. Mikroewolucja to właśnie te drobne zmiany, które obserwujemy w świecie biologii, takie jak adaptacje organizmów do nowych środowisk, uodparnianie się bakterii na antybiotyki czy zmiany proporcji osobników o danych cechach w populacji. Podręcznikowy przykład ewolucji to tzw. melanizm przemysłowy. W latach 50. XX w. w Wielkiej Brytanii zaobserwowano, że ćmy krępaka nabrzozaka o ciemnym zabarwieniu wyparły te o jasnym kolorze. Biologowie podejrzewają, że stało się tak w wyniku emisji zanieczyszczeń. Po prostu ćmy ciemne nie były widoczne na zaciemnionych pniach drzew, natomiast ćmy jasne stały się łatwym łupem dla ptaków. Gdy w ciągu kolejnych dekad emisja smogu i innych zanieczyszczeń się zmniejszyła, ćmy o jasnym zabarwieniu ponownie zaczęły dominować w populacji. Ewolucjoniści twierdzą, że jest to przykład działania ewolucji w praktyce (dobór kierunkowy).

Nie mają racji? Brzmi to całkiem przekonująco.

Tak, ale ewolucjoniści zapominają dodać, że w tym przypadku, jak i w wielu temu podobnych, do których się odwołują, nie obserwujemy ani powstania ciem, ani nawet powstania żadnej nowej cechy. Zanim jeszcze pojawiły się zanieczyszczenia, istniały zarówno ćmy białe, jak i czarne. W wyniku zmian środowiskowych zmieniały się jedynie proporcje osobników w populacji. Zatem ewolucja nic tutaj nie wytworzyła. I ten sam problem dotyczy

eprasa.pl 65aebf6e22

to nie ewolucja

wszystkich przykładów prezentowanych przez Darwina i jego następców. Uodparnianie się bakterii na antybiotyki nie tłumaczy powstania bakterii. Zmiany koloru futra u lisów czy wielkości dziobów u zięb galapagoskich nie wyjaśniają powstania lisów czy zięb. Wszystko to są jedynie zmiany mikroewolucyjne, czyli takie, które nie prowadzą do powstania zupełnie nowych form życia. Zatem gdy ewolucjoniści mówią, że „ewolucja jest faktem", trzeba jasno dodać, iż chodzi im jedynie o mikroewolucję, która nie stanowi przedmiotu kontrowersji.

Przejdźmy więc do makroewolucji – istoty teorii Darwina.

Makroewolucja to ogólne twierdzenie, że wszystkie organizmy zwierzęce i roślinne pochodzą od jednego przodka na zasadzie naturalnego zrodzenia. Darwin twierdził, że za powstawanie nowych gatunków odpowiadają zróżnicowany rozród i naturalna selekcja. O ile jednak zróżnicowany rozród i naturalna selekcja są faktem, to twierdzenie, że odpowiadają one za powstawanie zupełnie nowych form życia, jest jedynie postulatem, tak samo jak twierdzenie, iż wszystkie organizmy pochodzą od jednego przodka.

Jak to? Przecież media już dawno ogłosiły, że naukowcy udowodnili istnienie naszego wspólnego praprzodka – LUCA (ang. Last Universal Common Ancestor).

Powszechne wspólne pochodzenie jest paradygmatem, w ramach którego każe się współczesnym biologom rozpatrywać wszystkie dane. Można to porównać do założenia okularów z kolorowym filtrem. Przez czerwone okulary wszystko jawi się czerwone. Podobnie biologowie przyjmując założenie o wspólnym pochodzeniu, starają się odczytywać wszystkie dane w ramach tego założenia, a następnie prezentują swoje wyniki jako dowód na... wspólne pochodzenie. To jest rozumowanie na zasadzie błędnego koła. Można jednak zdjąć te czerwone okulary i spojrzeć na dane w nieco bardziej obiektywny sposób. Istnienie jednokomórkowców sprzed ponad 3 mld lat nie dowodzi niczego poza tym, że takie organizmy istniały tak dawno temu. Fakt, że organizmy te przetrwały niezmienione aż do dzisiaj, sugeruje raczej stabilność form, a nie nieograniczoną możliwość adaptacyjną. Dane naukowe wcale nie zmuszają nas do wiary w istnienie LUCA.

Tylko czy ta teoria Darwina musi wykluczać chrześcijańską naukę o stworzeniu? Przecież wielu katolików pod pojęciem stworzenia rozumie bardzo długi proces, a nie jednorazowy akt.

Większość współczesnych teologów uważa, że nie ma sprzeczności między ewolucją a stworzeniem. Zapytajmy jednak, co tak naprawdę zakłada teoria Darwina, a co wynika z klasycznej

eprasa.pl 65aebf6e22

chrześcijańskiej nauki o stworzeniu. Ewolucja jest naturalnym procesem biologicznym. Z kolei stworzenie nie jest żadnym procesem, lecz zjawiskiem natychmiastowym. Święty Tomasz z Akwinu definiuje stworzenie jako proste wyłonienie (simplex emanatio) czegoś z niczego. Stworzenie nie jest czymś naturalnym, lecz nadprzyrodzonym, ponieważ zachodzi na mocy bezpośredniego działania Boga. To samo zjawisko nie może być zarazem długotrwałym procesem i zdarzeniem natychmiastowym, jednocześnie zdarzeniem naturalnym i nadprzyrodzonym. Zatem ewolucja logicznie wyklucza stworzenie. Innymi słowy: albo gatunki wyewoluowały na zasadzie działań przyrody, albo zostały stworzone przez Boga. Teologowie (tak jak chrześcijańscy biologowie) powtarzający, że nie ma sprzeczności między ewolucją a stworzeniem, albo nie rozumieją stworzenia tak, jak rozumieją je Pismo Święte i tradycja chrześcijańska, albo nie rozumieją ewolucji tak, jak rozumieją ją nauki przyrodnicze. Katoliccy ewolucjoniści wprowadzają do tej debaty wiele zamieszania już na poziomie definicji.

Katoliccy ewolucjoniści uważają jednak, że Bóg mógł się posłużyć ewolucją w stwarzaniu nowych gatunków. Dlaczego taki pogląd nie miałby rozwiązywać problemu ewolucjonizmu dla Kościoła?

Pogląd ten nazywa się teistycznym ewolucjonizmem. Jest to z pewnością podejście obecnie dominujące w Kościele. Jednak mnie bardziej interesuje nie to, co Bóg mógłby zrobić (czy mógł się posłużyć ewolucją czy nie), lecz co faktycznie zrobił, to znaczy, czy makroewolucja biologiczna rzeczywiście odpowiada za powstanie gatunków. W odpowiedzi na to pytanie musimy uwzględnić zarówno współczesne dane naukowe, jak i tradycyjną teologię stworzenia. Większość teologów niestety nie ma narzędzi, aby zweryfikować twierdzenia biologów. Jednak przy odrobinie dobrej woli można dotrzeć do bardzo solidnej naukowej krytyki tzw. dowodów na ewolucję. Ponadto współcześni teologowie nie znają tradycyjnej nauki o stworzeniu, ponieważ właśnie w wyniku zwycięstwa paradygmatu ewolucyjnego w przyrodoznawstwie i kulturze masowej zaprzestano nauczania tego, co Kościół przez wieki twierdził na temat pochodzenia gatunków. Uznano, że współczesna nauka wyklucza tradycyjne rozumienie stworzenia i dlatego trzeba się wstydliwie z niego wycofać lub je zamilczeć. Chrześcijanie tradycyjnie twierdzili, że gatunki powstały w sposób nadprzyrodzony, poprzez stworzenie. Takie stanowisko jest do obronienia nawet w świetle współczesnej nauki. Koncepcje teologiczne musimy bowiem sądzić w świetle faktów i danych naukowych, a nie w świetle postulatów czy teorii, takich jak teoria makroewolucji biologicznej. Fakty historii przyrody nie wykluczają stworzenia gatunków. Wręcz przeciwnie – tradycyjna chrześcijańska koncepcja stworzenia lepiej harmonizuje z danymi odkrywanymi przez współczesną naukę niż teoria makroewolucji biologicznej.

Jestem pewien, że ku zaskoczeniu wielu tradycyjna nauka o stworzeniu jest do obronienia w świetle współczesnych danych naukowych

Wynikałoby z tego, że z punktu widzenia danych naukowych więcej sensu ma twierdzenie, że Bóg w jednym momencie stworzył dane zwierzę lub człowieka, niż to, że poszczególne gatunki wyewoluowały z innych gatunków. Są na to jakiekolwiek dowody?

Gdy spojrzymy na zapis kopalny, to rządzą nim dwie cechy: Po pierwsze, wszystkie gatunki pojawiają się nagle, jakby znikąd. Po drugie, gatunki pozostają niezmienione poprzez dziesiątki milionów lat swojego istnienia. Te fakty stoją w sprzeczności z koncepcją makroewolucji. Nie stoją jednak w sprzeczności z chrześcijańską wizją stworzenia, wręcz przeciwnie, zdają się ją popierać. Trzeba jednak pamiętać, że stworzenie nie jest pojęciem naukowym, lecz religijnym. Zatem nie ma czegoś takiego jak „naukowy dowód na stworzenie". Nadprzyrodzone działanie Boże wymyka się poznaniu naukowemu.

W przeszłości teologia chrześcijańska myliła się jednak w kwestii zagadnień przyrodniczych. Galileusz został przecież potępiony za to, że twierdził, iż Ziemia krąży wokół Słońca. Dlaczego z Darwinem miałoby być inaczej?

Tak, oczywiście przykład Galileusza jest podnoszony zawsze wtedy, gdy chrześcijanie próbują bronić swojego światopoglądu w oparciu o objawienie. Musimy sobie jednak uświadomić, że nie ma prostej analogii między Galileuszem a Darwinem. Po pierwsze, geocentryczna koncepcja kosmosu została przejęta przez chrześcijan od starożytnych pogan (system Ptolemeusza), a nie wydedukowana z Pisma Świętego. Pismo Święte harmonizuje zarówno z heliocentryzmem, jak i geocentryzmem, ponieważ nie jest zadaniem Biblii rozstrzyganie sporów dotyczących budowy układu słonecznego. Zatem teologowie, którzy użyli argumentu biblijnego przeciwko Galileuszowi, popełnili błąd, próbując zaaplikować pewne fragmenty Pisma do rozstrzygnięcia sporu naukowego. Darwin jednak postawił zupełnie inne pytanie. Darwin nie pytał o to, jak świat jest zbudowany, tylko skąd świat pochodzi, a konkretnie, skąd wzięły się gatunki roślin i zwierząt. To są dwa różne pytania.

To prawda. Jednak właściwie co złego jest w tym drugim pytaniu?

O ile na pytanie, jak świat działa, jak jest zbudowany, odpowiadają nauki przyrodnicze, o tyle pochodzenia przyrody nauki przyrodnicze nie mogą wyjaśnić. Darwin próbował wyjaśnić pochodzenie biologii w ramach biologii. A to jest podejście nienaukowe, ponieważ żadna dyscyplina naukowa, z samej natury rzeczy, nie może wyjaśnić pochodzenia swojego przedmiotu. W przypadku pytań o początki musimy odwołać się do Pisma Świętego, które ma charakter autorytatywny. Różnicę tę można zauważyć, porównując tytuły dzieł Kopernika i Darwina. Kopernik napisał książkę „O obrotach sfer niebieskich", to znaczy pytał o wzajemne relacje planet w kosmosie – jak działa system planetarny. I to jest pytanie naukowe. Z kolei Darwin napisał książkę „O pochodzeniu gatunków" („The Origin of Species"), czyli zapytał o to, skąd istotne elementy świata się wzięły. Angielskie słowo „origin" użyte przez Darwina to greckie „genesis", które posłużyło jako tytuł pierwszej księgi Pisma Świętego. Zatem Darwin zaproponował alternatywną „księgę początków". W ten sposób przekroczył granice przyrodoznawstwa. O ile więc Galileusz mógł mieć rację, gdyż jako astronom poruszał się w polu astronomii, o tyle Darwin racji nie miał, gdyż jako naturalista zaproponował teorię powstania gatunków sprzeczną z Pismem Świętym i z klasycznym chrześcijańskim rozumieniem stworzenia.

„Stworzenie" to inaczej „kreacja". Tylko że protestanccy zwolennicy „kreacjonizmu młodej

eprasa.pl 65aebf6e22

Ziemi" skutecznie skompromitowali to słowo, przekonując, że Ziemia liczy sobie 6 tys. lat, a nasz świat został stworzony w sześciu 24-godzinnych turach...

Osobiście unikam słowa „kreacjonizm" właśnie dlatego, że jest to pogląd, w którym miesza się dwie sprawy – kwestię pochodzenia gatunków (ewolucja czy stworzenie) oraz kwestię długości istnienia świata (miliardy przeciwko tysiącom lat). Kreacjoniści młodej Ziemi dość dobrze radzą sobie z tym pierwszym zagadnieniem. Jednak w kwestii wieku świata popierają 6 tys. lat, ponieważ uważają, że tego wymaga Pismo Święte. Jednak pytanie o wiek świata nie jest pytaniem o początki (jak świat powstał), lecz właśnie o wiek, czyli ile lat świat ma dzisiaj. Takie pytanie jest pytaniem naukowym, zatem nauki przyrodnicze mogą na nie skutecznie odpowiedzieć. Biblia nie jest miejscem do szukania odpowiedzi na pytanie o wiek świata.

Jest jeszcze drugi kreacjonizm, tzw. kreacjonizm progresywny, zwany też kreacjonizmem starej Ziemi.

W ramach tego poglądu odrzuca się makroewolucję biologiczną na rzecz stworzenia gatunków. Tym różni się kreacjonizm progresywny od teistycznego ewolucjonizmu (teistyczny ewolucjonizm akceptuje ewolucję jako wyjaśnienie pochodzenia gatunków). Natomiast przyjmuje się w nim długi wiek świata rzędu miliardów lat, co różni go od kreacjonizmu młodej Ziemi. Zatem kreacjonizm progresywny z jednej strony broni klasycznej chrześcijańskiej nauki o stworzeniu, a z drugiej akceptuje wszystkie dane naukowe współczesnej geologii, paleontologii i kosmologii.

Jak się do tego wszystkiego ma teoria inteligentnego projektu (IP), która zyskuje coraz więcej zwolenników?

Mówiłem wcześniej, że teoria Darwina składa się z ogólnych postulatów, takich jak pochodzenie wszystkich organizmów od jednego przodka oraz z mechanizmu ewolucji, którym dla Darwina były zróżnicowany rozród i naturalna selekcja. Współczesny mechanizm darwinistyczny zakłada, że nowości biologiczne powstają na zasadzie przypadkowych mutacji genetycznych i naturalnej selekcji. Teoria inteligentnego projektu nie kwestionuje tych ogólnych postulatów, lecz neodarwinistyczny mechanizm ewolucji.

O. MICHAŁ CHABEREK „STWORZENIE CZY EWOLUCJA?" FRONDA 2014

Na czym polega więc krytyka darwinizmu w ramach IP?

Zdaniem zwolenników teorii inteligentnego projektu przypadkowe mutacje nie są w stanie wytworzyć nowych funkcjonalnych organów, a w konsekwencji nie wyjaśniają pochodzenia gatunków. Dodatkowo zwolennicy inteligentnego projektu twierdzą, że w ramach biologii znajdujemy pozytywne dowody na to, że przynajmniej niektóre elementy świata ożywionego powstały na mocy działania inteligencji, a nie ślepych procesów biologicznych. Teoria IP nie odwołuje się do objawienia czy teologii, a jedynie do danych naukowych. Jako taka jest więc teorią naukową.

Nie jest kreacjonizmem, ponieważ nie mówi nic o stworzeniu. Nie wyklucza nawet wspólnego pochodzenia. Twierdzi jedynie, że proces ten nie mógłby opierać się wyłącznie na przypadku i konieczności. Aby wytworzyć różnorodność życia, musi być zaangażowany trzeci czynnik – inteligencja, ponieważ tylko inteligencja jest zdolna tworzyć taki rodzaj informacji, w który obfituje świat biologii.

W takim razie co katolik powinien odpowiedzieć na pytanie: Jak powstał człowiek?

Na to pytanie są obecnie w Kościele dwie odpowiedzi. Pierwsza, najbardziej popularna, wywodzi się z teistycznego ewolucjonizmu. Zgodnie z nią człowiek powstał poprzez nadanie duszy rozumnej hominidowi, zwierzęciu, które stanowiło jakąś formę pośrednią między człowiekiem a małpą. Tak więc ciało człowieka powstało na drodze ewolucji, a dusza rozumna została stworzona. Według drugiej odpowiedzi (obecnie niemal zupełnie zapomnianej) Bóg uformował ciało człowieka z prochu ziemi w sposób nadprzyrodzony i tak uformowany model ożywił duszą, którą stworzył w momencie tchnięcia w ciało. Zatem pierwszy człowiek został stworzony bezpośrednio przez Boga, tak co do ciała, jak duszy.

Jednak czy miliony lat temu nie mieliśmy wspólnego przodka z szympansami? Każdy świetnie kojarzy przecież grafikę przedstawiającą ewolucję od postaci przypominającej małpę do człowieka.

Warto sobie uświadomić, że nie ma dowodów na ewolucję ciała ludzkiego z niższych zwierząt. Te domniemane formy pośrednie to owoc wyobraźni paleontologów, którzy za wszelką cenę chcą wierzyć we wspólnego przodka człowieka i małpy. Warto również wiedzieć, że stworzenie ciała ludzkiego z prochu ziemi stanowiło prawdę wiary nauczaną w Kościele w sposób zwyczajny od starożytności aż do lat 50. ubiegłego wieku przez papieży, synody i największych teologów chrześcijaństwa. Zatem gdy mamy te dwie opcje, z których jedna nie jest dowiedziona naukowo, a druga cieszy się ogromnym poparciem teologicznym, to na mocy wiary należy powrócić do tej klasycznej prawdy o stworzeniu.

Podsumujmy to wszystko. O co apeluje ojciec w tej debacie?

Przede wszystkim chodzi o obiektywne spojrzenie na dane naukowe, bez apriorycznego przyjmowania założeń ewolucyjnych. Do takiego podejścia są zobowiązani zarówno biologowie, jak i teologowie. Jest to zresztą warunek każdej uczciwej debaty. Drugi krok to ponowne odkrycie klasycznej chrześcijańskiej nauki o stworzeniu, tak jak została ona przedstawiona w Piśmie Świętym i tradycji teologicznej Kościoła. Jestem pewien, że również dzisiaj, ku zaskoczeniu wielu – nie tylko ateistów, lecz także teologów kościelnych – tradycyjna nauka o stworzeniu jest do obronienia w świetle współczesnych danych naukowych. Gdy zaś odzyskamy wiarę w stworzenie, ocalimy także światopogląd chrześcijański mocno nadszarpnięty przez nowożytny ateizm, materializm i ewolucjonizm. To zaś pomoże nam ponownie zrozumieć godność stworzenia, zwłaszcza człowieka, oraz realizm Boskiego objawienia – to, że obie księgi – Księga Objawienia i Księga Przyrody – mają ostatecznie jednego Autora, Boga Stwórcę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

o. Michał Chaberek – zajmuje się dialogiem nauki i religii, debatą na temat ewolucji oraz stworzenia. Jest rezydentem w parafii dominikańskiej w Los Angeles i współpracownikiem Discovery Institute, autorem książek „Kościół a ewolucja" oraz „Stworzenie czy ewolucja". Prowadzi stronę internetową: www.mchaberek.com.

eprasa.pl 65aebf6e22

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Gruba przesada

Zawsze kiedy wybywam gdzieś daleko, gdzie Pierwszy Świat pod postacią turystów obcuje z tym Drugim albo i Trzecim, mam tę samą myśl. Że koniec Zachodu nastąpi nie w wyniku muzułmańskiej inwazji, lecz z przeżarcia.

Kiedy jesteśmy sami ze sobą, nie widać, jacy jesteśmy grubi. Oczywiście wiadomo, że dostatni Zachód ma problemy z otyłością. Wiadomo, że Amerykanie osiągają rozmiary średniej wielkości kaszalotów. Angole niewiele im ustępują, a Skandynawowie są już nie tylko wysocy, lecz także strasznie szerocy. W Polsce, w miarę wzrostu PKB i upadku tradycyjnej kuchni, grubasów jest też coraz więcej. Pisałem tu kiedyś, że za moich czasów szkolnych przypadał jeden etat tłuściocha na klasę czy grupę (akurat zazwyczaj ja go miałem). Teraz widuję podwórkowe czeredy, w których chudzi są w zdecydowanej mniejszości. I to wszystko mimo imponującego boomu na zdrowe życie i sport.

Jednak dopiero w tych dalekich krajach, gdy mamy tło w postaci Azjatów, Afrykanów czy Latynosów, widać dobitnie, jak bardzo uciekliśmy reszcie świata pod względem tuszy. Jak bardzo jesteśmy spotworniali, pokraczni, zasapani, nieruchawi (i wytatuowani, ale to temat na inną opowieść). Trudno nam się schylić, zawiązać sznurówki, wstać z leżaka czy hamaka. Owszem, są też i ci, którzy dbają o formę: biegają o świcie albo przejeżdżają 100 km rowerem przed kolacją. Ci są żylaści i umięśnieni, ale nietrudno zauważyć, że tubylcy są jeszcze ładniej zbudowani sami z siebie, bez wielkiego wysiłku, fitnessów i trenerów personalnych. Po prostu tacy są.

W latach 70. ubiegłego wieku ogromny skandal wywołał film Marco Ferreriego „Wielkie żarcie". Opowiadał o grupie mieszczan (dzisiaj powiedzielibyśmy z klasy średniej), którzy wyjechali na męski wyjazd; podczas niego oddają się głównie jedzeniu i chędożeniu ze sprowadzonymi panienkami. Oddają się tym czynnościom z takim zapałem, że w końcu zdychają z nadmiaru jednego i drugiego. Z dzisiejszej perspektywy widać, że była to wizja prorocza. Nie wiem, jak z seksem (choć faktycznie Zachód ma obsesję na jego punkcie), ale jedzenie rzeczywiście nas wykańcza. Nie dość, że pożeramy wiele, to jeszcze spożywamy paszę niewielkiej wartości, robioną w fabrykach. Japończycy, którzy do najuboższych nie należą, unikają jedzenia przetworzonego, mają świra na punkcie świeżej żywności i żyją najdłużej na świecie. Na samej Okinawie jest podobno kilkuset stulatków. A grubasów w Japonii można spotkać jedynie na matach do sumo.

My natomiast się tuczymy. Jeśli nic się nie zmieni, to za trzy, cztery pokolenia potworne grubasy staną się najliczniejszą grupą społeczną, otyłość stanie się standardem, a poborowi nie będą w stanie zrobić pompki i zmieścić się do czołgu. I to będzie koniec. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Prawda nie jest ciekawa

Do tej parafrazy słynnego sformułowania Józefa Mackiewicza doszedłem, biegając pilotem po Netflixie. Poza historiami biograficznymi, dotyczącymi głównie brytyjskiej rodziny królewskiej, trudno znaleźć tam coś mającego bliższy związek z rzeczywistością. Podróże w czasie, istoty obdarzone paranormalnymi zdolnościami, wampiry i zombi – bardzo trudno znaleźć tam poprawnie skonstruowany kryminał, który nie opiera się na efektach specjalnych, a jedynie na starciu inteligencji zbrodniarza i policjanta. Rzadko pojawia się dramat wojenny, a jeśli nawet trafi się sensacja, to występujący w niej wróg ma przeważnie twarz szalonego naukowca, zbuntowanego agenta czy prawicowego (nigdy lewicowego) ekstremisty.

> **W XXI w. jedynym bezpiecznym rejonem jest świat mniej lub bardziej nowoczesnej baśni**

Początkowo myślałem, że wynika to z wyeksploatowania pewnych wątków i pościgu za atrakcyjnością permanentną. Jednak chyba nie do końca. Do kultury popularnej wdarła się cenzura poprawności politycznej. Jeśli nie można pokazać prawdziwego wroga, zdefiniować istotnych zagrożeń, nazwać ich siewców w XXI w., to jedynym bezpiecznym rejonem jest świat mniej lub bardziej nowoczesnej baśni. Szaleństwo nie ma granic, a prawda historyczna nie ma znaczenia – wrednym templariuszom przeciwstawiani są dobrzy islamscy asasyni. W dodatku jeśli nie wypada odwoływać się do Boga (chyba że jest się obłąkanym seryjnym zabójcą), to jak pokazywać walkę dobra i zła, od wieków podstawę każdej opowieści? I nie widać wyjścia z sytuacji. Jeśli nawet u nas redaktor Żakowski dopatruje się w „Pustyni i w puszczy" podtekstów rasistowskich, to znaczy „w Grenadzie zaraza"! Rozumiem, że wedle publicysty „Gazety Wyborczej" Henryk Sienkiewicz powinien odmalować przede wszystkim ohydę brytyjskiego kolonializmu, spod którego jarzma ucieka dwoje dzieciaków, przy czym Staś przy pierwszej okazji przechodzi na islam, a Nel puszcza się z Kalim, celem rekompensaty za lata wyzysku i niewolnictwa.

A swoją drogą, co za wstyd z powodu Nobla za „Quo vadis", jednostronną powiastkę o tym, jak postępowy, rozwinięty Rzym ściera się (by za parę wieków zginąć) ze wstecznym obskuranckim chrześcijaństwem.

Rozumiem gorycz Żakowskiego, tego Petroniusza naszych czasów. Do niedawna wydawało się pewne, że świat wartości musi ulec radosnemu relatywizmowi. Teraz nie jest już takie pewne. Chociaż na film nakręcony z innej optyki przyjdzie pewnie poczekać. ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

HISTORIA SKOKÓW NARCIARSKICH W II RP

Piotr Zychowicz – **Gdzie jest ciało „Śmigłego"?**
Sławomir Koper – **Ucieczka Naczelnego Wodza**
Sławomir Cenckiewicz – **Wałęsa kontra grafolodzy**
Karl Ludvigsen – **Porsche: geniusz w służbie Hitlera**
Mariusz Olczak – **Abwehra kontra Kedyw**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Stalin był wrogiem Rosji**
Marcin Bartnicki – **Skandal pedofilski w II RP**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 65aebf6e22

Sebastian Pilarski

Niepokorni

Pozycja działaczy niepokornych w ruchu solidarnościowym była podważana, a ich niekwestionowane zasługi – umniejszane, co skazało ich na porażkę w walce o pamięć i miejsce w świadomości historycznej Polaków

Na pierwszym planie od lewej działacze Grupy Roboczej Komisji Krajowej „S" z Łodzi: Jerzy Kropiwnicki, Grzegorz Palka i Andrzej Słowik, 1 maja 1989 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

Jakkolwiek pięknie brzmiało – i brzmi nadal – hasło o zjednoczonej i niepodzielnej Solidarności, rzeczywistość lat 80. nie wyglądała tak sielankowo, a faktem były funkcjonowanie w związku wewnętrznej opozycji i długoletnia walka o powrót do ideałów sierpnia 1980 r.

Stworzenie organizacji liczącej w 1981 r. niemal 10 mln członków musiało doprowadzić do wyodrębnienia się w jej szeregach różnych nurtów i rozpoczęcia dyskusji na temat ideowego oblicza oraz zadań ruchu. Zjawiska te były widoczne w okresie jawnej działalności związku sprzed 13 grudnia 1981 r. (m.in. podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów w Gdańsku) i w okresie „wojny polsko-jaruzelskiej", a ich apogeum znalazło się w końcu dekady, kiedy to toczyła się ostra rywalizacja głównego nurtu skupionego wokół Lecha Wałęsy i Krajowej Komisji Wykonawczej z opozycją reprezentowaną przez Grupę Roboczą KK. W gronie stałych członków tej ostatniej znaleźli się m.in. historyczni przywódcy Solidarności z lat 1980–1981, tacy jak: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Jerzy Kropiwnicki, Grzegorz Palka, Jan Rulewski, Andrzej Słowik i Stanisław Wądołowski, a wsparcia udzielali m.in. Andrzej Rozpłochowski (do czasu wyjazdu do USA) i Anna Walentynowicz.

KORZENIE

Nazwa GR KK po raz pierwszy pojawiła się oficjalnie w dokumentach datowanych na 4 kwietnia 1987 r., jednak jej genezy można szukać wcześniej, np. w artykule Słowika pt. „Powrót do źródeł", zamieszczonym w kwietniu 1986 r. w „CDN. Głosie Wolnego Robotnika", w którym przewodniczący ZR Ziemi Łódzkiej zaprezentował postulaty dotyczące dalszej działalności NSZZ „Solidarność". Akcentował on przede wszystkim konieczność prowadzenia działalności

eprasa.pl 65aebf6e22

typowo związkowej, tj. ochronę praw pracowniczych i utrzymania kontaktów z międzynarodowymi centralami związkowymi, odwołując się także do obserwacji poczynionych podczas nielegalnego pobytu na Zachodzie na przełomie lat 1985 i 1986. Koncentrowanie się na takiej formie aktywności było wyborem dokonanym między trzema odmiennymi wizjami funkcjonowania Solidarności: jako organizacji broniącej praw człowieka, partii politycznej oraz związku zawodowego. Proponowana przez Grupę Roboczą KK formuła nie wykluczała walki Solidarności o przestrzeganie wolności politycznej, zadaniem każdego związku zawodowego była bowiem kontrola działań władz państwowych. Nadanie związkowi charakteru partii oznaczałoby zaś koniec zasady uznawania różnorodności światopoglądowej jego członków. Za datę początkową swojej działalności członkowie Grupy przyjmowali listopad 1986 r., kiedy to Lech Wałęsa zaproponował członkowi KK Sewerynowi Jaworskiemu utworzenie z Marianem Jurczykiem i Andrzejem Słowikiem jawnej Komisji ds. Bytowych jako jednego z czterech równorzędnych segmentów obejmujących całość zadań programowych związku. Powołane już były Tymczasowa Rada Solidarności i Komisja Praworządności, dodatkowo miały powstać komisje zajmujące się zagadnieniami bytowymi i gospodarczymi. Na wyznaczonym w Gdańsku spotkaniu przewodniczący KK nie sformalizował jednak tej inicjatywy, argumentując sprzeciwem ze strony TR „S”.

Podstawowym postulatem Grupy stało się zwołanie posiedzenia Komisji Krajowej w składzie wyłonionym w 1981 r., czego domagało się w liście do Lecha Wałęsy z 20 września 1987 r. 22 członków komisji. Tego samego dnia część członków KK złożyła wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o uznanie za niezgodne z Konstytucją PRL i aktami prawnymi ratyfikowanymi przez PRL Zarządzenia nr 51 Prezesa Rady Ministrów z dnia 13 grudnia 1981 r. w sprawie zawieszenia działalności związków zawodowych i niektórych organizacji społecznych na czas obowiązywania stanu wojennego oraz art. 52. Ustawy o związkach zawodowych z dnia 8 października 1982 r.

Grupa Robocza traktowała jako warunek konieczny do porozumienia z władzami PRL przywrócenie rejestracji z 1980 r. oraz gwarancję zachowania jedności związku i zadośćuczynienia działaczom represjonowanym po 13 grudnia 1981 r. Powołanie nowego związku oznaczałoby w opinii jej członków uznanie legalności ustawy z 8 października 1982 r. i pozostałych aktów prawnych normujących stan wojenny, pozbawiłoby go także możliwości rewindykacji majątku zagarniętego przez państwo po wprowadzeniu stanu wojennego. Fundamentalne znaczenie miał również fakt nieuznawania przez sam NSZZ „Solidarność”, jak też Międzynarodową Organizację Pracy i zachodnie centrale związkowe, delegalizacji związku dokonanej na mocy wspomnianej ustawy z 1982 r., o czym świadczyła afiliacja przy Światowej Konferencji Pracy i Międzynarodowej Konferencji Wolnych Związków Zawodowych.

Głównymi ośrodkami aktywności Grupy, a następnie Porozumienia na rzecz Przeprowadzenia Demokratycznych Wyborów w NSZZ „Solidarność”, pozostawały: Łódź, Szczecin, Wrocław, Gdańsk, Katowice, Płock i Bydgoszcz. Było to w dużym stopniu konsekwencją zaangażowania działaczy zaliczanych do grona stałych członków Grupy z regionów: Ziemia Łódzka (Słowik, Kropiwnicki, Palka), Pomorze Zachodnie (Jurczyk, Wądołowski, Stanisław Kocjan i Grzegorz Durski), Bydgoszcz (Rulewski), Śląsko-Dąbrowskiego (Marek Gabryś), Gdańskiego (Gwiazda), Płockiego (Grażyna Przybylska-Wendt), Mazowsze (Jaworski), Ziemia Piotrkowska (Zbigniew Mroziński), Częstochowa (Zbigniew Kokot, Aleksander Przygodziński).

Nie do końca zasadne wydaje się nazywanie GR KK „grupą Gwiazdy” lub „grupą Jurczyka” – określenia takie pojawiały się w opracowaniach sporządzanych przez Służbę Bezpieczeństwa. Wynikało to zapewne z faktu częstych wypowiedzi Gwiazdy na tematy związane z bieżącą działalnością oraz postrzegania Jurczyka jako „odwiecznego” konkurenta Wałęsy do przywództwa w związku i swego rodzaju symbolu walki z dominacją środowisk lewicy laickiej. Ciężar działań organizacyjnych spoczywał bowiem na reprezentantach Łodzi, gdzie działały sekretariat oraz Ośrodek Badań Społeczno-Zawodowych. W Łodzi redagowano w latach 1988–1989 „Biuletyn Informacyjny”, który nie był kolportowany na dużą skalę, docierał głównie do sympatyków struktury, a jedynie część dokumentów prezentowana była na łamach prasy podziemnej ukazującej się m.in. w Łodzi, Warszawie i we Wrocławiu. Wiele informacji odnaleźć można także w pismach reprezentujących ogniwa nastawione krytycznie wobec Grupy, a czytelnicy najpopularniejszego w drugim obiegu „Tygodnika Mazowsze” pytali wręcz o istnienie zapisu cenzorskiego, nakazującego pomijanie faktu istnienia gremium skupiającego niepokornych działaczy.

W ocenie części reprezentantów głównego nurtu Grupa negowała prawo Wałęsy do kierowania podziemnymi strukturami związku. Zarzut ten jest bezzasadny, ponieważ uznawała ona mandat przewodniczącego KK, podobnie jak honorowała mandaty pozostałych przedstawicieli władz związku wybranych podczas I KZD. W żadnym z oświadczeń i komunikatów nie kwestionowano roli Wałęsy, domagając się jedynie odbudowy Solidarności w oparciu o wewnątrzzwiązkowe akty prawne przyjęte w okresie jego legalnej działalności. Co więcej, różnice poglądów dotyczące strategii działania nie zniechęcały osób związanych z Grupą Roboczą KK do szukania kompromisu z liderem związku. Na spotkaniu jej przedstawicieli z Wałęsą, zorganizowanym w styczniu 1988 r. w Gdańsku, przewodniczący KK wyraził zgodę na udział członków GR z Łodzi i ze Szczecina w pracach KKW, deklarując przy tym chęć odbudowy struktury NSZZ „Solidarność” zgodnie ze statutem z 1980 r. Ostatecznie przedstawiciele Grupy nie znaleźli się w składzie ujawnionej w marcu 1988 r. KKW. Pomimo fiaska rozmów GR KK udzieliła jesienią 1988 r. poparcia przedstawicielom środowisk niezależnych w planowanych negocjacjach przy Okrągłym Stole, choć w przededniu rozpoczęcia obrad wskazała na fakt pominięcia w składzie

Nie do końca zasadne wydaje się nazywanie GR KK „grupą Gwiazdy” lub „grupą Jurczyka” – określenia takie pojawiały się w opracowaniach sporządzanych przez Służbę Bezpieczeństwa

eprasa.pl 65aebf6e22

delegacji „strony społecznej” części środowisk opozycyjnych.

DWA NURTY WEDŁUG WŁADZ

Działalność Grupy Roboczej i opublikowanie w końcu 1988 r. kolejnych dokumentów spowodowały po raz pierwszy ostrą reakcję władz PRL – stały się one jednym z głównych tematów konferencji prasowej rzecznika rządu Jerzego Urbana. Zarzucił on Grupie podsycanie niezadowolenia w środowiskach młodzieżowych oraz ocenił ją jako „nurt konfrontacyjny, przeciwny reformie i wyraźnie lewacki”. Jak więc widać, władze świadomie i konsekwentnie wskazywały na istnienie nurtu „konstruktywnego” i „destrukcyjnego”, wykorzystując istniejące podziały w związku, ignorując przy tym całkowicie fakt odwoływania się GR KK do wartości tradycyjnych i społecznej nauki Kościoła. Na marginesie należy więc podkreślić, że błędem jest lokowanie Grupy w szeregach opozycji radykalnej (obok np. Solidarności Walczącej), trudno bowiem za radykałów uznawać zwolenników legalizmu i poglądów konserwatywnych.

W kwietniu 1989 r. GR KK uznała postanowienia Okrągłego Stołu, w tym „kontrakt wyborczy”, zgłaszając zastrzeżenia dotyczące zapisów nie w pełni demokratycznej ordynacji wyborczej. Temperatura dyskusji wzrosła jednak po 17 kwietnia, kiedy to została zalegalizowana działalność NSZZ „Solidarność”. Zdaniem członków działanie to było bezprawne, ponieważ uznawali oni rejestrację z listopada 1980 r., domagając się jej przywrócenia, czyli relegalizacji związku. Ocenili oni, że nowo rejestrowany związek pozbawił się prawa do strajku (stosowny zapis znalazł się w aneksie do statutu) i doprowadził do wyeliminowania z niego struktur niepodporządkowanych KKW.

Co ciekawe, Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” formalnie deklarował obronę praw kandydatów niezależnych ubiegających się o mandat. Członkowie Zespołu Promocji Kandydatów KO przewidywali jednak możliwość podnoszenia podczas spotkań przedwyborczych kwestii eliminowania wpływów zwolenników GR KK i Solidarności Walczącej oraz terminu zwołania II KZD NSZZ „Solidarność”. Przewidywania te okazały się uzasadnione, o czym

świadczył przebieg mityngów organizowanych na terenie całego kraju. Kwestia nieobecności członków Grupy Roboczej na listach kandydatów zgłaszanych przez komitety obywatelskie była także istotnym punktem debaty przeprowadzonej na antenie Radia Wolna Europa między Jackiem Kuroniem a Władysławem Siłą-Nowickim, rywalizującymi o mandat poselski na Żoliborzu. Kuroń pominięcie części „znanych i wybitnych działaczy” uzasadniał brakiem ich akceptacji dla trybu zalegalizowania działalności związku.

Członkowie GR KK (poza Kocjanem) nie startowali w wyborach czerwcowych, udzielając najczęściej poparcia kandydatom opozycji niezwiązanym z komitetami obywatelskimi – wyjątkiem była Łódź, gdzie ZR zachęcał do głosowania na część kandydatów rekomendowanych przez KO „Solidarność” oraz na osoby stojące „na gruncie wartości chrześcijańskich”. Nie zdecydowano się także na bojkot wyborów, choć scenariusz taki rozważali początkowo Gwiazda i Rulewski.

POROZUMIENIE, CZYLI ROZŁAM

Działalność Grupy zakończyła się latem 1989 r., kiedy powstało Porozumienie na rzecz Przeprowadzenia Demokratycznych Wyborów w NSZZ „Solidarność”. Porozumienie zaakceptowało program Grupy, lecz wkrótce doszło w nim – po utworzeniu sekretariatu kierowanego przez Mariana Jurczyka – do rozejścia między „grupą łódzką” a reprezentantami Pomorza Zachodniego, którzy podjęli działania zmierzające de facto do utworzenia nowego związku. Wynikiem tych działań stało się powołanie w marcu 1990 r. NSZZ „Solidarność ’80”, w której dominującą pozycję zdobyli działacze ze Szczecina i z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Odmienną strategię działania przyjęli reprezentanci Ziemi Łódzkiej, przedstawiciele wrocławskiego Regionalnego Komitetu Strajkowego (m.in. Tomasz Wójcik) oraz Rulewski, którzy zdecydowali się na udział w wyborach do władz regionalnych NSZZ „Solidarność”, co z kolei zagwarantowało im mandaty delegatów na II KZD związku, zorganizowany w Gdańsku w kwietniu 1990 r. Wyłonienie nowych władz związku (o stanowisko przewodniczącego bezskutecznie konkurowali z Wałęsą Słowik i Wójcik) zakończyło okres rywalizacji o przywództwo w związku między zwolennikami i przeciwnikami pierwszego przewodniczącego KK. W kolejnych latach liderzy Grupy z powodzeniem angażowali się w działalność związkową, jak również polityczną na szczeblu samorządów, parlamentu oraz instytucji centralnych.

ŁATKA ZOSTAŁA

Tematem wymagającym osobnego traktowania jest inwigilacja prowadzona przez bezpiekę. Rozpracowania poszczególnych działaczy prowadziły wojewódzkie urzędy spraw wewnętrznych, natomiast na szczeblu centralnym koordynował je Wydział III Biura Studiów MSW, a następnie – po przekształceniach organizacyjnych wprowadzanych w resorcie spraw wewnętrznych od sierpnia 1989 r. – Wydział III Departamentu Studiów i Analiz. Z zachowanych materiałów WUSW w Szczecinie wprost wynika, że inwigilację przedstawicieli „opozycji pozaparlamentarnej”, do której zaliczano GR KK, zakończono dopiero wiosną 1990 r., a więc pół roku po powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Łatka radykałów i przeciwników okrągłostołowego porządku zobowiązywała więc do „odpowiedniego” traktowania także w rodzącej się III Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem historii, pracownikiem Oddziału IPN w Łodzi.

eprasa.pl 65aebf6e22

WOLNOŚĆ PAMIĘĆ

TROPEMWILCZYM.PL

BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

4 MARCA w Twoim mieście!

NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI NA ŚWIECIE

PATRONAT NARODOWY

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości 1918-2018

ORGANIZATOR

FUNDACJA WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

WSPÓŁORGANIZATOR

wolne dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY

PZU, PGNiG, ORLEN, KGHM POLSKA MIEDŹ

MECENAS ZŁOTY

PARTNER EDUKACYJNY

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER FINANSOWY

FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER BIEGOWY

ORLEN WARSAW MARATHON

PARTNER

Bank Polski, Fundacja, VA, FESTIWAL FILMOWY NNW

PATRON MEDIALNY

TVP, POLSKIE RADIO, WP, DO RZECZY, GAZETA POLSKA, PAP

PARTNER MEDIALNY

SUPER EXPRESS, Gazeta Polska, HISTORIA, wPolityce.pl, niezależna

eprasa.pl 65aebf6e22

„Kościuszko pod Racławicami", Jan Matejko, 1888 r. FOT. WIKIPEDIA

Z Piotrem Śliwińskim, dziennikarzem, pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Jak umierała I RP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby insurekcją roku 1794 kierowali Tomasz Wawrzecki z Jakubem Jasińskim, jej wynik byłby inny?

PIOTR ŚLIWIŃSKI: Pojęcia nie mam, co by było. Nie lubię gdybać. Wawrzecki nie był wojskowym i do ścisłego sztabu insurekcji dostał się za poręczeniem Kołłątaja. Jasiński, wyzwoliciel Wilna, nie miał za sobą nikogo i choć był to zdolny wojskowy, to uważany był za „czerwieńca", czyli jakobińskiego radykała. Wynik pewnie niewiele by się zmienił, bo nieubłaganie zbliżała się zima, kończyły się zapasy, głód zaglądał w oczy, brakowało rezerw, społeczeństwo było wyczerpane wojną.

Pozostałe postacie historyczne obecne na kartach pana najnowszej powieści prezentują się mniej korzystnie. „Zajączek tchórzliwy", „Kołłątaj hipokryta"...

Żadna sensacja i nowość. Moi bohaterowie to nie mityczni herosi, ale zwyczajni, często słabi ludzie, którzy raz stają na wysokości zadania, innym razem kapitulują. Zajączek z Pragi to jeszcze nie Generał Melon znad Berezyny, gdzie na czele 16. dywizji, pieszo i z szablą w garści przedziera się z okrążenia i traci nogę. Zaś Kołłątaj – moim skromnym zdaniem – to niezwykle pracowity człek wielkich ambicji, lecz jednocześnie niedoceniony i odsuwany na bok. Jego hipokryzja mogła wynikać właśnie z owych zawiedzionych ambicji i niedocenienia, które w dniu klęski próbował sobie zrekompensować powstańczą kasą.

Odbrązawia pan nawet Tadeusza Kościuszkę!

A cóż można rzec o człowieku, który z każdego, najmniejszego nawet niepowodzenia czynił niebotyczną klęskę? Nie był wcale rozważny i romantyczny, jak chcą niektórzy. Raczej nierozważny i naiwny. Świetny fortyfikator i inżynier, lecz kiepski strateg. Niepoprawny, rzec można – chory na Polskę idealista, któremu wydawało się, że przeciwnik jest równie szlachetny jak on albo na tyle głupi, że da się powalić Polakom samym ich umiłowaniem wolności i ojczyzny. Niestety, Rosjanie okazali się twardymi i cynicznymi graczami, wyzutymi z wszelkich uczuć wyższych.

Klęski maciejowickiej można było uniknąć?

Jak najbardziej! Można było zabrać ze stolicy dużo więcej wojska (nawet 10-krotnie!). Można było rozbić korpus Fersena na przeprawie przez Wisłę. No i przede wszystkim z większym zamysłem kierować ruchami własnych wojsk; zamiast drobić siły – uderzać większymi związkami taktycznymi. Adam Poniński stał się kozłem ofiarnym obwinianym za nieudolność naczelnika Kościuszki.

Zdaniem prof. Jerzego Łojka i Karola Zbyszewskiego gwarantem zachowania niepodległości przez I RP byłby inny monarcha.

Być może, ale upadku i destrukcji państwa trzeba upatrywać dużo wcześniej niż za panowania króla Ciołka. Te problemy pojawiły się już za czasów saskich. Państwo słabło, w kasie pustki; armia biedowała, dworskie milicje magnackie stały na lepszym poziomie niż

eprasa.pl 65aebf6e22

pułki koronne i litewskie; każdy cwaniak zagarniał dla siebie, co tylko się dało, nie bacząc na interes kraju. W takiej sytuacji każdy monarcha, nawet Jan III Sobieski czy Stefan Batory, niewiele by wskórał.

Inna sprawa, że Stanisław August został wybrany na tron polski z jawnym pogwałceniem zasad wolnej elekcji i otrzymał koronę pod presją okupującego Polskę siedmiotysięcznego korpusu carskiego. Imperatorowa Katarzyna pisała zaś do Fryderyka Wielkiego o Poniatowskim, że ze wszystkich aspirantów do korony polskiej ma na nią najmniejsze szanse, zatem będzie najbardziej wdzięczny tym, dzięki którym ją dostanie.

Kandydatów do naszego tronu rzeczywiście było całkiem sporo, skoro w czasach konfederacji barskiej mówiło się poważnie przynajmniej o pięciu. Wymieniano m.in. elektora saskiego Fryderyka Augusta, książąt: Schleswig-Holstein-Limburg, kurlandzkiego Karola i cieszyńskiego Albrechta czy brytyjskiego Karola Edwarda Stuarta.

Usunięcie Stanisława Augusta Poniatowskiego planowali konfederaci barscy, ale rola enigmatycznego Kuźmy to chyba licentia poetica.

Trochę tak i trochę nie. U prof. Łojka można znaleźć interesującą historię porwania króla. W rozbiciu spisku miał maczać palce właśnie ów tajemniczy Kuźma „Kosiński". A licentia poetica? Cóż… skoro był ktoś taki, jak ów Kuźma, i tak enigmatyczny, czemu nie wykorzystać go w powieści? W zbiorach Czartoryskich w Muzeum Narodowym w Krakowie znajduje się jego but, którego użyczył porwanemu królowi, gdy ten był „zbawion obuwia", więc coś jest na rzeczy o jego udziale w porwaniu.

Kreśli pan czarny wizerunek króla, jakże odmienny od tego zaprezentowanego w pracy prof. Andrzeja Zahorskiego, nie wspominając o panegiryku Józefa Hena. „Kluchosław" (za Karolem Zbyszewskim) nie zasłużył na pochówek wawelski?

„Mój" król Stanisław August przedstawiony jest nie jako bezwolna kukła w rękach Jekateriny, ale jako całkiem sprawny intrygant usiłujący w wysokiej stawce, jaką jest istnienie Rzeczypospolitej, ugrać coś dla siebie.

I rzeczywiście jego jedynym zmartwieniem w chwili upadku państwa była troska o to, czy zaborcy spłacą jego astronomiczne długi, za które można było przez rok utrzymać i wyekwipować – bagatela – 120 tys. żołnierzy!

Powiada się o nim, że był mecenasem sztuki i kultury. Skądinąd wiadomo jednak, że więcej płacił swemu nadwornemu kucharzowi niż mistrzowi Canaletcie.

Najbardziej zdumiewa jednak fakt, że za cenę spłaty wierzytelności przez Imperatorową zrzekł się korony i tronu, dając się wywieźć w niewolę do Petersburga, gdzie skończył w charakterze dożywotniego rezydenta rozbiorców Rzeczypospolitej.

Czy zasłużył na Wawel? Trudno powiedzieć. I tak dobrze, że jego doczesne szczątki po latach tułaczki (od Petersburga przez rodzinny Wołczyn na Białorusi) spoczęły wreszcie w polskiej ziemi, w podziemiach warszawskiej katedry św. Jana Chrzciciela.

We wdzięcznej pamięci rodaków pozostał za to królewski bratanek, książę Józef. Gdyby przyszło mu żyć dziś, byłby napiętnowany przez feministki?

Ten jurny zabijaka w generalskim mundurze jak nikt inny potrafił emablować kobiety i zdobywać ich wdzięki, zatem sądzę, że nie oparłaby mu się najtwardsza z wyznawczyń mizoandrii.

Nie wiadomo tylko, czy one wzbudziłyby w nim zainteresowanie…

Współpraca księcia Pepiego z Kościuszką szwankowała ze względów ambicjonalnych?

Znali się dobrze. Mimo różnicy wieku (Kościuszko ur. 1746, ks. Poniatowski rocznik 1763) w czasach poprzedzających wojny lat 1792 i 1794 bywali ponoć w dobrej komitywie. Kiedyś książę Józef założył się, że przejedzie ulicami Warszawy konno w stroju Adama. Jednym z dwóch jego kompanów w tym szaleńczym wyczynie miał być właśnie Kościuszko.

Względy ambicjonalne mogły się pojawić po przystąpieniu króla Stanisława Augusta do targowicy, bo choć królewski bratanek oddał Order Virtuti Militari, podał się do dymisji i opuścił kraj, to jednak niesmak do rodziny królewskiej pozostał i Pepi, chcąc nie chcąc, pokutował za grzechy stryja. Stąd też mogła wynikać niechęć Kościuszki do dawnego kompana.

W czasie insurekcji role się odwróciły i Kościuszko – niedawny podwładny – stał się przełożonym księcia, który stawił się przed Naczelnikiem, by „służyć prostym żołnierzem".

Można powiedzieć, że ich gwiazdy nigdy nie świeciły równocześnie. Gdy bowiem gwiazda Naczelnika gasła, gwiazda Pepiego dopiero rozbłyskała na niebie dziejów.

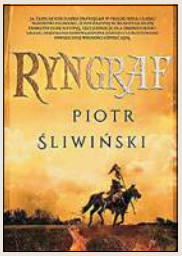

PIOTR ŚLIWIŃSKI
„RYNGRAF"
MUZA 2017

Nie pamiętamy, że insurekcji kościuszkowskiej towarzyszyły dwie lokalne rebelie.

Szkoda, bo to piękna karta historii. Zaskakujące, że trzy kwietniowe dni, które zniosły rządy carskiego ambasadora i dały wolność stolicy, są zupełnie ignorowane w naszych dziejach. Przecież było to – uczynione rękami szczupłego garnizonu i mas ludności cywilnej – powstanie warszawskie! Zakończone pełnym sukcesem! Podobnie było w Poznańskiem, gdzie początkowo szlachta pod wodzą Józefa Niemojewskiego wyzwoliła spod pruskich rządów Kościan, Gąbin i Kcynię, później zaś – z pomocą dywizji gen. Jana Henryka Dąbrowskiego – odbito Bydgoszcz. Jednak pamiętajmy też o zakończonym całkowitym powodzeniem powstaniu na Litwie. O Wilnie wyzwolonym dzięki wspaniałej postawie pułkownika (później generała) Jakuba Jasińskiego. Ufam, że „Ryngraf" spopularyzuje te chlubne wydarzenia.

Duet przyjaciół Zakrzeński – Krzysztofczyk to wytwór pisarskiej wyobraźni? Pobyt Polaka na Polinezji w XVIII stuleciu był możliwy?

Ów tandem stworzyłem na potrzeby książki, by zbudować dwutorową akcję, bo dzięki temu mogłem pokazać więcej faktów z insurekcyjnych dni. Gdy bowiem Julian walczy pod Racławicami i Szczekocinami, Stanisław jest w tym czasie w Warszawie i pod Chełmem. Niekiedy ich drogi się schodzą, przede wszystkim po to, by zawiązać akcję, urozmaicić ją i porwać czytelnika, a przecież o to w końcu w książce chodzi.

Co do Polaków na Polinezji to myślę, że taki scenariusz byłby możliwy. Jeden z bohaterów książki, kapitan Fussil, pływał bowiem niegdyś pod komendą Bougainville'a, wielkiego odkrywcy i badacza Pacyfiku. Dlaczego więc wśród załogi jego okrętu, pełnego łazików z całego świata, miałoby zabraknąć starego Zakrzeńskiego? Ponoć wszystko jest możliwe na tym najdziwniejszym ze światów…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Śliwiński (ur. 1973) – absolwent polonistyki na UJ. Dziennikarz (Radio Wnet) i pisarz. „Ryngraf" jest jego drugą powieścią.

eprasa.pl 65aebf6e22

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Świetna Rada

Po I wojnie światowej Polska odrodziła się jako republika. I to niestety – za sprawą socjalistycznego rządu Jędrzeja Moraczewskiego – republika mocno czerwona. Zerwana została wielusetletnia tradycja pierwszej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Nie oznacza to jednak, że wszyscy Polacy byli zwolennikami demokratycznego systemu rządów. Dla wielu naszych ówczesnych rodaków wyśniona ojczyzna była monarchią. Mało tego: na początku wszystko wskazywało na to, że w odrodzonej Polsce wprowadzony zostanie właśnie taki system rządów. Mowa o powołanej w 1917 r. za zgodą państw centralnych Radzie Regencyjnej Królestwa Polskiego. W założeniu organ ten miał sprawować władzę w Polsce do momentu intronizacji króla. W praktyce Rada w 1918 r. przekazała władzę Józefowi Piłsudskiemu.

Jako konserwatysta i monarchista mogę napisać tylko jedno – szkoda!!!

W dziejach Rzeczypospolitej zakończyła się cała epoka. A otworzył się nowy, zupełnie odmienny rozdział. Właśnie o tym przełomowym momencie w dziejach traktuje nowa książka wybitnego badacza – prof. Zdzisława Juliana Winnickiego – „Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy".

To nie tylko świetna praca historyczna, lecz także udana próba odczarowania czarnej legendy Rady. Przez wiele dziesięcioleci lewicowi publicyści odsądzali tę zasłużoną instytucję od czci i wiary. Dla nich bowiem polscy monarchiści współpracujący z Niemcami byli „skrajną reakcją".

„Poglądy powyższe – pisze prof. Winnicki – odkształcały: podejście emocjonalne publicystów okresu międzywojennego spowodowane określoną proweniencją polityczną autorów oraz, w latach po II wojnie, traktowanie zagadnienia niemal wyłącznie z klasowego punktu widzenia. Stosunki sprzed lat oceniano niejednokrotnie przez pryzmat sytuacji okupacyjnej, traktując Radę Regencyjną niemal jako ciało kolaboracyjne".

To ostatnie było niedorzecznością – Niemcy w 1917 r. były zupełnie innym państwem niż w roku 1941.

Profesor Winnicki przedstawił organizację i strukturę Rady, zarysował sylwetki jej członków i – przede wszystkim – opisał jej bogatą działalność. To bowiem Rada dała Polsce gotowy i sprawnie działający aparat państwowy. To ona zorganizowała zręby nowej państwowości. Miejmy nadzieję, że dzięki prof. Winnickiemu wielkie zasługi Rady Regencyjnej dla Rzeczypospolitej zostaną wreszcie docenione. ©℗

★★★★★★

ZDZISŁAW JULIAN WINNICKI
„RADA REGENCYJNA KRÓLESTWA POLSKIEGO I JEJ ORGANY (1917–1918)"
WEKTORY 2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwsza klęska Kiepury

Początki kariery gwiazdora nie były łatwe. Kiepura zdał w Sosnowcu maturę i przyjechał do Warszawy, by studiować prawo. Jego ojciec nie chciał słyszeć o kształceniu głosu, wychodząc z założenia, że gwarancją przyszłości jest zdobycie porządnego zawodu. Młody student był jednak uparty i w stolicy odwiedził profesora śpiewu Wacława Brzezińskiego. Doświadczony pedagog dostrzegł jego wrodzony talent i nakłonił go do regularnych lekcji. Kiepura nie miał pieniędzy na naukę, wobec czego panowie zawarli układ. Brzeziński uczył go na kredyt, a tenor miał zwrócić należność, kiedy będzie mógł sobie na to pozwolić.

> **Tenor miał zwrócić należność, kiedy będzie mógł sobie na to pozwolić**

Znajomi ze studiów uznali jednak, że Kiepurze przewróciło się w głowie, gdyż niemal od samego przyjazdu zapowiadał swoją światową karierę. Stojąc w kolejce do studenckiej jadłodajni, tłumaczył, że kiedyś melomani będą w takim ogonku czekali po bilety na jego koncert. Oczekując na odbiór skromnej gaży jako statysta opery warszawskiej (10 zł), przepowiedział kasjerowi, że przyjdzie taki czas, iż będą mu w tym miejscu wypłacali 10 tys. zł.

W lutym 1924 r. Brzeziński zaprotegował go do chóru Teatru Wielkiego i wówczas wydarzyła się katastrofa. Dostał niewielkie solo w „Halce" – jako przewodnik górali miał w III akcie zaintonować zaśpiew chóru (wszystkiego osiem słów). Oczywiście uznał to za okazję do zaprezentowania się publiczności i przeciągał dźwięki dopóty, dopóki starczyło powietrza w płucach. Popis był niezwykle efektowny, ale całkowicie rozbił dyrygentowi tempo.

„Nie wiem, jak on to zrobił – wspominał inspicjent Apoloniusz Kowalski – i czym potrafił oczarować Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, którego był studentem, że na ten skromny debiucik zeszła się cała masa kolegów jego, a ponadto w loży usiadł sam znakomity profesor Jarra, w charakterze szefa klaki. Po zaśpiewie Kiepury nie dopuszczono chóru do głosu. Zerwała się owacja, jak gdyby to był występ Carusa".

Dyrektor opery Emil Młynarski nie tolerował jednak takiego zachowania i wyrzucił niedoszłą gwiazdę na bruk. Podobnie postąpiły władze uniwersytetu, albowiem Kiepura zaniedbał naukę. Obrazu klęski dopełnił ojciec, który na wiadomość o niepowodzeniach studenckich syna wyrzucił go z domu. Zrozpaczony Kiepura myślał o samobójstwie.

Na szczęście dość przypadkowo dostał tytułową rolę w „Fauście" Gounoda we Lwowie, gdzie odniósł fantastyczny sukces. Kilka tygodni później, w lutym 1925 r., pojawił się ponownie w Teatrze Wielkim, tym razem już jako gwiazda wieczoru… ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

WOJNY PRZYSZŁOŚCI.
DOKTRYNA, TECHNIKA, OPERACJE MILITARNE

PSYCHOMANIPULACJE NA WIELKĄ SKALĘ

MILITARNE ASPEKTY ODCZYTYWANIA LUDZKICH MYŚLI

NIEUSTAJĄCY KONFLIKT W CYBERPRZESTRZENI

GLOBALNA BROŃ GEOFIZYCZNA

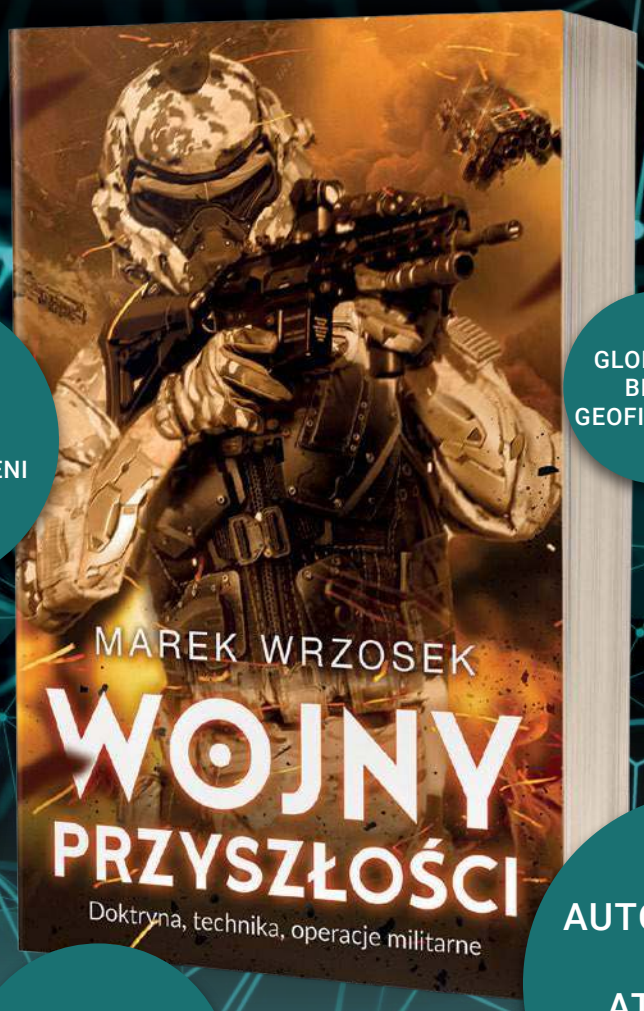

OPERACJE SIECIOCENTRYCZNE

WIĄZKA SKUMULOWANEJ ENERGII WYKORZYSTYWANA NA POLU WALKI

AUTONOMICZNE DRONY ATAKUJĄCE W ROJACH

KOPIOWANIE NATURY PRZEZ WOJSKO. BIONIKA

Płk Marek Wrzosek, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej, przedstawia nowy wymiar wojny – walkę informacyjną, operacje psychologiczne i wykorzystanie mediów w światowych zmaganiach. Medialne fikcje o wojnie hybrydowej na Ukrainie przeciwstawia militarnym faktom, oceniając poczynania Rosjan i strategię wojsk ukraińskich w walce z separatystami.

Autor zestawia klasyczne teorie; teorię wojny morskiej, pancernej czy totalnej z najnowszymi: koncepcją rozszerzonego pola bitwy, bitwy powietrzno-lądowej i morsko-powietrznej. W książce znajdziemy porównanie współczesnych strategii amerykańskich, operacji natowskich i rosyjskich.

AKADEMIA SZTUKI WOJENNEJ

PATRONAT MEDIALNY: DO RZECZY

wydawnictwo FRONDA

eprasa.pl 65aebf6e22

Uciec jak najbliżej

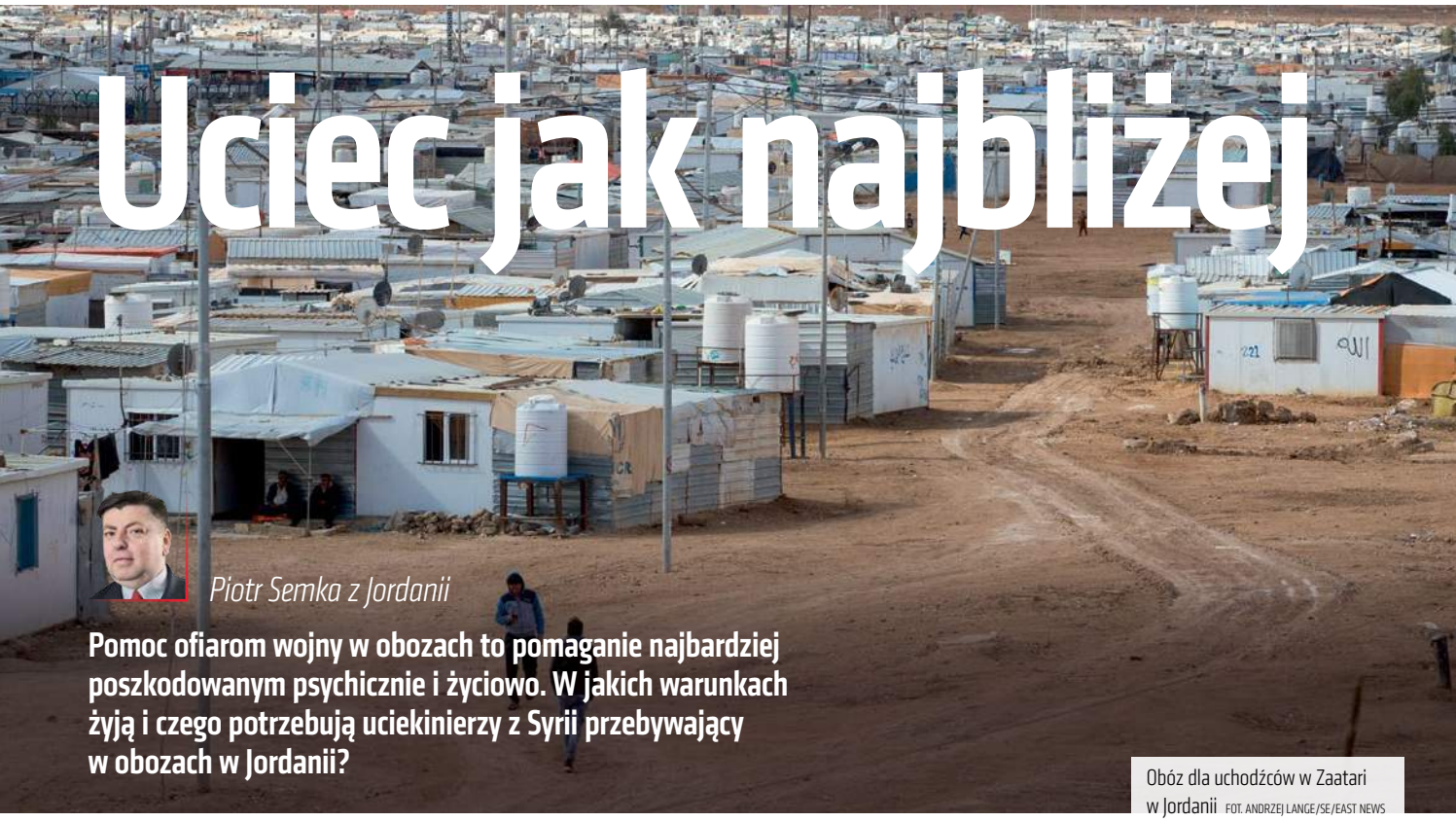

Piotr Semka z Jordanii

Pomoc ofiarom wojny w obozach to pomaganie najbardziej poszkodowanym psychicznie i życiowo. W jakich warunkach żyją i czego potrzebują uciekinierzy z Syrii przebywający w obozach w Jordanii?

Obóz dla uchodźców w Zaatari w Jordanii FOT. ANDRZEJ LANGE/SE/EAST NEWS

Zwykle reportaże z zagranicy nie zaczynają się od sprostowań. Jednak wokół wyjazdu pełnomocnika rządu ds. pomocy uchodźcom minister Beaty Kempy do Jordanii rozpętano w mediach taką histerię, że nie da się uniknąć paru słów wyjaśnień. Wizytę przedstawiono jako kaprys i turystyczną wycieczkę polityka PiS, który zabrał w podróż grupę przyjaznych sobie dziennikarzy. Tymczasem wyjazd miał głęboki sens. Chodziło o naoczne sprawdzenie stanu obozów uchodźczych w Jordanii, ustalenie ich potrzeb i optymalnych sposobów pomocy. Minister Kempie towarzyszyli przedstawiciele polskiego UNICEF, delegacja Wojskowego Instytutu Medycznego i wreszcie grupa pracowników MSZ zajmujących się Bliskim Wschodem i pomocą humanitarną. Nie był to też wyjazd dla zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Zaproszono dziennikarzy z różnych mediów od „Do Rzeczy" i „Sieci" poprzez „Super Express" do Wirtualnej Polski.

W PAŃSTWIE HASZYMIDÓW

Już w trakcie przejazdu z lotniska do hotelu widać, że jest to państwo zbudowane na kulcie króla Abdullaha II i jego dynastii wywodzącej swoją genezę wprost od proroka Mahometa. Daje to dynastii haszymidzkiej prawo do uważania się za najbardziej prawowitą dynastię w świecie arabskim, co oznacza takie honorowe przywileje jak patronat nad Kopułą Skały w Jerozolimie. Jednak ten specjalny status zobowiązywał Jordanię wiele razy w okresie powojennym do opieki nad islamskimi uchodźcami. Tak było w 1948 r., kiedy po przegranej wojnie z Izraelem do Jordanii uciekły setki tysięcy Palestyńczyków, i tak było w 1967 r., kiedy Izrael zajął całą Jerozolimę i Zachodni Brzeg Jordanu. Kiedy w 2011 r. wybuchła wojna w Syrii, granicę jordańską zaczęły przekraczać setki tysięcy nowych uchodźców. Jeden z polskich dyplomatów wskazuje: „Prezydent Syrii Al-Asad i jego elita władzy to alawici, jeden ze stosunkowo rzadkich odłamów w islamie. Natomiast większość jego poddanych to sunnici. Nic dziwnego, że uciekając przed wojną, kierowali się do Jordanii, której władca jest także wyznania sunnickiego. Jednak elementów bliskości między mieszkańcami południowej Syrii a Jordanią jest więcej. To ludzie, którzy mają tutaj rodziny lub pamiętają o bliskości klanowej. Zarówno Syria, jak i Jordania to twory kolonialnych potęg. Natomiast na Bliskim Wschodzie świadomość o więzach klanowych i rodowych sięga wiele wieków wcześniej".

Jordania przez wiele lat po wojnie odgrywała rolę proamerykańskiego ośrodka stabilizacji w tym burzliwym regionie świata. Sprytni Haszymidzi na czele z ojcem Abdullaha, królem Husajnem, umiejętnie lawirowali między Stanami Zjednoczonymi, które wpompowały tu gigantyczne pieniądze, a „arabskimi braćmi", z którymi władze w Ammanie podpisywały apele zapowiadające walkę do końca z syjonistycznym zagrożeniem. W latach 90. i na przełomie wieków Jordania wiele skorzystała na roli państwa, które pomagało Irakowi Saddama Husajna przełamywać międzynarodowe sankcje. Jednak od ponad dekady nasilają się wewnętrzne problemy ekonomiczne Jordanii. Skończyła się jej rola jako pośrednika Iraku, a turystyka osłabła po wybuchu wojny w Syrii, która tworzy przekonanie, że cały region stał się niebezpieczny. Mimo to Jordania przyjęła ok. 1,3 mln uchodźców z Syrii, w zdecydowanej większości z południowej części tego kraju.

Nieco więcej, bo 1,6 mln, przyjął sąsiedni Liban. Arabia Saudyjska konsekwentnie odmawia przyjęcia zbiegów, choć udziela Jordanii i Libanowi pomocy finansowej. Jest wreszcie i Irak pod fak-

eprasa.pl 65aebf6e22

tycznym amerykańskim nadzorem, ale tam destabilizacja zewnętrzna i konflikt szyicko-sunnicki nie zachęcają zbiegów do zbyt długiego pozostawania w prymitywnych obozach.

Wróćmy do Jordanii. Oficjalnie zarejestrowanych jako uciekinierzy jest tylko ok. 660 tys. Syryjczyków. Z tego zaledwie połowa przebywa w obozach. Co z resztą? Odpowiedź jest prosta. Zaadaptowali się do życia w społeczeństwie jordańskim i pracują na budowach, zakładają drobne warsztaty lub pomagają rodzinom, które ich przygarnęły. Tylko najmniej zaradni lub najsilniej porażeni wojną znajdują się w obozach. Jedziemy zobaczyć na własne oczy, w jakich warunkach mieszkają. Wraz z polską delegacją udajemy się do obozu w Zaatari, 80 km na północ od Ammanu – stolicy Jordanii.

OBOZOWY WSZECHŚWIAT

Gdy kolumna naszych samochodów dociera do obozu, wita nas bardzo mocno ufortyfikowany posterunek policji jordańskiej. Liczne blokady i płoty z drutem kolczastym wyraźnie mają chronić przed próbą jakiegoś ataku terrorystycznego. Obóz to obszar 5 km kw., na którego terenie żyje ok. 80 tys. ludzi. Jeszcze rok temu było tu 120 tys. uchodźców, ale władze obozowe starają się, aby jak najwięcej z nich opuszczało to miejsce i podejmowało pracę w miastach oraz na wsiach jordańskich. Matki i dzieci ustawiają się na poboczu drogi i przyjaźnie witają kolumnę z samochodami polskiej delegacji. Ile już takich wizyt w obozie widzieli? Czy wiążą z nimi nadzieje na polepszenie swego losu?

Zwraca uwagę obecność na obozowych alejkach głównie kobiet i dzieci. Mężczyzn w sile wielu prawie nie widać. Jessica, pracownica UNHCR – organu ONZ na rzecz uchodźców – rodem z Francji, wyjaśnia: „Bardzo często jest tak, że ojciec pracuje już w którymś z jordańskich miast, a w obozie pozostają żona i dzieci".

Naszych przewodników pytamy, czy w obozie są chrześcijanie. Słyszymy odpowiedź, że syryjskimi wyznawcami Jezusa niezwykle sprawnie zajęli się chrześcijanie jordańscy, którzy włączyli ich do życia swoich wspólnot. W rezultacie w obozie Zaatari są niemal wyłącznie sunnici, dla których Arabia Saudyjska zbudowała parę kontenerowych meczetów, krzykliwie oznaczonych godłem państwa dynastii Saudów.

Jedziemy alejkami tego miasta blaszanych domków i widzimy ogromne dystanse tej aglomeracji. Zaczynamy od spotkania z władzami obozu. Wysoki, rosły Sudańczyk Hashim M.E.M. Sharief – wysoki komisarz UNHCR – tłumaczy, że najbardziej cenne dla obozu są trwałe inwestycje ze strony państw zachodnich. Nie może się nachwalić prezentu z Niemiec – całego pola baterii słonecznych, które pozwoliły zmniejszyć koszty produkcji prądu o 60 proc. Z kolei Jessica mówi: „Zamiast nawet wysokich, ale jednorazowych sum pomocy wolimy programy wieloletniej pomocy, która pozwala nam planować zaspokajanie potrzeb uchodźców w obozie na parę najbliższych lat. Dlatego nie cieszą nas jednorazowe dotacje Unii Europejskiej, a wszystkim gościom przyjeżdżającym z Zachodu powtarzamy w kółko: »Dawajcie mniej, ale systematycznie i z perspektywą przynajmniej czterech–pięciu lat do przodu«".

Po chwili minister Kempa otwiera ufundowane przez Polskę Centrum Treningu Medycznego. Tutaj polscy specjaliści będą uczyć kandydatki na pielęgniarki i felczerów. Grupa szacownej starszyzny obozowej ubranej w burnusy i arabskie chusty dziękuje za polski dar. Nasz ośrodek ma pomagać jedynej na terenie obozu klinice, którą ufundowały Jordańskie Towarzystwo Pomocy Medycznej i fundacja Big Heart ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Już w 2006 r. Polska wyposażyła klinikę w glukometry do badania poziomu cukru, a teraz w ośrodku będzie można stopniowo rozszerzać specjalizacje służące do walki ze schorzeniami wewnętrznymi.

W poczekalni kliniki goście z Polski krążą wokół ławek okupowanych przez czekające na poradę arabskie matki z dziećmi. Dzieci widać w obozie mnóstwo. Nic dziwnego. Seks pomaga z jednej strony znieść stres, z drugiej strony nudę. W rezultacie poziom urodzeń jest bardzo wysoki. Codziennie rodzi się ok. 35–40 dzieci. I takie wrażenie obozu jako miejsca matek i dzieci narzuca się przybyszowi z zewnątrz. Widać też wyraźną dyscyplinę i porządek narzucane przez jordańską policję. Nie ma zjawiska grup wałęsających się niedorostków czy nudzących się mężczyzn. Gdzieniegdzie widać dość skromne sklepiki.

Gdy próbujemy wykonać telefon do Polski, okazuje się, że na terenie obozu nie ma zasięgu. To nie przypadek. Jordańczycy dbają, aby mieszkańcy obozu nie mogli dzwonić do Syrii. To echo niedobrych doświadczeń sprzed paru lat, gdy część uchodźców – jak się okazało – nadal zaangażowana była w działalność organizacji walczących ze sobą. Stefan Gradowski z polskiego UNICEF, który odwiedza ten obóz od paru lat, mówi: – Owszem, byli tacy, którzy nocą znikali z obozu. Starali się przejść granicę syryjską, tam uczestniczyli w walkach, a gdy robiło się gorąco, znów wracali do Jordanii i w obozie odnajdywali bezpieczny azyl. Jednak to już się skończyło.

W obozowych alejkach spotykamy głównie kobiety i dzieci. Mężczyzn w sile wieku prawie nie widać FOT. PIOTR SEMKA

Władze jordańskie zdecydowanie ukróciły tę praktykę. Osoby przyłapane na takich eskapadach wraz z rodzinami są deportowane do Syrii. Jordania ma uczulenie na punkcie radykalnych organizacji. Na przełomie lat 1969 i 1970 Organizacja Wyzwolenia Palestyny – też złożona z uchodźców – omal nie obaliła

eprasa.pl 65aebf6e22

Zakład fryzjerski w Zaatari. Młodzi Syryjczycy uczą się w obozach różnych zawodów, m.in. fryzjerstwa, które pozwolą im się utrzymać po powrocie do ojczyzny FOT. PIOTR SEMKA

pastwa Haszymidów od wewnątrz. Teraz syryjskim organizacjom walczącym z Al-Asadem Jordańczycy nie pozostawiają żadnego marginesu aktywności. A rękę ponoć potrafią mieć ciężką.

OTRZĄSANIE SIĘ Z WOJNY

Kolejnego dnia wyruszamy z Ammanu w innym kierunku, na wschód. Droga do obozu w Azraq prowadzi przez pustynne tereny wschodniej Jordanii. Azraq to obóz położony na znacznie większym terenie – liczy 14,7 km kw., gdzie przebywa 36 tys. uchodźców, z czego połowa to dzieci. Władze obozu rozdają nam teczki z wyliczeniami. 12,5 tys. dzieci jest w wieku szkolnym i w większości podlega zajęciom w szkole. Trzy tysiące młodocianych pracuje lub – jak to się dzieje w przypadku dziewczynek – pozostaje w związkach małżeńskich. To ostatnie zjawisko jest z punktu widzenia prawa jordańskiego nielegalne i władze obozu z nim walczą, ale nie zmienia to tego, że taka praktyka istnieje. Dla biednych ludzi wydanie małoletniej córki za mąż oznacza pozbycie się trosk o wyżywienie kolejnego dziecka.

Po miejscowym centrum medycznym oprowadza nas dr Dia'a Edeen al-Sharif. – Teraz jest zima, więc głównym problemem są przeziębienia i infekcje górnych dróg oddechowych. Jednak przez cały rok musimy walczyć ze świerzbem, niedożywieniem dzieci i przypadkami biegunek – opowiada. Kłania się racjonowanie wody. Każdy dostaje tu na wszystkie potrzeby dziennie jedynie 25 litrów wody. Nie zapominajmy, że obóz leży na pustyni.

Tak naprawdę opowieść obozowego lekarza to spokojna, ale wyrazista relacja o codziennym zmaganiu się z brakami. Brakiem internistów, lekarzy rodzinnych, psychoterapeutów, pieniędzy na wiele podstawowych potrzeb. A wojna wyniszczyła psychikę wielu uchodźców. Doktor Al-Sharif mówi: – Mamy tylko dwóch lekarzy, którzy przyjmują w tygodniu od 40 do 50 pacjentów zmagających się z traumatycznymi efektami psychicznymi wojny. Im pacjent młodszy, tym wojna potrafiła wywrzeć na jego psychice bardziej niszczący wpływ. Mamy tu syndromy traumatyczne, depresje, początki schizofrenii. W przypadku agresji wobec innych lub autoagresji musimy kierować osoby dotknięte takimi objawami do szpitali psychiatrycznych poza obozem.

Obozowi psychiatrzy mogą się tylko domyślać, że jakiś procent młodocianych otarł się o bezpośrednią walkę z bronią w ręku. Nikt oczywiście się do tego nie przyzna. Można to zgadnąć tylko na podstawie reakcji.

Marek Krupiński z polskiego UNICEF był świadkiem, jak kiedyś za drutami obozu pojawił się ktoś, kogo dzieci rozpoznały jako swego prześladowcę z czasów syryjskich. – Byłem zaszokowany tym, jak szybko w dzieciach odżyły jakieś straszne wspomnienia z przeszłości. Niesamowity skok emocji. Wszystkie zaczęły krzyczeć, wygrażać pięściami i chwytać za kamienie, aby ugodzić tę postać, która najwyraźniej kojarzyła im się z czymś strasznym. Kto to był – do dziś nie wiem.

Najbardziej ożywionym miejscem obozu są warsztaty norweskiego funduszu dla uchodźców, w których młodzi uczą się fachu na przyszłość, gdy już opuszczą obóz. Miła przewodniczka Dima al-Ardah wyjaśnia: – Działamy bardzo precyzyjnie. Staramy się myśleć, co ci młodzi ludzie będą robić za dwa, trzy lata. Badamy, jakie zawody najbardziej przydać się mogą na rynku pracy w Jordanii albo w razie powrotu do Syrii.

Zwiedzamy po kolei pracownię nauki fryzjerstwa, spawalnictwa, krawiectwa czy zajęcia komputerowe. – Praca to sposób na nudę. Jeśli ludzie się nudzą, to złe rzeczy przychodzą im do głowy. Aktywizacja zawodowa spowoduje, że ci wszyscy młodzi, których pan tu widzi, nie zmarnują tych paru lat – zdroworozsądkowo tłumaczy mi jordański policjant, który towarzyszy naszej grupie.

NIEŁATWE PYTANIA

Gdzieś w tle całego wyjazdu tkwi nienowy spór – czy pomagać na miejscu, czy też zapraszać ofiary wojny do Europy, czy konkretnie do Polski. Niechęć do hasła pomocy na miejscu napędził wrogie komentarze medialne wokół wjazdu minister Kempy do Jordanii.

Na pewno można stwierdzić jedno: pomoc ofiarom wojny w obozach to pomaganie najbardziej poszkodowanym psychicznie i życiowo. Wszyscy, którzy mają więcej energii, potrafili wkomponować się już jakoś w społeczeństwo jordańskie poza obozami. Argumenty za pomaganiem na miejscu to fakt, że w sąsiednich krajach uchodźcy syryjscy przebywają w tym samym kręgu kulturowym. Zazwyczaj zachowane są relacje rodzinne, rodowe, plemienne i związany z nimi ład społeczny. Ucieczka do Europy wyrywa Syryjczyków z tego układu tradycyjnych relacji i powiązań. Z drugiej strony pobyt w obozach utrzymuje w tutejszym bliskowschodnim układzie hierarchii i ubóstwa. Jednak bywają też paradoksy. Wielu młodych w obozie otrzymuje od zachodnich pracowników pomocowych nieporównanie więcej uwagi i pomocy niż zwykli Jordańczycy z nizin społecznych. Na Zachód przebijają się albo najbardziej zdeterminowani chęcią uzyskania socjalu na nieporównanie wyższym poziomie, albo ludzie, którzy boją się długich rąk i zemsty reżimu Al-Asada, albo wreszcie ci, którzy sami mają coś na sumieniu i muszą znikać z rejonu Bliskiego Wschodu, aby nie narazić się na odpowiedzialność za swoje czyny wojenne. W każdym przypadku wyjazd na Zachód paradoksalnie ułatwia dostęp do nich ideologii islamistycznej. W jordańskich obozach władze pilnują, by nie było żadnej ekstremistycznej infiltracji. Mało kto wie, że europejscy pracownicy organizacji międzynarodowych sami z niepokojem obserwują możliwość ponownego zwiększenia się liczby imigrantów docierających do Europy. – Gdy w 2015 r. na Europę runęła fala uchodźców, natychmiast zaczęła spadać pomoc dla naszych obozów tutaj – mówi „off the record" jeden z pracowników UNHCR. – Gdy od dwóch lat liczba przybyszów do Europy spadła, znów państwa Zachodu dają nam więcej – dodaje.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

KOMU MA BIĆ DZWON

Co jakiś czas w polskich mediach (zwłaszcza w jednym dzienniku) pojawia się sprawa kościelnych dzwonów, które są dla niektórych osób życiowym problemem. Okazuje się, że dźwięk dzwonów bywa problemem także za granicą. Mieszkańcy włoskiej miejscowości Mombello Monferrato kłócą się o sprawę dzwonów kościoła św. św. Piotra i Pawła, które biją co godzinę przez całą dobę. Pretensje mieli zgłaszać zwłaszcza turyści zatrzymujący się w hotelu położonym blisko kościoła. Jego właściciel oraz sąsiedni restaurator wraz z grupą stronników domagali się rozwiązania tej sprawy. Burmistrz zapytał więc (listownie) o zdanie wszystkich dorosłych mieszkańców. A proboszcz już zapowiedział, że jeśli większość wypowie się przeciw biciu dzwonów w nocy, to je wyłączy.

WIELKI URLOP

Na początku ubiegłego tygodnia ok. 800 tys. amerykańskich urzędników znalazło się na przymusowym urlopie. Senat nie uchwalił budżetowego prowizorium, co oznaczało, że rząd federalny musiał zawiesić działalność. Do czasu uchwalenia nowego prowizorium pracować muszą tylko funkcjonariusze organów porządku publicznego (choć za darmo). Działać muszą więc np. wojsko, służby graniczne czy poczta. Jednak już obsługa parków narodowych, muzeów czy atrakcji turystycznych ma wolne.

JAZDA PRÓBNA PO NIEMIECKU

Pewna Niemka musiała oddać do warsztatu swój samochód (oczywiście niemiecki, bo Niemcy dość dobrze rozumieją gospodarkę nawet jako klienci). Volkswagena Tourana zostawiła w warsztacie mechanicznym w Sehnde niedaleko Hanoweru. Usterka nie była skomplikowana – chodziło o wymianę wiązki przewodów. Auto stało jednak w warsztacie prawie dwa tygodnie. To znaczy, klientka myślała, że stało, bo okazało się, że jeździło. I to bardzo daleko. Kobieta dostała wezwanie do zapłaty mandatu za przekroczenie prędkości udokumentowane zdjęciem z fotoradaru stojącego w okolicach Bydgoszczy. To jej się nie spodobało i pozwała mechanika. Ten przed sądem tłumaczył, że zawsze po naprawie wykonuje się jazdę testową. Sąd uznał jednak, że przejechanie ok. 3 tys. km to „nieautoryzowane użycie pojazdu", i skazał mechanika na tysiąc euro grzywny.

FOT. FOTOLIA

OFERTA BBC WYŁĄCZNIE DLA NIEBIAŁYCH

Firma, na której standardy dziennikarskie do dziś powołuje się wielu krytykujących inne media, zamieściła – nie po raz pierwszy zresztą – ciekawe ogłoszenie rekrutacyjne. BBC na Twitterze dało znać, że poszukuje do stacji radiowych BBC Radio 1 oraz 1Xtra młodych ludzi w wieku 16–25 lat. Muszą znać się na social mediach, umieć się świetnie komunikować w mowie i piśmie, chcieć nauczyć się dziennikarskiego rzemiosła. Jest jednak jeden warunek – muszą być ludźmi, którzy mają korzenie rasy czarnej, azjatyckiej lub po prostu jakiejś niebiałej. To ogłoszenie oburzyło ludzi w sieci, również dziennikarzy. Padły zarzuty o rasizm. Jednak wysuwali je ludzie, którzy kompletnie się nie znają. Przecież jeśli się dyskryminuje białych, to nie jest rasizm, to jest postęp. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nakładka

Tak w futbolu nazywa się brutalny faul, czyli atak wyprostowaną nogą, który nierzadko skutkuje złamaniem kończyny, a nawet kariery sportowej rywala. Zwariowani na punkcie futbolu Włosi, gdy tylko mogą, zapożyczają piłkarską terminologię do opisu wielu zjawisk życia społecznego. Tytułowa nakładka (gamba tesa) oznacza brutalne pogwałcenie zasad lub grube chamstwo.

W Italii 4 marca będą wybory. Włosi do urn się nie palą, ale koniecznie chce wziąć w nich udział Pierre Moscovici, komisarz UE ds. ekonomii i finansów. W majestacie swego urzędu zaatakował te włoskie partie, którym nie podoba się unijny rygor finansowy, bo w nim upatrują główną przyczynę zastoju gospodarczego Italii. Konkretnie chodzi o unijny dogmat, który mówi, że deficyt budżetowy nie może przekroczyć 3 proc. PKB. Francuz przestrzegł, że jeśli te groźne, heretyckie partie wygrają wybory, to Italia runie w przepaść. Żeby było weselej, gdy Moscovici był ministrem finansów swego kraju, deficyt Francji wynosił aż 5 proc.

Włosi się wściekli. Prasa podsumowała krótko: „Francuz nie bez właściwej swej nacji arogancji wszedł nakładką we włoski proces demokratyczny". Jednak Muscovici i jego koledzy w Brukseli najwyraźniej nie pojmują, że dostojnik UE, gdy toczy się kampania wyborcza w kraju unijnym, powinien choćby dla zachowania pozorów milczeć jak grób.

Silvio Berlusconi, w 2011 r. wyszydzony w Brukseli, Berlinie i Paryżu, a zaraz potem obalony mocą decyzji podjętych w tych stolicach, przyjmowany jest teraz z wielkimi honorami na unijnych salonach jako przyszły zbawca Italii i Unii. Jean-Claude Juncker bił mu pokłony. Los chichocze. Berlusconi też. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 65aebf6e22

Nacjonalizm to dobra rzecz

László Toroczkai na tle płotu granicznego w Ásotthalom

FOT. LASZLO BALOGH/REUTERS/FORUM

Z László Toroczkaim, wiceprezesem nacjonalistycznej węgierskiej partii Jobbik
rozmawia Olivier Bault

OLIVIER BAULT: Popiera pan politykę imigracyjną Viktora Orbána?

LÁSZLÓ TOROCZKAI: Tak, popieram jego politykę w sferze imigracji. Tym bardziej że wziął swoje pomysły ode mnie. To ja pierwszy zażądałem budowy płotu granicznego. Na początku rząd tego nie chciał, bo twierdził, że nie można tak postępować, ponieważ Unia Europejska tego nie zaakceptuje. Miejscowość, której jestem burmistrzem, liczy tylko 4 tys. mieszkańców, ale jest bardzo rozległa. Zajmuje obszar 122 km kw. i ze wszystkich gmin na Węgrzech ma najdłuższy odcinek granicy z Serbią. W 2015 r. wiele tysięcy imigrantów przechodziło przez nasze tereny i dlatego chciałem, aby wybudowano tam płot graniczny. Jestem nie tylko burmistrzem Ásotthalom, lecz także wiceprzewodniczącym największej partii opozycyjnej w stosunku do Fideszu. Interes mojego narodu jest dla mnie najważniejszy. Co do polityki imigracyjnej – teraz mogę tylko popierać Viktora Orbána.

Czy zgadza się pan z określeniem „nacjonaliści" w stosunku do Jobbiku?

Czemu by nie? Nacjonalizm to dobra rzecz.

Francuski prezydent Emmanuel Macron powiedział, że nacjonalizm oznacza wojnę.

A ja myślę, że to Emmanuel Macron oznacza wojnę dla Europy, ponieważ ma on bardzo niebezpieczny plan. Chce Europy dwóch prędkości. To bardzo zła wiadomość dla Polski, dla Węgier i dla wszystkich tych krajów Europy Środkowej, które przystąpiły do Unii Europejskiej później niż kraje zachodnie. Na dodatek Macron chce budować Stany Zjednoczone Europy, a ja wierzę w sojusz suwerennych państw europejskich. Musimy zwalczać plany Macrona, gdyż są bardzo niebezpieczne dla Europy.

Jednak Jobbik i tak chce, aby Węgry opuściły Unię Europejską, czyż nie?

Nie, to nieprawda. My jako Jobbik nie chcemy wyjścia z Unii Europejskiej. Chcemy zmienić Unię, ponieważ wierzymy we współpracę między państwami europejskimi. Mamy do czynienia z silną globalną konkurencją gospodarczą, a państwa europejskie nie są tak silne jak Chiny czy USA. Dlatego muszą współpracować ze sobą, ale tylko w sferze gospodarczej. Nie potrzeba nam politycznej dyktatury. Bruksela chciałaby teraz wydawać rozkazy. Unia chce mówić narodom, co jest dobre, a co jest złe. Chce zmienić strukturę naszej ludności i zniszczyć państwa narodowe. To jest bardzo niebezpieczne, a ja przeciwstawiam się takiej Unii Europejskiej.

A co z NATO? Czy Jobbik chce, aby Węgry wyszły z NATO?

Mnie NATO mało obchodzi. Uważam, że NATO źle działa, gdyż jest częścią USA. Amerykanie dowodzą w NATO i to nie jest sojusz suwerennych państw. To nie jest sojusz wojskowy. Tylko wydają nam polecenia, a NATO broni wyłącznie amerykańskich interesów. Uważam, że to jest złe i że powinniśmy zmienić sytuację w NATO.

eprasa.pl 65aebf6e22

W niedawnym wywiadzie dla portalu Visegrád Post powiedział pan, że jeśli czwórka wyszehradzka pozostanie silna i zjednoczona, to wtedy istnieje jeszcze szansa na to, iż Unia Europejska przetrwa. Zdaje pan sobie sprawę, że wasze stanowisko na temat NATO jest całkiem odmienne np. od stanowiska polskiego? Jak tu mówić o jedności Grupy Wyszehradzkiej, jeśli Jobbik dojdzie do władzy?

Ja mówiłem o Grupie Wyszehradzkiej jako o sojuszu w ramach Unii Europejskiej. Nie mówiłem o NATO. NATO to coś innego. Uważam rzeczywiście, że Grupa Wyszehradzka jest ostatnią nadzieją na zmianę w Unii Europejskiej. To jak nowa fala w Europie Środkowej. Grupa Wyszehradzka chce bardziej demokratycznej Unii Europejskiej. Mamy dość poleceń czy kwot imigrantów, które Bruksela chce nam narzucić. NATO to organizacja wojskowa, nie gospodarcza. My potrzebujemy sojuszu gospodarczego. Problem z NATO jest taki, że teraz jest także organizacją polityczną.

Wygłosił pan przemówienie podczas Marszu Niepodległości w Warszawie, zorganizowanego pod hasłem: „Chcemy Boga". Czy jako węgierski narodowiec identyfikuje się pan z tym hasłem?

Oczywiście, ponieważ jesteśmy chrześcijanami. Chrześcijaństwo to fundament, istota Europy. Nie jesteśmy ateistami. Popieram polski nacjonalizm, ponieważ jest on dla mnie bardzo klarowny. To jest taki nacjonalizm chrześcijański, bardzo katolicki, i ja się z tego cieszę. Poza tym mamy bardzo silny sojusz historyczny między Polską a Węgrami. Myślę, że ta przyjaźń między naszymi narodami jest najsilniejsza w Europie i dlatego też co roku uczestniczę w Marszu Niepodległości organizowanym w Warszawie.

Miejscowość Ásotthalom, której jest pan burmistrzem, stała się znana w całej Europie w 2015 r. ze względu na pańskie apele na rzecz zatrzymania fali nielegalnych imigrantów przechodzących przez teren pańskiej gminy. Czy dzięki budowie płotu granicznego sytuacja jest dziś opanowana?

Tak, teraz mam podwójny płot graniczny z kamerami wizyjnymi i termicznymi oraz z czujnikami ruchu. Bardzo sprawnie to działa.

Nikt nie przechodzi przez płot?

Co noc migranci atakują płot graniczny, ale tylko nielicznym grupom udaje się przedostać na naszą stronę. Przecinają płot lub korzystają z drabin, ale teraz jesteśmy w stanie kontrolować sytuację. Łapiemy tych nielegalnych imigrantów w naszych lasach i odsyłamy na stronę serbską. Jeśli ktoś naprawdę uważa się za uchodźcę, to zawsze może wjechać czy wejść na terytorium Węgier przez strefy tranzytowe. Nie mamy takiej w Ásotthalom, ponieważ się nie zgodziłem. Ludzie z mojej miejscowości już nie mają ochoty spotykać tych ludzi, bo mieli z nimi bardzo złe doświadczenia. To nie są prawdziwi uchodźcy. Na początku, gdy pojawili się pierwsi imigranci, mieszkańcy Ásotthalom chcieli im pomagać. Chcieli im dawać jedzenie i picie, bo pamiętali tych prawdziwych uchodźców z wojny w Jugosławii w latach 90., których dużą liczbę Węgry wówczas przyjęły. Dlatego i w tym przypadku, na początku, mieszkańcy myśleli, że mają do czynienia z uchodźcami. Mieszkańcy Ásotthalom nie są bogatymi ludźmi. Szybko zauważyli, że ci nowi uchodźcy mają pełno euro w kieszeni i że nie są ani głodni, ani spragnieni, ani nawet zmęczeni, bo przemytnicy wysadzali ich tuż przed granicą, po stronie serbskiej. Na piechotę przechodzili tylko przez granicę, a potem czekali na węgierską policję albo na przemytników, aby kontynuować podróż do Europy Zachodniej. Było wśród nich wielu imigrantów z Kosowa, Bangladeszu, Maroka, gdzie nie ma przecież wojny. A nawet ci, którzy uciekli przed prawdziwą wojną, np. Syryjczycy, mogli się zatrzymać w pierwszym bezpiecznym kraju. Jednak nie chcieli tam zostać, ponieważ przybyli do Europy w poszukiwaniu dobrego zarobku, a nie bezpieczeństwa.

Przez Ásotthalom przechodzili także terroryści. Na przykład ten, który zaatakował później pasażerów pociągu w Würzburgu w Niemczech

A czy po decyzji Angeli Merkel o wpuszczeniu wszystkich nielegalnych imigrantów do Niemiec, podjętej na początku września 2015 r., sytuacja w Ásotthalom się pogorszyła?

Tak. Angela Merkel popełniła bardzo wielki błąd, obarczając jego skutkami wszystkie kraje europejskie. Wysłała komunikat do mieszkańców Afryki i południowej Azji. Po tej decyzji zaobserwowaliśmy duży wzrost liczby migrantów przekraczających nielegalnie naszą granicę. Na szczęście teraz przemytnicy i migranci znają komunikat z mojej miejscowości: my przyjmujemy tylko tych gości, którzy przestrzegają naszego prawa. Nie akceptujemy tych, którzy bezprawnie przekraczają naszą granicę. Sytuacja w Ásotthalom jest teraz bardzo dobra. Na szczęście węgierski rząd w końcu postanowił zrealizować mój pomysł budowy płotu granicznego. Sam mieszkam w gospodarstwie na samej granicy i widzę ten płot z mojego okna. Jestem bardzo szczęśliwy, ponieważ płot graniczny oznacza, że naród węgierski chce przetrwać i że chcemy bronić naszej kultury, naszych tradycji oraz naszego bezpieczeństwa. Węgry to jeden z najbardziej bezpiecznych krajów w Europie, a ta masowa imigracja mogła zniszczyć nasz kraj.

Przecież przez Ásotthalom przechodzili także terroryści. Na przykład ten, który zaatakował później pasażerów pociągu w Würzburgu, w Niemczech, i który był członkiem Państwa Islamskiego. To Państwo Islamskie wysłało go do Europy, aby dokonał zamachu. Albo ci terroryści, którzy przeprowadzili ataki w Paryżu – niektórzy z nich także przeszli przez naszą miejscowość. Sytuacja była dla nas bardzo niebezpieczna. Wielu migrantów włamywało się do domów. Czasami chcieli tylko tam poczekać na przemytników albo ładować swoje smartfony. Zdarzało się, że mieszkańcy domu byli już w łóżku, bo było to w nocy. Sytuacja była dla nas straszna.

A zatem to był również ogromny problem lokalny, nie tylko problem w skali kraju?

Tak, przecież Ásotthalom to bardzo spokojna miejscowość, to są tereny wiejskie. I nagle pojawili się obcy oraz zaczęli wchodzić bez zaproszenia do naszych domów, w nocy. To był problem lokalny oczywiście i ja jako burmistrz chciałem bronić mojej miejscowości. Jednak chciałem też chronić Węgry i chronić Europę, gdyż jestem obywatelem europejskim. I to dlatego wybudowaliśmy płot wzdłuż granicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

László Toroczkai – wiceprezes nacjonalistycznej partii Jobbik, burmistrz miejscowości Ásotthalom, przez którą w 2015 r. prowadził główny szlak nielegalnej imigracji w kierunku Niemiec. László Toroczkai jako pierwszy wnioskował o budowę płotu granicznego i zasłynął filmikiem wyemitowanym w Internecie, w którym ostrzegał imigrantów słowami: „Węgry to zły wybór".

eprasa.pl 65aebf6e22

Teresa Stylińska

FOT. SHAMIL ZHUMATOV/REUTERS/FORUM

Alfabet i polityka

Aż trzykrotna zmiana alfabetu w ciągu jednego stulecia to ewenement, bo sposób pisania stanowi bardzo trwały element porządku społecznego

Zmiana pisma to zabieg trudny, bolesny i kosztowny; trzeba naprawdę ważkich powodów, by go rozpocząć. Tam, gdzie stare pismo zastępowano nowym, argumenty „za" brzmiały zadziwiająco podobnie: nowe pismo ma usunąć bagaż przeszłości i otworzyć jasną drogę w przyszłość.

KAZACHSTAN PISANY NA NOWO

Asumpt do rozważań, co niesie ze sobą zmiana alfabetu, dała decyzja Kazachstanu, który po latach wahań i ostrożnych przymiarek postanowił pożegnać się z cyrylicą i przyjąć alfabet łaciński. W pierwszym etapie opracowana zostanie kazachska wersja alfabetu łacińskiego, co według specjalistów jest o tyle skomplikowane, że kazachski potrzebuje aż 42 znaków, podczas gdy pismo łacińskie ma ich tylko 26. To oznacza konieczność wprowadzenia rozbudowanego systemu znaków diakrytycznych i apostrofów. Następnym etapem będzie stworzenie słowników i podręczników, kolejnym – szkolenie nauczycieli i wprowadzenie pisma łacińskiego do szkół. Władze zakładają, że przez pewien okres przejściowy, na razie niesprecyzowany, oba alfabety będą używane równolegle. Cała operacja zmiany pisma ma więc być rozłożona w czasie i zakończyć się w 2025 r.

Władze Kazachstanu nosiły się z zamiarem zmiany alfabetu od bardzo dawna, ale wstrzymywały się, ponieważ poparcie społeczne dla zmiany pisma było zbyt niskie. Znajomość języka kazachskiego nie była zresztą powszechna i to także nakazywało ostrożność. Ze spisu ludności przeprowadzonego w roku 2009 wynika, że tylko 62 proc. mieszkańców Kazachstanu posługuje się kazachskim zarówno w mowie, jak i w piśmie, podczas gdy do biegłej znajomości rosyjskiego przyznaje się aż 85 proc. Przez ostatnie lata wiele się jednak zmieniło. Samo rozpowszechnienie znajomości angielskiego sprawiło, że alfabet łaciński przestał być czymś obcym i nieznanym.

To aspekty istotne, ale nie decydujące. Prezydent Nazarbajew, wyjaśniając zamiary władz, podkreślał, że za przyjęciem alfabetu łacińskiego przemawiają względy praktyczne, bo posługiwanie się nim ułatwi unowocześnienie kraju, z drugiej zaś strony „szczególne względy polityczne", jak to oględnie określił. Wypowiedź jest, jak wypada, należycie zawoalowana, ale doskonale wiadomo, o co chodzi. Autorzy sporządzonej przed paroma laty wstępnej analizy celowości zmiany alfabetu stwierdzili otwarcie, że „przyjęcie alfabetu łacińskiego pociągnie za sobą zmianę ciągle dominującej sowieckiej mentalności kolonialnej na suwerenną tożsamość kazachską. Wśród wielu argumentów przemawiających za zmianą alfabetu argumentem najważniejszym, decydującym, jest podniesienie poczucia narodowego Kazachów".

Na reakcję na te plany nie trzeba było długo czekać. Zarówno Rosja, jak i Rosjanie mieszkający w Kazachstanie w najmniejszej wzmiance o możliwości zerwania z cyrylicą widzą zamach na swe fundamentalne prawa.

Czy słusznie? Bezpośrednim celem zmiany pisowni jest, w myśl składanych deklaracji, ułatwienie modernizacji i ściślejsze związanie Kazachstanu ze światem zachodnim, gdzie alfabet łaciński jest w powszechnym użyciu. Ma to ułatwić kontakty i przyjmowanie zachodniej technologii. Chociaż brzmi to neutralnie, to nie ulega wątpliwości, że zmiana alfabetu nie może nie nadwątlić dominacji rosyjskiej. Wspólny alfabet przekłada się przecież na miejsce w jednym kręgu kulturowym, nawet jeżeli inne warunki, jak choćby więzy religijne, nie są i nie będą spełnione. Nie przypadkiem Rosjanie głośno boleją nad tym, że Kazachowie zostaną odcięci od swego dziedzictwa, zapisanego – w sensie dosłownym i nie tylko – cyrylicą. Jednak zupełnie nie obchodzi ich to, że narzucając swe pismo narodom Azji Środkowej, zrywali tym samym ich łączność ze spuścizną epoki chanatów.

eprasa.pl 65aebf6e22

Rosja zatem wie lepiej niż ktokolwiek inny, co kryje się za decyzjami podjętymi w Astanie i w Biszkeku, stolicy Kirgistanu, którego władze, nie zwlekając, zadeklarowały chęć pójścia w ślady Kazachstanu. Kirgistan jednak, jako beneficjent pomocy rosyjskiej, jest w o wiele gorszej sytuacji. Nic dziwnego, że gdy minął pierwszy zapał, jego prezydent zapewnił, iż zmiana alfabetu to nie jest kwestia bliskiej przyszłości. Być może dylemat Kirgistanu mógłby rozwiązać pomysł jednego z deputowanych, który zaproponował wyjście salomonowe: decyzja o zmianie alfabetu powinna zapaść już, natomiast wprowadzenie jej w życie należy odłożyć co najmniej do lat 30. W ten sposób otwarto by furtkę wiodącą ku przyszłości.

A przy okazji wszystkich tych wydarzeń na jaw wyszły szokujące fakty, o których nikt chyba, poza wąskim gronem specjalistów, nie wiedział. Jak ujawnił portal Newsland.com, sami Sowieci pod koniec lat 20. XX w. rozważali rezygnację z cyrylicy i przyjęcie alfabetu łacińskiego! Specjalna komisja, powołana wówczas w ramach ministerstwa oświecenia, wystawiła cyrylicy miażdżącą opinię. Rosyjski alfabet, orzekli członkowie komisji, był zawsze „narzędziem autokratycznej opresji, misjonarskiej propagandy i wielkoruskiego szowinizmu". Rewolucja październikowa niczego, ich zdaniem, pod tym względem nie zmieniła, bo cyrylica nadal służy wielkiej burżuazji i jest obca idei budowy socjalizmu. Natomiast alfabet łaciński, jako alfabet międzynarodowy, ma szansę być „doskonałym nośnikiem haseł rewolucji kulturalnej"!

DZIECKO ATATÜRKA

Fakt, że Kazachstan nie śpieszył się ze zmianą alfabetu, ma dlań pewne plusy. Dzisiaj bowiem kraj ten ma możność skorzystania z doświadczeń tych, którzy zmienili pismo wcześniej – Turkmenistanu, Uzbekistanu i Azerbejdżanu. Może uniknąć raf i nie powielać błędów takich jak nadmierny pośpiech. Cała operacja bowiem wymaga czasu. Zmiany dokonywane z dnia na dzień to recepta na porażkę. W Azerbejdżanie np. w pierwszych tygodniach po zmianie alfabetu na łaciński zapanował kompletny chaos, zwłaszcza w funkcjonowaniu systemów komputerowych i mediów. Te gazety, które od razu przestawiły się na nowe tory, zamiast wprowadzać nowy alfabet stopniowo, upadły, bo dla odbiorców przebrnięcie przez nowe teksty okazało się zbyt trudne.

Trudno nie dostrzegać, że na podjęcie wyzwania zdecydowały się jedynie republiki tureckojęzyczne. Czy dlatego, że doświadczenie Turcji, która w latach 20. dokonała szybkiej, ze wszech miar udanej zmiany pisowni stanowiło dobry przykład i zachętę? Turcja, z uwagi na więzy językowe, historyczne i religijne, dla turkofońskich państw Azji Środkowej – czyli wszystkich poza Tadżykistanem – zawsze stanowiła punkt odniesienia. W dodatku, gdy rozpadło się imperium sowieckie, władze tureckie z miejsca wdrożyły intensywny program pomocy, zwłaszcza gospodarczej i oświatowej, dla „tureckich braci", jak ich nazywano.

Przestawienie Turcji z alfabetu arabskiego na łaciński to jedno z najważniejszych dokonań Mustafy Kemala Atatürka, wcale nie mniej istotne niż podstawowe reformy ustrojowe – zniesienie sułtanatu i ustanowienie świeckiej republiki. Zmiana alfabetu, przyjęta w 1928 r. i wprowadzona w życie z początkiem roku następnego, została przy tym przygotowana i przeprowadzona w zawrotnym tempie, choć zajmujący się nią specjaliści sugerowali rozłożenie jej na przynajmniej pięć lat. Zadecydował o tym sam Atatürk. Jeżeli Turcja, uważał, ma skutecznie oderwać się od świata muzułmańskiego i związać z Zachodem, to musi przejąć wszelkie zachodnie zasady – od regulacji prawnych, do ubioru, obyczajów, kalendarzy – i oczywiście pismo. Nie wolno jej odkładać, tym bardziej że używane od wieków pismo arabskie nie najlepiej nadawało się do zapisywania języka tureckiego, reprezentującego inną grupę językową.

Atutem tureckich reformatorów był właśnie sam Atatürk. Przywódca nowej Turcji rzucił na szalę cały swój autorytet, zaangażowanie i ogromną popularność, a wszystko to razem sprawiło, że Turcy łatwo przestawili się na nowe tory. Atatürk nie szczędził wysiłku: we wsiach i w miasteczkach sam na tablicy kreślił łacińskie litery, by pokazać, jak wyglądają, i przekonać ludzi. Zmiana alfabetu to jego ukochane dziecko. Paradoksalnie pewnym atutem było też to, co zazwyczaj stanowi obciążenie: powszechny analfabetyzm. Niepiśmiennym Turkom było obojętne, w jakim alfabecie stawiają pierwsze litery.

GRECY NA POSTERUNKU

Alfabet łaciński tak bardzo wrósł w Turcję, że wypowiedź Recepa Tayyipa Erdoğana, wówczas premiera, który parę lat temu zalecał powrót do nauczania języka osmańskiego w szkołach, w wielu kręgach przyjęto z niedowierzaniem. Upewniano się, że powrót do alfabetu arabskiego jest niemożliwy, ale skryte obawy dawały o sobie znać. Erdoğan, dziś prezydent, nie ukrywa, że dawne imperium i świat muzułmański – którego znaczna część pozostawała przecież pod władzą sułtanów – są mu nad wyraz bliskie. A języka Osmanów nie da się przecież nauczać w oderwaniu od dawnego pisma.

Alfabet łaciński jest, jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, najbardziej wszechstronnym i najpowszechniej używanym alfabetem świata. Posługuje się nim, według Wikipedii, 70 proc. mieszkańców Ziemi. W Europie i Azji alfabet łaciński współistnieje z innymi rodzajami pisma, ale Amerykę i Australię opanował w stu procentach, a w Afryce się do tego zbliża. Jeśli jest ekspansywny – a jest – to dlatego właśnie, że okazał się bardziej użyteczny niż inne rodzaje pisma, plastyczny i łatwo adaptujący się do bardzo różnych języków. W dodatku ostatnio w charakterze forpoczty wykorzystuje język całego świata – angielski. Powszechne obeznanie z angielskim, podkreślają proponenci zmian, bez wątpienia ułatwia przestawienie się na alfabet łaciński.

Nie wszyscy mają w planie przyjęcie alfabetu łacińskiego – Chiny, Japonia i świat arabski nie biorą tego pod uwagę. W wielu krajach jednak zarysowuje się perspektywa zmian, raczej odległa, ale zarazem realna. Ofiarą ekspansji alfabetu łacińskiego pada przede wszystkim cyrylica, ale nie dzieje się to przypadkiem, bo właśnie żyjący w strefie cyrylicy najmocniej aspirują do więzi z łacińskim Zachodem. W Serbii czy na Ukrainie nie brak więc dyskusji ani wypowiedzi, w których wymierne korzyści z przyjęcia pisma łacińskiego przeciwstawia się wierności własnej kulturze i dziedzictwu historii. Mieszkańcy tych krajów są z pismem łacińskim oswojeni, bo jest ono coraz bardziej widoczne: w nazwach zagranicznych firm, w reklamach i witrynach, na billboardach i w gazetach. To jak życie w dwóch kulturach jednocześnie i wielu sądzi, że tak powinno pozostać. Chociaż inni sądzą, że zmiany należy przyspieszyć.

Redutą oporu może pozostać już tylko Grecja. „Jest nie do pomyślenia, byśmy z własnej woli zastąpili greckie litery zlatynizowanymi, skoro nasz język jest jednym z najstarszych na świecie, skoro wytrzymał próbę czasu, wzbogacając przy tym łacinę i inne języki europejskie". Tak pisała internetowa gazeta „Greek Reporter", ale tak właśnie myślą Grecy – i to chyba wszyscy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

W niektórych chińskich restauracjach roboty obsługują klientów już od dekady FOT. VCG/GETTY IMAGES

Bezrobotni przez roboty?

Jacek Przybylski

W ciągu dwóch lat roboty mogą zająć stanowiska milionów ludzi na całym świecie. Do 2030 r. przez automaty nowego zawodu będzie musiało szukać 30–50 proc. pracowników. Jakie zawody maszyny przejmą najpierw i jak zwiększyć swoje szanse na nowym rynku pracy?

Rodzina CLOi. To nazwa serii wyprodukowanych przez LG komercyjnych robotów, które mają proste zadanie: zastąpić w pracy ludzi. Składa się ona z robota kelnera, którego zadaniem będzie serwowanie posiłków i napojów; robota portiera – który potrafi np. przywitać gościa w hotelu, zająć się jego zameldowaniem, przyjęciem płatności i przeniesieniem bagażu do wybranego pokoju lub do samochodu – oraz robota asystenta klienta w supermarkecie. Ten ostatni potrafi np. odczytać listę zakupów klienta i na jej podstawie wskazać miejsce, gdzie znajdują się dane produkty, wyświetlić ich ceny etc.

Zaprezentowane w styczniu roboty z rodziny CLOi stanowią kontynuację linii automatów tej południowokoreańskiej firmy. Są wśród nich Airport Cleaning, czyli robot zajmujący się myciem podłóg, oraz Airport Guide. Ten ostatni potrafi pomagać pasażerom, którzy np. zgubili się na lotnisku, a także udzielać informacji dotyczących lokalizacji restauracji, sklepów etc. Robot zna na razie cztery języki: angielski, chiński, japoński oraz koreański. Oba typy robotów pomyślnie przeszły już praktyczne

eprasa.pl 65aebf6e22

testy eksploatacyjne na lotnisku Seul-Inczon. W rodzinie robotów LG jest też Hub Robot – obsługujący klientów jednej z największych instytucji finansowych w Korei Południowej – oraz robot zajmujący się koszeniem trawników.

Do tego, że w sklepach przyszłości nie będą już potrzebni ludzie, przekonuje też Amazon. Amerykański koncern 22 stycznia oficjalnie otworzył w Seattle sklep bez kas i bez kolejek: wystarczy, wchodząc do sklepu, zeskanować specjalną aplikację, wybrać interesujące klienta produkty i… swobodnie wyjść. Specjalne czujniki i kamery sprawdzają na bieżąco, co dany kupujący bierze z półek, i dodają to do rachunku. Komputer odejmie też odpowiednią kwotę, jeśli klient się rozmyśli i odłoży dany produkt na inną półkę (z tym podczas trwających od 2016 r. testów Amazon miał spore problemy). Przy wyjściu sklep automatycznie obciąża kartę płatniczą klienta należnością za zakupy.

Brak kasjerów nie oznacza, że w sklepie przyszłości ludzi nie ma w ogóle. Są. Doradzają klientom, uzupełniają towar na półkach etc. Koncern nie informuje, jak wiele sklepów bez kasjerów zamierza otworzyć. Z informacji portalu Business Insider wynikało, że w 2016 r. Amazon planował stworzenie w ciągu dekady aż 2 tys. podobnych punktów handlowych.

Nie trzeba jednak czekać na sklepy Amazona. W wielu tradycyjnych supermarketach – również w Polsce – już dziś można zapłacić za zakupy w kasach samoobsługowych, w których człowiek interweniuje tylko w razie jakichś problemów czy konieczności sprawdzenia wieku klientów kupujących alkohol.

POŻEGNANIE Z KASJERAMI

Kasjerzy w supermarketach to dopiero początek długiej listy zawodów, które w ciągu najbliższych kilku lat mogą przestać być domeną ludzi. Już dziś w barach fast food znajdują się automaty umożliwiające złożenie zamówienia bez żadnego kontaktu z kasjerem. Oczywiście nawet roboty nie zawsze się sprawdzają. W styczniu w jednym ze sklepów w Szkocji zaledwie po tygodniu pracę stracił robot Fabio, który nie radził sobie z odpowiadaniem na pytania klientów. Jego zaktualizowana wersja może być już jednak groźna dla ludzkiego konkurenta.

Analitycy firm konsultingowych szacują, że w ciągu pięciu lat w wyniku automatyzacji transportu pracę stracić może kilka milionów zawodowych kierowców. Roboty mogą też łatwo zastąpić osoby pobierające opłaty na bramkach autostradowych. Los większości kelnerów również wydaje się przesądzony. Chińskie restauracje zaczęły ich zastępować robotami już 10 lat temu. Wprawdzie początki dla automatów były trudne – robokelnerzy kosztowali dużo, ale i tak rozlewali zupę oraz wymagali częstych napraw – ale najnowocześniejsze roboty kelnerzy z zastępowaniem ludzi radzą już sobie dużo lepiej. Na liście zawodów zagrożonych przez roboty są również szefowie kuchni. Dziennik „China Daily" już w 2006 r. pisał o otwartej w Hongkongu restauracji Robot Kitchen, w której posiłki gotował robot. AIC (to skrót od Artificial Intelligent Cooking) potrafił wówczas przyrządzić ok. 130 potraw z kuchni chińskiej i zachodniej.

Zagrożeni mogą czuć się jednak nie tylko pracownicy fizyczni, lecz także umysłowi, w tym np. tłumacze, dziennikarze (już teraz największe anglojęzyczne redakcje używają robotów piszących notki dotyczące finansów oraz sportu) oraz bankierzy. Z taką prognozą zgadza się np. prezes Deutsche Banku John Cryan, według którego wypowiedzenia w ciągu najbliższych 5–10 lat mogą się spodziewać zwłaszcza ci pracownicy banków, którzy zajmują się obliczeniami etc.

Roboty powoli zaczynają już zastępować prawników. W Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii działa nawet darmowy chatbot DoNotPay, który za darmo pomaga w złożeniu odwołania od mandatów, w wypełnieniu wniosku o urlop macierzyński czy też w prawnej walce o odszkodowanie od linii lotniczych. Automatyczny prawnik jest tak skuteczny, że w ciągu pierwszych miesięcy pracy pomógł w oddaleniu mandatów za parkowanie wartych ponad 3 mln dol.

Automaty zastępują też pierwszych urzędników. Jak zauważył „The New York Times", w Szwecji coraz więcej gmin decyzje o tym, kto powinien dostać zasiłek socjalny, pozostawia komputerowym algorytmom.

Zagrożenie dla białych kołnierzyków rośnie z miesiąca na miesiąc. Największe koncerny inwestują bowiem ogromne pieniądze w rozwój sztucznej inteligencji. I osiągają niesamowite rezultaty. Przykładem mogą być ogłoszone w połowie stycznia tego roku wyniki testu czytania ze zrozumieniem prestiżowego kalifornijskiego Uniwersytetu Stanforda. Jak się okazało, dwie oparte na głębokich sieciach neuronowych sztuczne inteligencje zdołały pokonać ludzi. Zespół złożony z przedstawicieli naszego gatunku w teście składającym się z serii pytań, na które trzeba udzielić bardzo precyzyjnych odpowiedzi, zdobył 82,30 proc. pkt. Algorytm opracowany przez pracowników chińskiej firmy technologicznej Alibaba otrzymał 82,44 proc. pkt. Z kolei sztuczna inteligencja stworzona przez amerykański Microsoft poprawnie odpowiedziała na 82,65 proc. pytań.

Ten wynik oznacza, że automatami można już zastępować np. przewodników po muzeach. Sztuczna inteligencja tak dobrze rozumiejąca ludzki język naturalny może też pomóc w produkcji robotów, które mogą zastępować ludzi w działach obsługi klienta, w działach marketingu czy w sektorze zdrowotnym. W Wielkiej Brytanii w styczniu wyciekł dokument, z którego wynika, że menedżerowie NHS England (państwowej służby zdrowia) szacują, iż do 2020 r. zdecydowana większość zgłoszeń na numer alarmowy będzie już obsługiwana nie przez zatrudnionych w centrum telefonicznym ludzi, lecz przez komputerowe algorytmy.

Bać mogą się nawet niektórzy lekarze – systemy sztucznej inteligencji potrafią bowiem nie tylko umawiać wizyty czy decydować o wysłaniu karetki, lecz także znakomicie radzą sobie również np. w diagnostyce obrazowej, a nawet asystują przy skomplikowanych operacjach (np. usuwania raka żołądka). W niedalekiej przyszłości roboty diagności będą mogły zaś współpracować z robotami wielkości tabletki, które po połknięciu przemieszczają się po organizmie w poszukiwaniu raka. Automaty już teraz pomagają w pracy psychologom, a w przyszłości mogą ich również po prostu zastąpić.

Na liście zagrożonych są też artyści. Amerykańska piosenkarka i gwiazda YouTube Taryn Southern w zeszłym roku wydała płytę, w której muzyka niemal w całości została skomponowana przez sztuczną inteligencję.

PŁACA BEZ PRACY?

Według raportu firmy doradczej McKinsey Global Institute do 2030 r. na całym świecie maszyny mogą przejąć 800 mln miejsc pracy lub – w wariancie zakładającym niższe tempo automatyzacji – 400 mln etatów.

eprasa.pl 65aebf6e22

Analitycy z uniwersytetu oksfordzkiego szacują z kolei, że do 2034 r. zniknie 47 proc. obecnie istniejących zawodów. Według PwC tylko z powodu coraz powszechniejszego użycia sztucznej inteligencji obecną pracę straci co najmniej jedna trzecia osób w Wielkiej Brytanii.

Z opublikowanego w grudniu 2017 r. raportu firmy doradczej Deloitte wynika z kolei, że ponad połowa firm na świecie rozpoczęła już proces wdrażania robotów i automatyzacji procesów, a kolejne 19 proc. przedsiębiorstw chce go rozpocząć w ciągu dwóch lat.

W firmach zatrudniających 50 tys. osób i z rocznymi przychodami na poziomie co najmniej 20 mld dol. powierzenie co piątego zadania robotom zapewnia im rocznie 30 mln dol. dodatkowego przychodu. Według ankietowanych automatyzacja przyczynia się również do polepszenia jakości pracy (uważa tak 90 proc. pytanych), poprawy produktywności (według 86 proc. ankietowanych) i redukcji kosztów (59 proc.). Robotyzacja umożliwia także zwiększenie mocy przerobowych bez konieczności zwiększania zatrudnienia.

W opinii ankietowanych menedżerów automatyzacja procesów z wykorzystaniem robotów jest w stanie zastąpić pracę 20 proc. zatrudnionych w pełnym wymiarze. Menedżerowie z korporacji, które mają już doświadczenie w tym zakresie, są jednak zdania, że odsetek „zastępowalnych" przez roboty pracowników może wynosić nawet 52 proc. Według Deloitte inwestycja w roboty może się zwrócić w niecały rok. Adam Dziemba, starszy menedżer w dziale konsultingu Deloitte, roboty porównuje do poczty elektronicznej i rewolucji, której dokonała. „Nie sposób sobie wyobrazić porównywalnej liczby wymienianych informacji dokonywanej za pomocą e-maili do możliwości tradycyjnej poczty, nie wspominając o szybkości tej wymiany. Nikt jednak nie oskarża twórców wiadomości e-mail o niszczenie miejsc pracy. Tak jak niemożliwa jest praca bez e-mail, tak w przyszłości być może niemożliwa będzie praca bez robotów" – przekonuje Dziemba. W raporcie „Roboty są gotowe. A Ty?" znalazł się też wniosek pocieszający dla ludzi. Analitycy Deloitte przekonują bowiem, że roboty co prawda odbiorą ludziom najprostsze zadania, ale za to stworzą nowe miejsca pracy w innych, bardziej skomplikowanych obszarach.

Podobnie uważa rektor amerykańskiego uniwersytetu w Northeastern. – Ludzie będą tracić pracę na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Sztuczna inteligencja zastąpi zarówno niebieskie, jak i białe kołnierzyki – zauważył Joseph Aoun podczas konferencji w brytyjskim think tanku Chatham House, przekonując, że sposobem na zwiększenie swoich szans na rynku pracy w starciu z robotami jest edukacja. – Komputery nie stoją w miejscu. Systemy sztucznej inteligencji oraz roboty są coraz lepsze. Coraz więcej miejsc pracy będzie likwidowanych, przekształcanych na inne lub tworzonych od nowa. Z tego powodu musimy nieustannie się dokształcać – oznajmił rektor Aoun. Szansę na robotoodporność zwiększają też innowacyjność, przedsiębiorczość czy umiejętności społeczne.

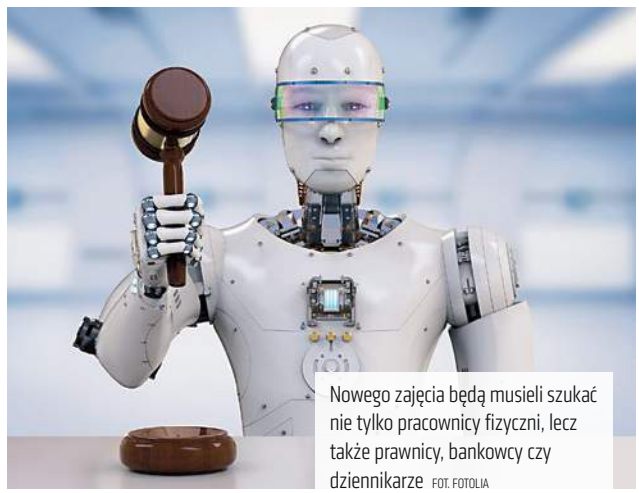

Nowego zajęcia będą musieli szukać nie tylko pracownicy fizyczni, lecz także prawnicy, bankowcy czy dziennikarze FOT. FOTOLIA

Jak sprawdzić, czy nasz zawód jest zagrożony? Można zacząć od strony „czyrobotyprzejmąmojąpracę" (Willrobotstakemyjob.com). Wystarczy wpisać zawód, aby się nieco uspokoić (ryzyko automatyzacji w przypadku redaktora wynosi zaledwie 5,5 proc.) albo przerazić (np. w przypadku kelnerów i kelnerek prawdopodobieństwo przejęcia miejsc pracy przez roboty wynosi aż 94 proc.).

Dla setek milionów pracowników na świecie przejmowanie przez komputery i roboty kolejnych zawodów będzie oznaczać konieczność przekwalifikowania. Kilkanaście procent zatrudnionych obecnie osób może jednak nie znaleźć nowej pracy. Pół biedy, jeśli pozbawiony zajęcia taksówkarz będzie miał tyle oszczędności, aby kupić sobie samochód autonomiczny – wówczas będzie mógł nadal zarabiać na życie, z tą różnicą, że całe dnie i noce za kierownicą spędzać będzie automat. Gorzej z tymi, których nie będzie stać na swojego robota. Z najnowszego raportu Światowego Forum Ekonomicznego wynika, że wśród osób zagrożonych utratą pracy z powodu rewolucji robotów kobiety stanowią 57 proc. To one dominują bowiem w wykonywaniu obowiązków sekretarek czy asystentek, a przedstawicieli tych zawodów już teraz mogą zastąpić automaty.

I chociaż producenci i właściciele robotów będą zarabiać coraz więcej, to rosnąca liczba osób na stałe wykluczonych z rynku sprawi, że konieczne będzie wprowadzenie nowych sposobów dystrybucji dochodów. Jednym z nich jest tzw. dochód podstawowy, czyli swego rodzaju zasiłek wypłacany bezwarunkowo każdemu obywatelowi, niezależnie od tego, czy pracuje, czy też nie. Jego wysokość byłaby obliczana w taki sposób, aby otrzymywane co miesiąc pieniądze pozwalały zaspokoić podstawowe potrzeby. Źródłem finansowania mogłoby natomiast być opodatkowanie robotów.

WŁADZA NAD ŚWIATEM

Robotyzacja i automatyzacja mogą stanowić drogę do podbicia światowych rynków, a także do dominacji politycznej. Zgodnie z założeniami władz w Pekinie do 2020 r. Chiny mają być w pierwszej dziesiątce najbardziej zautomatyzowanych gospodarek, a do roku 2025 r. wejść do światowej czołówki w tej dziedzinie. Do 2030 r. Chińczycy chcą też osiągnąć pozycję światowego lidera w badaniach nad sztuczną inteligencją (SI).

W czołówce robotyzacji i automatyzacji są też USA oraz Indie. W globalny wyścig, którego celem jest opracowanie jak najlepszej SI, mocno angażują się również Rosjanie. We wrześniu 2017 r. prezydent Władimir Putin publicznie stwierdził, że sztuczna inteligencja to „przyszłość nie tylko dla Rosji, lecz także dla całej ludzkości", i wprost oznajmił, iż liderzy rozwoju SI będą mogli przejąć kontrolę nad światem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd wciska auta na węgiel

Owidocznej gołym okiem fiksacji rządzących Polską polityków – na czele z premierem Morawieckim – na punkcie elektrycznych aut napisano już sporo. Auta na prąd podnoszone są przez nich do rangi synonimu nowoczesności, ekologizmu; wprost wszystkiego, co najlepsze.

I może to prawda, a może nie – Bóg jeden wie, jak się potoczą losy e-aut: podbiją świat – jak ongiś kolej żelazna i samochody z silnikami spalinowymi czy na zawsze pozostaną gadżetem, tak jak tysiące wynalazków, które miały zrewolucjonizować nasze życie, a nagle okazało się, że tak się nie dzieje, bo inne odkrycie skłoniło miliony, a potem miliardy ludzi do podążenia w odmiennym kierunku.

Jednak nawet nie czekając na ostateczne rozstrzygnięcie tego dylematu w odniesieniu do e-aut, warto jasno napisać o rzeczy, którą już dziś na pewno o nich wiadomo. Otóż prawdziwy sens ich forsownego wprowadzania na drogi (forsownego, bo z użyciem pieniędzy podatników na ulgi dla kupujących elektromobile) jest być może tam, gdzie zasilający je prąd pochodzi w głównej mierze z czystych źródeł energii. A tak się składa, że w Polsce zatrważająco przytłaczającą większość prądu (85 proc.) wytwarza się z węgla. I jeśli zamienimy auta napędzane brudnymi silnikami spalinowymi na auta napędzane co prawda silnikami elektrycznymi, lecz zasilanymi energią z brudnego węgla, to pożytek z tego, owszem, będzie, ale naprawdę nie aż tak wielki; w każdym razie pewnie niewart takiego zachodu. Głównie zaś taki, że nasze fabryki smogu (chociaż ciut-ciut mniejszego) przesuniemy z wielkich miast w rejony elektrowni. Jednak trujące powietrze, którego z powodu rosnącej liczby e-aut będzie przybywać, i tak do nas dotrze, choć może w nieco mniejszym stężeniu.

Albowiem – np. według naukowców z brukselskiego uniwersytetu VUB – e-auta napędzane brudną energią (z węgla) emitują co prawda mniej CO_2, ale nie są to różnice wielkie. O ile pojazd z silnikiem Diesla emituje ok. 200 g CO_2/km, o tyle auto elektryczne w Polsce, wskazanej w ich raporcie jako europejski lider CO_2 w produkcji energii, emituje 160 g CO_2/km. Natomiast takie samo e-auto w czystszych pod tym względem Niemczech, Hiszpanii i we Włoszech emituje od 80 do 120 g CO_2/km, a w Szwecji i we Francji – nawet poniżej 40 g CO_2/km. (Trzeba też pamiętać, że po 2020 r. nowe auta spalinowe w UE mają emitować najwyżej 95 g CO_2/km, za to nierozwiązany jest problem utylizacji zużytych baterii e-aut).

Może więc warto, by nasz rząd, zanim ostatecznie ruszy do swej elektrokrucjaty i zacznie zmuszać Polaków – horrendalnymi karami – do przesiadania się z aut spalinowych, a nawet z hybryd, do „elektryków", zdobył się na odwagę posłania połowy górników na zieloną trawkę, zamknięcia części kopalń i zastąpienia elektrowni węglowych np. atomowymi. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Siedem zasad

To już mój ostatni felieton w „Do Rzeczy". Ostatni podpisany jako rektor Narxoz University, bo w lutym wracam na stałe do Polski.

Przez trzy lata, gdy pełniłem funkcję rektora, wdrożyliśmy wiele bardzo głębokich reform. To pokazuje, że szybkie i głębokie zmiany w szkolnictwie wyższym są możliwe oraz potrzebne. Otrzymaliśmy prestiżową akredytację CEEMAN, nawet w Polsce ma ją niewiele uczelni. To efekt wdrożenia nowych współczesnych programów kształcenia i stworzenia efektywnego systemu zarządzania jakością kształcenia.

Stworzyliśmy, unikalną w Kazachstanie, kulturę korporacyjną

Jesteśmy pierwszą uczelnią w centralnej Azji, która wykorzystuje wewnętrznie opracowane modele Big Data do zarządzania jakością kształcenia. Ponadto całkowicie wyeliminowaliśmy korupcję, plagiat i oszukiwanie na egzaminach, co jest niestety standardem na większości uczelni w Kazachstanie.

Pomimo niżu demograficznego i znaczącego podniesienia ceny czesnego liczba absolwentów szkół średnich aplikujących do Narxoz zwiększyła się o 50 proc., co pokazuje, że młodzież i ich rodzice doceniają wysoką jakość uczelni. Stworzyliśmy, unikalną w Kazachstanie, kulturę korporacyjną, gdzie student (klient) jest w centrum wszystkich procesów biznesowych, a wartości to: jestem liderem, jesteśmy drużyną, wszystko dla studenta.

Z tych sukcesów wynikają moje sugestie działań dla uczelni w Polsce.

Po pierwsze, system oceny pracowników jest ściśle związany ze strategią uczelni.

Po drugie, studenci są włączeni w procesy zarządzania uczelnią oraz bardzo często przekazują władzom uczelni informację zwrotną.

Po trzecie, kompetencje decyzyjne są delegowane w dół tak bardzo, jak to możliwe, a procedury decyzyjne są ściśle przestrzegane (nie ma specjalnego traktowania dla znajomych królika, niezależnie od wagi królika).

Po czwarte, regularnie monitorowane są jakość zajęć, pytań egzaminacyjnych i rozkłady wystawianych ocen.

Po piąte, prowadzone są bardzo często wewnętrzne i zewnętrzne szkolenia wykładowców oraz pracowników w celu podniesienia kwalifikacji. Żadna inna uczelnia w Kazachstanie nie przeznaczyła tyle środków i wysiłków na podwyższenie kwalifikacji swojej kadry.

Po szóste, bardzo blisko współpracujemy z absolwentami i partnerami z biznesu.

Po siódme, każda praca dyplomowa czy magisterska ma charakter zespołowej pracy projektowej rozwiązującej realne problemy. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 65aebf6e22

TEST „DO RZECZY": HUAWEI MATE 10 PRO

Świetny aparat fotograficzny, piękny ekran OLED oraz wytrzymała bateria – to najważniejsze zalety najlepszego smartfona wyprodukowanego jak dotąd przez chińską firmę Huawei.

Największe wady to brak złącza na słuchawki przewodowe, brak możliwości ładowania bezprzewodowego i brak czytnika kart microSD.

Projektanci zasługują też na pochwałę za design. Na pierwszy rzut oka widać, że jest to smartfon klasy premium. I chociaż marka Huawei wciąż musi sporo popracować, aby na spotkaniu prezesów obok iPhone'a X czy Samsunga Note 8 można było bez uczucia skrępowania położyć na stole Huawei Mate 10 Pro, to pod względem wyglądu czy zastosowanych materiałów i podzespołów Chińczycy naprawdę nie mają się czego wstydzić. Ważący 178 g smartfon jest solidnie wykonany i odporny na pył i wodę (IP67).

Plusem jest też otoczony smukłymi ramkami 6-calowy ekran OLED HDR o proporcjach 18:9 i rozdzielczości 2160 x 1080 pikseli. Jakość obrazu jest bardzo dobra. Kolory są żywe, a czerń głęboka. Osoby siedzące po nocach docenią zaś tryb, w którym ograniczone jest wyświetlanie światła niebieskiego.

Ogromną zaletą tego modelu jest też aparat fotograficzny marki Leica z dwoma soczewkami. Jedna o rozdzielczości 20 Mpix i druga 12 Mpix. Tylny aparat został wyposażony w szybki autofokus, optyczną stabilizację obrazu oraz przysłonę f/1.6, która ułatwia robienie dobrych zdjęć przy słabym oświetleniu. Wbudowana „sztuczna inteligencja" potrafi też rozpoznać, czy fotografujemy krajobraz, jedzenie czy może kota, i odpowiednio wybrać kontrast, przysłonę etc. Zdjęcia są ostre i przeważnie dobrze odwzorowują prawdziwe kolory.

Smartfon napędza 8-rdzeniowy procesor Kirin 970. Dzięki niemu urządzenie dobrze radzi sobie z wymagającymi aplikacjami czy najnowszymi grami. We wnętrzu model ten skrywa aż 6 GB pamięci RAM i 128 GB pamięci wbudowanej. To sporo. Niestety, dostępnej pamięci nie można powiększyć za pomocą karty SD. Można za to jednocześnie używać dwóch kart nanoSIM.

Bardzo dobrze sprawuje się też umieszczony w tylnej części obudowy czytnik linii papilarnych.

Na uwagę zasługuje również wbudowana aplikacja do tłumaczenia, która potrafi przełożyć z obcego języka nie tylko wprowadzony fragment, lecz także np. przetłumaczyć tekst znajdujący się na zdjęciu.

Ogromną zaletą tego smartfona jest też bateria o pojemności 4000 mAh. Dzięki niej Huawei Mate 10 Pro bez problemu może wytrzymać cały dzień bardzo intensywnej pracy, a w przypadku mniej wymagających użytkowników smartfon ten wymaga ładowania raz na dwa lub nawet raz na trzy dni.

Smartfon oferuje też szybkie ładowanie – aby uzupełnić akumulator od 0 do 50 proc., nie trzeba nawet 30 minut. Tego modelu nie da się jednak ładować bezprzewodowo.

Wadą jest też tylko jedno złącze USB typu C. Aby podłączyć słuchawki przewodowe, konieczna jest więc przejściówka (na szczęście jest w zestawie, podobnie jak gumowe etui ochronne). Cena: 2999 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

RYBKA LUBI PŁYWAĆ...

Pogoda nie sprzyja miłośnikom zimowego wędkowania. Zamiast wędkarstwa na lodzie łatwo bowiem stać się uczestnikiem połowów podlodowych lub spływu na krze, czego oczywiście nikomu nie życzę. Jednak jeśli komuś tęskno do wpatrywania się w spławik lub spinningowania w poszukiwaniu większego drapieżnika, to może dziś pomyśleć o zaopatrzeniu się w GoFish Cam, czyli bezprzewodową podwodną kamerę do połowu ryb. Jasne, GoFish Cam szczupaczka za nas nie złapie ani tym bardziej nie oskrobie, ale może okazać się całkiem przydatnym gadżetem. Dlaczego? Otóż amerykańscy konstruktorzy urządzenia twierdzą, że połowy można sobie dzięki niej uprzyjemnić, nagrywając podwodną akcję, zmagania z okoniem czy sumem, moment wciągania na podbierak, a nagrane filmy edytować i umieszczać w sieci. Wystarczy umieścić kamerę na żyłce w pobliżu błystki czy przynęty i uruchomić nagrywanie w telefonie. Specjalne czujniki umieszczone w leciutkiej kamerze (94 g) pozwalają na nagrywanie obrazu od dna do powierzchni wody, co umożliwia pełne zarejestrowanie walki ryby o wolność i wędkarza o kolację. A przy okazji przy każdym rzucie kamera pokaże, jak wygląda środowisko wodne na dnie akwenu – co pomoże też stwierdzić, czy i jakie ryby można tam złowić. Jest jeden minus. Na Indiegogo, gdzie GoFish Cam można już zamówić, urządzenie kosztuje ok. 800 zł. Producent nie zwraca pieniędzy, jeśli w trakcie korzystania z urządzenia zaczepimy żyłką o wodorosty lub trzciny i stracimy kamerę.

... A DZIECI LUBIĄ POGRAĆ

I nie tylko dzieci. Przenośna konsola może przydać się w trakcie długich podróży, gdy współpasażerowie domagają się zgaszenia światła, co skutecznie uniemożliwia pogrążenie się w lekturze książki. GPD WIN 2, czyli ręczna konsola do gier, działa na Windowsie 10 i pozwala bawić się grami, które wymagają nawet sporej wydajności sprzętu, np. GTA5. Parametry – całkiem, całkiem, obudowa wykonana ze wzmacnianego, odpornego na uderzenia aluminium i stopu cynku, ekran – 6 cali, bateria – 6–8 godzin pracy i do tego Intel Core™ m3-7Y30. Można zamawiać na Indiegogo, dostawa w maju, czyli w sam raz np. jako prezent na Dzień Dziecka. Przyjemność zabawy może popsuć cena – najprostszy model to wydatek ok. 2 tys. zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 65aebf6e22

ALIOR BANK

WYŻSZA KULTURA. BANK NOWOŚCI.

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

"Sektor małych i średnich przedsiębiorstw w Polsce ma olbrzymi potencjał i rynek ten z punktu widzenia instytucji finansowych będzie rósł wraz z rozwojem gospodarczym szybciej niż pozostałe rynki. Polityka polskiego rządu, jak również polityka Unii Europejskiej, bardzo wspierają ten kierunek. Stąd jest to również nasz priorytet."

Michał Chyczewski, p.o. prezes zarządu Alior Banku

eprasa.pl

Alior Bank dla przedsiębiorców

– W obsłudze małych i średnich firm stawiamy przede wszystkim na nowe oraz cyfrowe technologie. Tak aby korzystanie przez przedsiębiorców z usług bankowych nie stanowiło wyzwania, ale odbywało się w sposób intuicyjny, w tle biznesowej codzienności – mówi Maciej Surdyk, dyrektor zarządzający Pionem Rozwoju Bankowości Przedsiębiorstw w Alior Banku

W strategii do 2020 r. Alior Bank zamierza uprościć ofertę dla MŚP, wprowadzić nowe rozwiązania cyfrowe, które ułatwią zakup produktów i usług on-line, a także inwestować w IT i innowacje, zapewniając swoim klientom bezpieczne przejście przez rewolucję technologiczną.

Rozwój technologii cyfrowych pozwala nam usprawnić i zwiększyć zakres obsługi naszego klienta. Dążymy bowiem do tego, aby bankowość dla firm była przyjazna, intuicyjna i wspierająca rozwój przedsiębiorstw. Aby to osiągnąć, kluczowe znaczenie ma automatyzacja pewnych procesów. Przykładem może być oferta pakietu kredytowego do 600 tys. zł dla mikrofirm, zabezpieczonego gwarancją COSME, gdzie proponujemy m.in. kredyt w rachunku bieżącym, ratalny na dowolny cel i kartę kredytową. Towarzyszy temu uproszczona dokumentacja finansowa

eprasa.pl 65aebf6e22

i brak zabezpieczeń materialnych, bo koncentrujemy się na ocenie sytuacji ekonomicznej klienta. Wstępna decyzja podejmowana jest w ciągu 30 minut, a środki mogą być uruchomione w trakcie jednego dnia. Klienci doceniają taki tryb procedowania, ponieważ nierzadko potrzebują właśnie szybkiej decyzji banku – nawet jeśli jest odmowna – bo mogą od razu szukać alternatyw.

Czy automatyzacja procesów kredytowych jest równoznaczna z przeniesieniem ich do Internetu?

Prowadzimy wielokanałową dystrybucję kredytów firmowych, ale opartą na tradycyjnej sieci: oddziałów, placówek franczyzowych, Centrów Małych Firm czy Regionalnych Centrów Biznesowych. Aktualnie pracujemy nad tym, aby udostępnić przedsiębiorcom finansowanie w procesach internetowych na otwartych stronach WWW. Wykorzystamy przy tym przede wszystkim budowane połączenie z ePUAP, pozwalające na wiarygodną ocenę realizacji zobowiązań wobec ZUS oraz elektroniczną identyfikację przedsiębiorcy dla podpisania umowy kredytowej. Przekazanie dokumentów finansowych będzie możliwe w formie skanów lub z wykorzystaniem Jednolitego Pliku Kontrolnego – w pełni elektronicznie. Do końca 2018 r. chcemy też, aby cały proces kredytowy dostępny był w wersji internetowej. Ważną zmianą, która nastąpi od drugiego kwartału 2018 r., będzie udostępnienie obsługi procesu kredytowego u doradców za pośrednictwem tabletów, czyli bez konieczności przekazywania przez klienta dokumentów papierowych. W obszarze bankowości tradycyjnej udostępniliśmy też klientom integrację procesu otwierania rachunków firmowych z Centralną Ewidencją i Informacją o Działalności Gospodarczej.

Podstawą w obsłudze bankowej firm jest rachunek i wydane do niego karty płatnicze. Co w tym obszarze macie do zaoferowania?

Rachunek iKonto Biznes oraz rachunek Partner. Dla jednoosobowej działalności otwierane są całkowicie on-line, w prosty i automatyczny sposób, w oparciu o dane pobrane z CEIDG. Udostępniliśmy także przedsiębiorcom kartę płatniczą z systemem rabatowym. Klienci płacący za paliwo na dowolnej stacji mogą uzyskać nawet 100 zł miesięcznie zwrotu na zakup paliwa. Będziemy rozbudowywać ten system o kolejne rabaty. Wprowadziliśmy również innowacyjny system oparty na sztucznej inteligencji – DRONN. Jeszcze w styczniu wszyscy klienci, którzy będą rejestrować swoją działalność w bazie CEIDG, będą otrzymywali od naszego wirtualnego doradcy ofertę iKonta Biznes i bezpłatnej usługi prowadzenia księgowości. W ten sposób chcemy jak najszybciej i jak najefektywniej dotrzeć do jak największej liczby klientów. Także od stycznia nasi klienci mogą generować w naszym systemie Jednolite Pliki Kontrolne na potrzeby swojego sprawozdania przed urzędem skarbowym, a my chcemy tę funkcjonalność czy ten rodzaj sprawozdawczości elektronicznej wykorzystać do oceny zdolności kredytowej.

W grudniu 2017 r. udostępniliście nową platformę bankowości internetowej.

Tak, klienci prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą uzyskali dostęp do nowoczesnej platformy bankowości internetowej. System ten spełnia oczekiwania najmniejszych firm, a jednocześnie zdecydowanie zwiększa wygodę korzystania – nowe rozwiązanie jest bardzo intuicyjne, w przejrzysty sposób prezentuje istotne dane oraz – co bardzo ważne – daje dostęp do rachunków biznesowych również przez aplikację mobilną. System jest cały czas rozwijany, a więc już w najbliższych miesiącach pojawią się kolejne funkcjonalności.

A jaką funkcję pełni stworzony przez was portal Zafirmowani.pl?

Serwis ma z założenia wspierać naszych klientów w dostępie do różnych dodatkowych usług pozabankowych. Jednym z elementów jest aplikacja do prowadzenia księgowości – klienci mogą bezpłatnie prowadzić książkę przychodów i rozchodów, pełną ewidencję faktur, generować deklaracje CIT i PIT. W marcu br. na portalu Zafirmowani.pl udostępnimy faktoring. Planujemy również wdrożenie kolejnych usług, np. ubezpieczenia, wsparcie windykacyjne dla firm z segmentu MŚP.

W procesie kredytowania firm MŚP wykorzystujecie programy pomocowe i gwarancyjne ze środków publicznych oraz UE. Co konkretnie oferujecie i jakie macie efekty?

Jesteśmy bankiem aktywnie kredytującym firmy. W tej działalności wykorzystujemy szeroką paletę programów pomocowych i gwarancyjnych ze środków publicznych i Unii Europejskiej. Naszym flagowym produktem jest gwarancja de minimis. Do dziś łącznie z naszej oferty skorzystało ponad 18,5 tys. przedsiębiorstw, a my wygenerowaliśmy akcję kredytową na ponad 11 mld zł. To duży sukces, zważywszy na to, że bez tej gwarancji przedsiębiorcom byłoby trudno przedstawić zabezpieczenie kredytu, które jest często warunkiem otrzymania finansowania. Natomiast w styczniu 2017 r. zakończyliśmy z sukcesem sprzedaż gwarancji de minimis z FG POIG. Na koniec trwania programu sprzedaż wyniosła 101 sztuk gwarancji dla kredytów o łącznym wolumenie kredytów 77,4 mln zł (w tym wolumen zabezpieczony 44,4 mln zł). Tym samym Alior Bank zajął trzecie miejsce w sprzedaży tej gwarancji. Z kolei we wrześniu ub.r. wdrożyliśmy nową gwarancję z Funduszu Gwarancyjnego Program Operacyjny Inteligentny Rozwój pod nazwą Biznesmax. Gwarancja jest bezpłatna i może zabezpieczyć do 80 proc. kapitału kredytu udzielanego do 20 lat, a jej maksymalna kwota to równowartość w złotych 2,5 mln euro. Przedsiębiorcy, którzy planują zrealizować projekt inwestycyjny polegający na wdrożeniu wyników prac badawczo-rozwojowych lub spełnią jedno z 15 kryteriów innowacyjności, będą mogli skorzystać z gwarancji i zabezpieczyć spłatę kredytu przeznaczonego na realizację inwestycji. Dla innowacyjnych firm mamy także kredyt technologiczny Banku Gospodarstwa Krajowego, dzięki któremu nasi przedsiębiorcy wdrażają nowe, zaawansowane rozwiązania, zwiększające efektywność i prowadzące do udostępnienia innowacyjnych produktów i usług. Udzieliliśmy 70 kredytów technologicznych o wartości przekraczającej w sumie 250 mln zł. Obecnie przygotowujemy się do kolejnego naboru, który rozpocznie się już w lutym 2018 r. Od kwietnia ub.r. intensyfikujemy też sprzedaż gwarancji COSME – w tej chwili ponad tysiąc klientów otrzymało gwarancje o wartości prawie 220 mln zł. Zautomatyzowaliśmy proces udzielania tych gwarancji, co sprawia, że są one dostępne w szybki i prosty sposób. W czwartym kwartale 2017 r., jako jedyny bank, wdrożyliśmy finansowanie sieci szerokopasmowych, czyli finansowanie inwestycyjne dla rozwoju sieci światłowodowych.

rozmawiała Magdalena Gryn

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 65aebf6e22

Aleksandra Podobińska-Durka, dyrektor Działu Funduszy Unii Europejskiej i Programów Publicznych w Alior Banku

Wsparcie rozwoju firm

Alior Bank od kilku lat z sukcesem realizuje strategię, której jednym z założeń jest dostarczanie małym i średnim przedsiębiorstwom środków na rozwój, podnoszenie ich innowacyjności oraz konkurencyjności

Dzięki udziałowi Alior Banku w programach rządowych i unijnych, które wspierają rozwój sektora małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP), jego oferta dla przedsiębiorców jest z roku na rok coraz bardziej atrakcyjna. Kluczową rolę odgrywają w niej gwarancje udzielane przez Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK) w ramach rządowego programu de minimis. Dzięki tej gwarancji od 2013 r. Alior Bank udzielił prawie 35 tys. kredytów o łącznej wartości ponad 11 mld zł. Co istotne, bank oferuje kredyty inwestycyjne i obrotowe gwarantowane w ramach programu de minimis wszystkim swoim klientom z sektora MŚP. A gwarancją objęte może być nawet 60 proc. kapitału kredytu.

– Udzielane przez BGK gwarancje portfelowe de minimis jednoznacznie potwierdziły swoją przydatność – zarówno z punktu widzenia efektywności wydatkowania krajowych środków publicznych, jak i użyteczności dla małych oraz średnich przedsiębiorstw. Dlatego dobrą wiadomością dla firm jest przedłużenie realizacji tego programu w formie Krajowego Funduszu Gwarancyjnego, także obsługiwanego przez BGK – informuje Aleksandra Podobińska-Durka, dyrektor Działu Funduszy Unii Europejskiej i Programów Publicznych w Alior Banku.

WSPARCIE DLA INNOWACJI

Na jeszcze lepszą ofertę liczyć mogą firmy, które chcą wdrażać innowacyjne rozwiązania. W ich przypadku gwarancją może być objęte aż 80 proc. kredytu – a to dzięki udziałowi Alior Banku w programach gwarancyjnych finansowanych z funduszy UE. Udzielił on już ponad 100 takich kredytów inwestycyjnych, zabezpieczonych gwarancją BGK w ramach zakończonego programu „Innowacyjna Gospodarka na lata 2007–2013". Od września ubiegłego roku Alior Bank ma w ofercie kredyty z gwarancją BGK w ramach nowego instrumentu – Funduszu Gwarancyj-

eprasa.pl 65aebf6e22

nego POIR (tj. programu „Inteligentny Rozwój na lata 2014–2020"). Gwarancja udzielana jest bezpłatnie, nawet na 20 lat, a jej maksymalna kwota to równowartość 2,5 mln euro. Ubiegać się o nie mogą przedsiębiorcy, którzy planują zrealizować projekt inwestycyjny oparty na wdrożeniu wyników prac badawczo-rozwojowych lub którzy spełniają jedno z 15 unijnych kryteriów innowacyjności. Warto podkreślić, że Alior Bank uruchomił ten produkt jako pierwszy z banków i udzielił pierwszego kredytu objętego gwarancją z FG POIR.

Klienci Alior Banku z sektora MŚP mogą także ubiegać się o wsparcie unijne w formie premii technologicznej udzielanej przez BGK (w ramach programu „Inteligentny Rozwój"). Premia stanowi odpowiednik dotacji, zmniejsza bowiem znacząco wartość kapitału udzielonego firmie kredytu na innowacje technologiczne. Kredyt ten pozwala małym i średnim firmom sfinansować wdrożenie własnej nowej technologii lub jej zakup oraz uruchomienie na podstawie tej technologii wytwarzania nowych lub znacząco ulepszonych towarów, procesów czy usług. Wsparcie unijne (w postaci wspomnianej premii technologicznej) jest przeznaczone na spłatę części kapitału kredytu przyznanego na ten cel przez bank współpracujący z BGK.

Przedsiębiorstwo ubiegające się o pomoc musi uzyskać w banku promesę kredytową, która stanowi integralną część wniosku o dofinansowanie składanego w BGK. Innowacyjna firma może otrzymać z BGK premię technologiczną, dzięki której będzie mogła spłacić znaczną część kapitału kredytu (od 35 do 70 proc.). Skala wsparcia uzależniona jest od wielkości przedsiębiorstwa – na większe dofinansowanie mogą liczyć najmniejsze firmy – i lokalizacji inwestycji (na najwyższe dofinansowanie mogą liczyć firmy inwestujące w regionach Polski Wschodniej). Maksymalna wartość dofinansowania, tj. premii technologicznej, wynosi aż 6 mln zł.

– Wnioski o premię technologiczną będzie można składać od 20 lutego 2018 r. Do rozdysponowania jest aż 550 mln zł. Przewidujemy, że podobnie jak w poprzednich naborach do BGK wpłyną wnioski o wartości znacznie przekraczającej dostępne środki. Warto zatem już teraz skontaktować się z Alior Bankiem, aby odpowiednio wcześnie przygotować poprawny wniosek i uzyskać promesę kredytową. To ważne, bowiem najbliższy nabór wniosków o premię technologiczną zostanie przeprowadzony na nieco zmienionych zasadach.

Jak dodaje, w lutym br. Alior Bank planuje w kilku polskich miastach spotkania dla klientów, podczas których pracownicy banku w przystępny sposób przedstawią nowe zasady i korzyści związane z uzyskaniem kredytu na inwestycje technologiczne.

– Jednym z założeń naszej strategii jest stały rozwój oferty dla małych i średnich firm. Dlatego stworzyliśmy m.in. Pakiet Europejski. To zestaw produktów finansowych i usług doradczych, który zapewnia kompleksową obsługę przedsięwzięć współfinansowanych ze środków UE. Pakiet daje możliwość zrealizowania inwestycji firmy przy niewielkim, wynoszącym zaledwie 10 proc., udziale środków własnych.

– Widzimy duże zainteresowanie tą formą finansowania. Jej zalety to: preferencyjne, znacznie niższe niż rynkowe oprocentowanie, niższe niż w przypadku innych produktów opłaty prowizyjne oraz długi okres kredytowania i możliwość karencji w spłacie – wylicza Aleksandra Podobińska-Durka.

W najbliższym czasie zostaną podpisane pierwsze umowy z klientami. A już wkrótce bank zaprezentuje także nową, atrakcyjną formę pożyczki szerokopasmowej przeznaczonej wyłącznie dla przedsiębiorstw telekomunikacyjnych o statusie MŚP.

ROZWÓJ NA RYNKACH ZAGRANICZNYCH

Alior Bank podpisał również z Bankiem Gospodarstwa Krajowego umowę w ramach Programu Akredytyw Eksportowych. Dzięki temu Alior Bank będzie mógł bezpośrednio potwierdzać akredytywy eksportowe klientom, zaś

Jednym z założeń naszej strategii jest stały rozwój oferty dla małych i średnich firm. Dlatego stworzyliśmy m.in. Pakiet Europejski

Proponujemy m.in. promesę kredytową, kredyt na sfinansowanie wkładu własnego, kredyt pomostowy, prowadzenie rachunku do rozliczenia dotacji oraz wspomniany kredyt technologiczny – dodaje Podobińska-Durka.

POLSKA CYFROWA

Inną formą udzielanego przez Alior Bank unijnego wsparcia dla firm są preferencyjne pożyczki i kredyty. Takie jak pożyczka szerokopasmowa ze środków programu „Polska Cyfrowa na lata 2014–2020". Alior Bank jest obecnie jedyną instytucją finansową udzielającą tak preferencyjnego finansowania. Pożyczki szerokopasmowe przeznaczone są dla zarejestrowanych w Urzędzie Komunikacji Elektronicznej firm telekomunikacyjnych, które planują inwestycje w budowę, rozbudowę lub przebudowę sieci telekomunikacyjnej, zapewniającej dostęp do szerokopasmowego Internetu o przepustowości min. 30 Mb/s. Pojedyncza pożyczka może wynieść od 20 tys. do nawet 10 mln zł, z okresem kredytowania do 15 lat.

BGK będzie przejmował ryzyko banku zagranicznego. Tego typu współpraca banków znacząco ułatwi eksporterom realizację zamówień na rynkach o podwyższonym ryzyku. Akredytywa jest narzędziem zobowiązującym bank importera do zapłaty określonej kwoty w zamian za dokumenty, które w jej ramach zaprezentuje eksporter za pośrednictwem swojego banku. Jeżeli okażą się one zgodne, to bank otwierający akredytywę zobowiązany jest do dokonania zapłaty. Przejęcie ryzyka banku importera przez BGK zwiększa bezpieczeństwo transakcji i daje Alior Bankowi nowe rozwiązania w zakresie wspierania firm poszukujących możliwości rozwoju na rynkach zagranicznych.

Dzięki podpisaniu umowy z BGK Alior Bank uzyska dodatkowe możliwości wspierania współpracy polskich eksporterów z kontrahentami w krajach o podwyższonym ryzyku, co pozwoli na rozszerzenie ich działalności zarówno na bliskich, jak i dalekich rynkach.

Marta Szuma

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 65aebf6e22

Dariusz Goszczyński, menedżer ds. biznesu agro w Alior Banku

Kompleksowa oferta dla rolnictwa

W intensywnym rozwoju polskiej branży rolno-spożywczej wyraźny udział ma Alior Bank, który w samym tylko 2017 r. udzielił rolnikom i przedsiębiorcom z sektora agro kredytów o łącznej wartości prawie miliarda złotych

Rolnictwo jest jedną z najsilniejszych gałęzi polskiej gospodarki. Tylko w 2016 r. polska branża rolno-spożywcza wyeksportowała towary warte ponad 100 mld zł. To ponad 13 proc. polskiego eksportu i ma olbrzymi wpływ na wynik polskiego handlu zagranicznego. W segmencie owoców oraz warzyw osiągnęliśmy już poziom światowy i nasze produkty są oceniane przez zagraniczne rynki niezwykle pozytywnie. Polska żywność jest chętnie kupowana za granicą, a polskim rolnikom udało się zbudować siatkę kontrahentów, którzy cenią ich produkty. Większość wszystkich eksportowanych produktów rolno-spożywczych znajduje swoich odbiorców na rynkach krajów Unii Europejskiej. W 2016 r. trafiło tam 80 proc. polskiego eksportu, a strategicznymi importerami są: Niemcy, Wielka Brytania, Czechy, Holandia i Włochy. To pokazuje, że potrafimy zdobywać niezwykle trudne i wymagające rynki zbytu. Co ciekawe, jesteśmy widoczni także na rynkach takich krajów jak Arabia Saudyjska czy Białoruś. W intensywnym rozwoju polskiej branży rolno-spożywczej ma swój udział także Alior Bank, który w samym tylko 2017 r. udzielił rolnikom i przedsiębiorcom agro kredytów o łącznej wartości 944,9 mln zł. Dla porównania – cały portfel kredytów dla sektora agro w Alior Banku to aż 3 mld zł. Do tego cechuje się on wysokim bezpieczeństwem, ponieważ rolnicy oraz przedsiębiorcy agro spłacają kredyty bardziej terminowo niż pozostali klienci biznesowi banku.

ZIEMIA JAKO ZABEZPIECZENIE

W 2017 r. Alior Bank wprowadził nowe podejście do finansowania rolnika indywidualnego. Wdrożył innowacyjne narzędzie pozwalające na szybką ocenę zdolności kredytowej w oparciu o wielkość prowadzonej produkcji.

– W Alior Banku potrafimy ocenić ryzyko kredytowe w ramach łańcucha produkcji i dystrybucji żywności (od pola do hurtowni). Dzięki temu jesteśmy w stanie zaoferować rolnikom, przetwórcom, firmom skupowym i hurtownikom finansowanie na dłuższe okresy oraz po niższych cenach – zapewnia Dariusz Goszczyński, menedżer ds. biznesu agro w Alior Banku.

Co ważne, Alior Bank uznaje ziemię rolną za wiarygodne zabezpieczenie kredytu oraz niezmiennie zabezpiecza się na majątku gospodarstwa rolnego. Dlatego zredukował do minimum liczbę dokumentów wymaganych od rolnika. Na etapie wniosku rolnik musi przedstawić tylko siedem dokumentów niezbędnych do zbadania zdolności kredytowej.

W ofercie banku dla rolników jest nawet 3 mln zł na finansowanie obrotowe bieżącej działalności w ramach kredytu obrotowego. Rolnik może otrzymać również 1 mln zł kredytu w rachunku bieżącym.

– Dla rolników przygotowaliśmy ofertę kredytu na refinansowanie dotychczasowych zobowiązań – do 20 lat. Wielu z nich w ostatnich latach skorzystało ze wsparcia w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Unowocześnili oni swoje gospodarstwa, zakupili nowoczesne maszyny rolnicze, zbudowali nowe kurniki, chlewnie, obory. Dzisiaj pozostały im do spłaty kredyty na udział własny, dzięki którym mogli kilka lat temu skorzystać z PROW – mówi Dariusz Goszczyński.

Zdaniem Goszczyńskiego dla wielu rolników harmonogramy spłat kredytów są zbyt rygorystyczne, co utrudnia rozwój gospodarstw. Dlatego takie refinansowanie kredytu i wydłużenie spłaty do 20 lat pozwala im złapać oddech, dzięki czemu mogą dalej rozwijać swoje gospodarstwa.

Tak optymalne warunki finansowania Alior Bank jest w stanie zaproponować rolnikom i przedsiębiorcom agro dzięki współpracy z Instytutem Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej, co pozwala mu precyzyjnie ocenić ryzyko związane z poszczególnymi kierunkami produkcji.

Bank jest także przygotowany na finansowanie działań w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. To ponad 57 mld zł wsparcia dla branży spożywczej. Znaczna część tych środków trafi nie tylko do rolników, lecz także do małych i średnich firm z sektora.

Marta Szuma

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 65aebf6e22

Partner w biznesie

Alior Bank aktywnie wspiera polskie firmy z sektora MŚP i chce być dla nich bankiem pierwszego wyboru

W Polsce działa ponad 1,9 mln firm, z których zdecydowana większość to mikro-, małe i średnie przedsiębiorstwa (99,8 proc.). Ich udział w tworzeniu PKB na przestrzeni ostatnich lat systematycznie rośnie i według ostatnich danych Ministerstwa Rozwoju przekroczył już 50 proc. O tym, że sektor się rozwija, świadczy też to, iż średnioroczne nakłady tych przedsiębiorstw na innowacje rosną o 8,3 proc., a na działalność badawczo-rozwojową – o 24,3 proc. Nakłady sektora MŚP na inwestycje razem z wydatkami na zakup używanych środków trwałych stanowią blisko połowę tej wielkości dla firm ogółem (45 proc.).

Nic więc dziwnego, że w swojej strategii „Cyfrowego buntownika" na lata 2017–2020 Alior Bank stawia sobie za cel wsparcie polskich firm z sektora MŚP i chce być dla nich bankiem pierwszego wyboru. Do takich firm należy niewątpliwie Autopart z Mielca, specjalizująca się w przemysłowej produkcji wysokiej jakości akumulatorów.

– Z Alior Bankiem współpracujemy od jego założenia w 2008 r. Z powodu ograniczonego dostępu do finansowania wiele przedsiębiorstw przechodziło wtedy trudny okres. Okoliczności te okazały się dla banku okazją do rozwoju i nawiązania z klientami relacji typu „win-win". Alior Bank wykazał się sprawnym i elastycznym podejściem do klienta. Jest tak do dzisiaj – opowiada Monika Bąk, prezes zarządu Autopart.

Autopart korzysta z kredytów obrotowych i faktoringów finansujących bieżącą działalność spółki. Alior Bank finansuje również działalność inwestycyjną firmy. Zdaniem Moniki Bąk Alior Bank bardzo sprawnie działa także w obszarze szeroko rozumianych transakcji walutowych.

– Naszym zdaniem siłą Alior Banku jest trafnie obrana strategia w zakresie obsługi klienta, którą świetnie dopełniają ludzie. Nasz opiekun rozumie nasz biznes, dba również o to, by firmę poznały osoby z dyrekcji banku – dzięki czemu możemy później liczyć na wsparcie na kilku szczeblach decyzyjnych. To ważne, aby mieć takiego partnera w biznesie – zauważa prezes Autopartu.

SZEROKIE SPEKTRUM PRODUKTÓW

Od początku z Alior Bankiem współpracuje też firma Prografix z Dębicy, zajmująca się nowoczesnym drukiem i analizą baz danych. W trakcie tej współpracy spółka korzystała z rachunków bieżących w różnych walutach, wymiany walutowej oraz kredytów obrotowego i inwestycyjnego. A w ciągu ostatnich pięciu lat Prografix – dzięki finansowaniu inwestycyjnemu Alior Banku – zrealizował siedem dużych projektów w ramach programów UE.

– Z naszych dotychczasowych doświadczeń dotyczących współpracy wynika, że Alior Bank ma szerokie spektrum oferowanych produktów skierowanych do różnych grup klientów. Wyróżnia się też elastycznym podejściem do klienta, wysoko wykwalifikowaną kadrą oraz szybkością reagowania na potrzeby klienta – mówi Bartosz Mateja, prezes zarządu Prografix.

Współpracę z Alior Bankiem chwali sobie również Marek Goczał, właściciel znanego w całej Polsce rodzinnego parku rozrywki Energylandia w Zatorze. Jego współpraca z bankiem zaczęła się w styczniu 2016 r.

– Z całą pewnością mógłbym polecić Alior Bank innym przedsiębiorcom. Głównie ze względu na szybkość działania oraz elastyczność. To bank otwarty na potrzeby klienta, który wprowadza nowoczesne i innowacyjne rozwiązania – mówi Marek Goczał.

Szef Energylandii ocenia ofertę banku jako atrakcyjną, dlatego do dziś spółka skorzystała m.in. z takich produktów bankowych jak: leasing, kredyty inwestycyjne i obrotowe, konta rozliczeniowe oraz karty płatnicze i kredytowe.

– Wszelkie formalności przebiegały bez opóźnień, co jest dla nas bardzo istotne. Kontakt z bankiem jest bez zarzutu, a warunki kredytowe dopasowane do naszych potrzeb – dodaje Marek Goczał.

Współpracę z Alior Bankiem bardzo wysoko ocenia również Michał Sapota, członek rady nadzorczej Murapol SA.

– W ciągu ostatnich kilkunastu lat współpracowałem z wieloma bankami i uważam, że współpraca z Alior Bankiem jest na najwyższym poziomie. Zdecydowanie polecam Aliora przede wszystkim dlatego, że pochyla się nad indywidualnym przypadkiem każdego przedsiębiorcy oraz jest gotów do wypracowania optymalnego modelu finansowania z uwzględnieniem potrzeb konkretnego biznesu – wyjaśnia Michał Sapota.

Grupa Murapol korzystała przede wszystkim z kredytów obrotowych i odnawialnych przeznaczonych na rozwój działalności deweloperskiej oraz kredytów refinansujących nakłady na budowę mieszkań i powierzchni komercyjnych.

– Współpracę cechuje pełen profesjonalizm, doceniam szybkość działania banku, zgodność między ustaleniami we wczesnych etapach procesów kredytowych a końcowym efektem, krótką ścieżkę decyzyjną, dużą elastyczność i otwartość w zakresie potrzeb klienta, co rzadko spotyka się w bankach korporacyjnych. Dlatego korzystamy z oferty Aliora od kilku lat i mam nadzieję, że nasza współpraca będzie się dalej rozwijać – podsumowuje Michał Sapota.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 65aebf6e22

Skazani na depresję?

Katarzyna Pinkosz

Ponad 1,5 mln osób w Polsce codziennie przyjmuje leki antydepresyjne. Aż tak bardzo nie radzimy sobie ze światem?

Najczęściej nasila mi się to wieczorem. Dostaję ataku lęku, z kołataniem serca i bólami brzucha. Postanowiłem sobie zmierzyć ciśnienie: mam 152/83. Żaden ze znajomych nie był w stanie mi powiedzieć, że jest ze mną coś nie tak, gdyż normalnie funkcjonuję w towarzystwie. Z zewnątrz wyglądam normalnie. Wewnątrz czuję się okropnie. Papierosy i narkotyki są mi obce, ale od czasu do czasu lubię wypić alkohol…" – pisze 19-latek na forum internetowym poświęconym depresji. Forum to miejsce pierwszej pomocy dla tych, którzy nie wiedzą, co robić, gdy nie ma sił wyjść z domu, iść do pracy, podjąć decyzji, czy trwać w związku, czy z nim skończyć. Gdy nie wiadomo, jak poradzić sobie z myślą, że jedynym wyjściem jest pożegnanie się z życiem. Na forum są ludzie zmagający się z depresją: niektórym pomogły leki, inni dopiero ich próbują. Dzielą się doświadczeniami, bo na wizytę u psychiatry w ramach NFZ czeka się kilka miesięcy, a z lękiem trzeba poradzić sobie już dziś. Czasem na forum pojawiają się wpisy psychologa lub psychiatry.

Liczba osób, które w Polsce zmagają się z depresją, jest nieznana. Wiadomo jednak, że ok. 1,5 mln osób codziennie przyjmuje tabletki przeciwdepresyjne. To aż o 30 proc. więcej niż sześć lat temu. Nie wszyscy mają chorobę zdiagnozowaną przez psychiatrę, gdyż środki antydepresyjne może też zapisać lekarz pierwszego kontaktu. Z jednej strony to dobrze, bo łatwiej się do niego dostać, z drugiej jest ryzyko, że leki nie zostaną dobrze dobrane. – Przyjmowanie leków musi odbywać się pod ścisłą kontrolą specjalisty, nie mogą one zastępować psychoterapii, która często jest konieczna – podkreśla prof. Piotr Gałecki, krajowy konsultant w zakresie psychiatrii.

Wciąż wiele osób wstydzi się iść do psychiatry. – Zwłaszcza mężczyźni traktują to jak klęskę życiową. To dziwne, bo przecież gdy złamiemy nogę, to idziemy do ortopedy i nie mówimy, że to klęska życiowa. Depresja to choroba jak każda inna. Gdy mamy poczucie, że nie radzimy sobie z życiem, trzeba iść do specjalisty – przekonuje dr Sławomir Murawiec z Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

KOBIECE I MĘSKIE MASKI

Nie każde obniżenie nastroju jest depresją. Gdy jednak trwa dłużej niż dwa tygodnie, nic nas nie cieszy, paraliżuje nas strach przed podjęciem decyzji i przed przyszłością, mamy poczucie beznadziei, nie chcemy spotykać się ze znajomymi, czujemy ciągłe zmęczenie, a do tego dochodzą zaburzenia pamięci i koncentracji, drażliwość, płaczliwość, niska samoocena i poczucie winy, to znaczy, że trzeba skorzystać z porady specjalisty.

Nie zawsze depresja ma tak klasyczne objawy. Przybiera maski. Maska 1: lęk o własne zdrowie, ciągłe bóle głowy, brzucha. Maska 2, częsta u kobiet po porodzie: paraliżujące uczucie, że nie poradzą sobie z opieką nad dzieckiem. Maska 3: doszukiwanie się u dziecka kolejnych chorób i bieganie od specjalisty do specjalisty.

Męska maska depresji bywa jeszcze inna. – Mężczyzna robi się drażliwy, agresywny, bez powodu wpada w złość. Może stać się pracoholikiem, więc w domu rozładowuje emocje. Ma trudności z odnalezieniem się w społeczeństwie, w związkach – mówi prof. Agata Szulc, prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Kobiety ratuje to, że z kłopotów zwierzają się przyjaciółkom, szukają pomocy, choćby na forach internetowych. Mężczyźni zwykle „leczą" się sami, np.

eprasa.pl 65aebf6e22

FOT. FOTOLIA

coraz częściej sięgając po alkohol. Trudności w rozpoznaniu męskiej depresji sprzyja też tradycyjny podział ról. – Gdy kobieta nie zrobi obiadu, od razu widać, że coś jest nie tak. A mężczyzna? Jeśli do tej pory miał w zwyczaju po pracy leżeć na kanapie i pić piwo, to teraz zamiast jednego wypije dwa, trzy. I staje się coraz bardziej drażliwy – dodaje prof. Szulc.

CHOROBA XXI W.

Patrząc obiektywnie, warunki życia w ciągu ostatnich lat bardzo się poprawiły. Czemu więc coraz częściej dopada nas depresja? – Dostępność dóbr rośnie, ale nie wiąże się z tym wyższy poziom satysfakcji. Wciąż musimy zmagać się z nowymi wymaganiami. Kiedyś, gdy ktoś osiągnął pewną pozycję w swoim zawodzie, był autorytetem. Dzisiaj ciągle musi się wykazywać, doskonalić, szkolić, wygrywać. To dzieje się w korporacjach, urzędach, wszędzie – mówi dr Murawiec.

– Czujemy się samotni, zagrożeni. Dwieście lat temu, gdy zapadał zmrok, cała rodzina siedziała przy piecu, dziadek coś opowiadał, inni słuchali, wszystko było przewidywalne. Teraz wnukowie widzą dziadków w święta, a zapracowani rodzice mają coraz mniej czasu dla dzieci. Nie ma stabilizacji w pracy, jesteśmy bombardowani negatywnymi informacjami – dodaje prof. Gałecki.

Pogoń za kolejnymi sukcesami i lęk, że ich nie osiągniemy, powodują, iż stale znajdujemy się w sytuacji zagrożenia. A nasz organizm na każdy lęk reaguje tak samo jak wtedy, gdy któregoś z naszych przodków zaatakowało dzikie zwierzę lub obce plemię. Układ nerwowy mobilizuje się, napinają się mięśnie, wzrasta ciśnienie, tętno przyspiesza. – Zmiany zachodzą też w układzie odpornościowym, wydzielane są interleukiny, jak we wszystkich chorobach cywilizacyjnych autoimmunologicznych. Wydziela się kortyzol, czyli hormon walki. W krótkiej sytuacji zagrożenia jest to korzystne, ale długotrwały stres prowadzi do chorób. W zależności od predyspozycji jedni z nas w takiej sytuacji zachorują na chorobę wieńcową, inni na reumatoidalne zapalenie stawów, jeszcze inni na depresję – tłumaczy prof. Gałecki.

Jakie w takim razie jest wyjście? Jesteśmy skazani na depresję lub inną chorobę cywilizacji?

– Trzeba podtrzymywać więzi rodzinne, towarzyskie, by w razie stresującej sytuacji mieć komu o niej opowiedzieć. Ważne jest posiadanie kilku punktów odniesienia, takich jak praca, znajomi, hobby. Jeśli coś posypie się w jednej sferze, to pozostanie coś w odwodzie – przekonuje dr Murawiec.

Wiele zależy od cech naszej osobowości: jedna osoba w sytuacji rozwodu, straty pracy, ciężkiej choroby załamie się, inna zacznie szukać dróg wyjścia. Sposób, w jaki reagujemy, zależy od naszej osobowości, która w dużej mierze kształtuje się w pierwszych latach życia. – To, jak reagujemy na świat, zależy od drogi nerwowej łączącej układ limbiczny z płatami czołowymi. Jeśli ten układ jest kształtowany w dzieciństwie w sytuacji ciągłego zagrożenia, to osoba dorosła będzie reagowała nadwrażliwie na zagrożenie i będzie bardziej skłonna do depresji – dodaje prof. Gałecki.

Dlatego tak ważne jest zapewnienie już małemu dziecku poczucia bezpieczeństwa, a jednocześnie uczenie go dawania sobie rady w trudnych sytuacjach, wyznaczania celów adekwatnych do możliwości.

NIE WOLNO CZEKAĆ

Wpis z forum: „Mam już serio tego wszystkiego dość. Pewnie ktoś mi powie: »Daj spokój, nowy rok, nowa Ty«. Niech się w 4 litery pocałuje. Ten rok będzie dla mnie na 100% dużo gorszy. Dwa razy więcej smutku, bólu, żalu, porażek i przypałów".

Osobie z depresją nie ma co mówić, żeby zaczęła cieszyć się życiem czy wzięła się w garść. Gdyby mogła to zrobić, dawno by to zrobiła. To tak, jakby powiedzieć choremu na nadciśnienie, żeby zamiast brać leki, uspokoił się, a ciśnienie samo mu się wyrówna.

Nieleczona depresja potrafi zniszczyć życie zawodowe, osobiste, rodzinne. W skrajnych przypadkach człowiek, który nie widzi sensu życia, próbuje popełnić samobójstwo. Kolejny wpis z forum: „Niby funkcjonuję, niby nie jest źle, a uporczywie powraca do mnie jedna myśl – że samobójstwo w moim przypadku to kwestia czasu. Takie myśli pojawiają się najczęściej, kiedy myślę o przyszłości, o tym, czego mi brak, jak powinnam żyć i czego dokonać".

W Polsce jest ok. 55 tys. prób samobójczych rocznie, z czego 5,5 tys. kończy się zgonem. Ginie w ten sposób więcej osób niż z powodu wypadków komunikacyjnych. Wielu tragedii można by uniknąć, gdyby nie trzeba było kilka miesięcy czekać na wizytę do psychiatry. Niestety, polska psychiatria jest od lat niedoinwestowana: brakuje specjalistów (wręcz dramatyczna sytuacja jest w psychiatrii dziecięcej – w niektórych województwach nie ma ani jednego psychiatry dziecięcego). Brakuje też leczenia środowiskowego, blisko miejsca zamieszkania, a przecież opieką powinien być objęty nie tylko chory, lecz także jego rodzina. – Zapóźnienia w polskiej psychiatrii sięgają 100 lat – podsumowuje prof. Szulc. Psychiatrzy czekają na zmiany. Osoby z forów internetowych i te, które jeszcze tam nie trafiły – też.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 65aebf6e22

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni krzyżowiec I RP

Pan **Tomasz Stanisław Wolski,** urodzony ok. 1700 r. w Uniejowie, nie znalazł się w panteonie naszych narodowych wodzów, buntowników, wieszczów czy szaleńców, co jednak nie znaczy, że nie był ciekawą personą. Wychowywany na dworze magnata Jana Czaplińskiego rozmiłował się w podróżach; na starość znano go jako prawdziwego obieżyświata. O jego wojażach krążyły liczne opowieści i jak zwykle trudno dociec, gdzie kończyła się prawda, a zaczynała licentia poetica.

Pewne jest jedno – w młodości poznał Czechy i Niemcy, Pragę, Monachium, ziemie Habsburgów, Tyrol, Gdańsk i Toruń. W 1725 r. odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, z czego prawdziwa jest na pewno jego podróż do Rzymu, której trasa wiodła przez Wiedeń, Triest i Wenecję. Uzyskał audiencję u papieża Benedykta XIII. Później wyruszył do Ziemi Świętej i tutaj przeżył pierwsze niesamowite przygody.

Najpierw zatonął okręt, na którym płynął. Na szczęście świetnie pływał i udało mu się dostać na statek należący do Wenecji. Później zaatakowali go berberyjscy korsarze i wdarli się na pokład. Bohater, czując w sobie sarmacką krew, zgromadził marynarzy i odparł napastników. 12 kwietnia 1726 r. dotarł do Jerozolimy. Zwiedziwszy Betlejem, ruszył do Egiptu śladami Mikołaja „Sierotki" Radziwiłła.

Dalej było – jak to się mówi – raz na wozie, raz pod wozem. Został wzięty do niewoli przez Arabów, ale udało mu się umknąć. Umieszczony w klasztorze Franciszkanów w jednej celi z luteraninem wpadł w gniew, gdy heretyk zachwalał mu zalety swego wyznania. Wolski złapał za… pielgrzymi sandał i „tak sumiennie obił nim owego protestanta, że ten krzykiem cały kościół obudził", gdyż jako gorliwy katolik gotów był bronić wiary w każdym miejscu.

Gdy Wolski wrócił z pielgrzymki, natychmiast dał poznać się jako zwolennik nowej krucjaty przeciwko islamowi. Udał się znowu do papieża i uzyskał od niego różne odpusty, papiery oraz godność Rycerza Grobu Świętego. Hojnie zaopatrzony, wyruszył w peregrynację po Europie, aby przekonać do krucjaty innych władców. Niestety, był wówczas wiek XVIII, a nie XII, podobnie jak dziś Europą rządziły

FOT. BIBLIOTECA NACIONAL DE ESPAÑA

smętne pludraki, więc traktowano go jak szaleńca. Nikt zdrowo myślący nie zamierzał przecież zaczynać wojny z Turcją.

Wolski powrócił zatem do Włoch i w roku 1730 Benedykt XIII mianował go admirałem floty papieskiej. Kłopot jednak w tym, że Watykan nie posiadał wówczas ani jednego okrętu wojennego. Wolski jednak zakupił fregatę i wyprawił się na Stambuł. Czy do niego dopłynął – nie wiadomo. W swoim pamiętniku pisze, że prowadził działania wojenne przeciwko Turkom, jednak jest to raczej historyczna opowiastka niż wiarygodne źródło.

Wkrótce pojawił się znowu w Rzeczypospolitej, skąd w 1733 r. wyjechał ponownie do Rzymu, by organizować krucjatę. Dalsze dzieje Wolskiego owiane są tajemnicą. Najprawdopodobniej jednak zrealizował swoje zamierzenia, bo w 1740 r. kupił statek, najął kapitana i marynarzy, a następnie wywiesił na nim hiszpańską banderę i popłynął na południe, by atakować Algierczyków. Udało mu się zdobyć kilka statków, a jego wyprawa omal nie spowodowała wojny pomiędzy Hiszpanią i Turcją. Gdy Wolski powrócił do Italii, jego statek został zatrzymany w porcie i skonfiskowany, a sam krzyżowiec znalazł się w więzieniu. Uwolniono go na prośbę żony króla Polski Augusta III Sasa – Marii Józefy.

Kim był bohater? Awanturnikiem i naciągaczem czy człowiekiem wiary, ostatnim krzyżowcem nad Wisłą? Tak do końca – nie wiadomo. Adam Moszczeński, który spotkał w młodości Wolskiego, twierdził, że był to „frant wielki i zapalonej głowy człowiek". Pan Tomasz lubił wzbudzać zainteresowanie, potrafił też wyciągać pożyczki i donacje od najróżniejszych dewotów oraz księży. Dla króla Augusta III Sasa był czymś w rodzaju maskotki. Pewnego razu władca oświadczył, że da podstarzałemu Wolskiemu bogate starostwo, jeśli ożeni się z piękną panną Łubieńską. Czegóż nie robi się dla krucjaty! Pan Tomasz ukłonił się i popędził, by paść do nóg pannie, która długo nie mogła pozbyć się go z dworu.

Bohater zmarł w 1766 r. i do końca życia niestrudzenie zbierał datki na krucjatę. Sensację budził samym wyglądem. Moszczeński wspomina: „Znałem pana Wolskiego, pielgrzyma, który często wstępował do ojca mego. Ubrany był w żupan aksamitny czarny, krzyż na lewym boku czerwony podszyty lamą srebrną, na butach krzyże haftowane, przy pałaszu na srebrnym łańcuszku koncha morska zawieszona, pas czerwony, za tym paciorki, a w ręku laska pielgrzymska wysoka". ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

NAUKA NA BŁĘDACH LECHA JANERKI

Nie jestem zbyt zarozumiałym człowiekiem, ale jakieś 15, 20 lat temu wydawało mi się, że posiadłem tajniki robienia spaghetti po bolońsku. W sklepach pojawiły się wtedy saszetki z sosem w proszku, do tego dokupowało się mielone mięso, można było dodać jakiegoś pomidora czy przecieru, czosnku i w ten sposób szybko wyprodukować danie. A jak się do tego dokupiło nie za drogie wino, to stanowiło to doskonały komplet.

W tamtym czasie nagrywałem płytę „Fiu fiu..." i pojechałem do Warszawy, by robić mastering, który w tamtych czasach trwał dość długo. Drugiego dnia pracy, kiedy już się zapoznałem z panem od masteringu, był to pan Piwkowski, postanowiłem zabłysnąć i po wielogodzinnej pracy zrobić spaghetti. Wziąłem się za to, gdy do domu wrócił tata pana Piwkowskiego, któremu syn zarekomendował mnie jako kucharza dnia. I nawet gdy okazało się, że w najbliższym sklepie nie ma mięsa mielonego, nie poddałem się, wziąłem sos w saszetce i pomyślałem, że jesteśmy tak głodni, iż zjemy bez mięsa, będzie bardziej dietetycznie. Makaron był dobry, ale sos wyszedł obrzydliwy, z wariacką konsystencją przypominającą zupę pomidorową. Panowie, którzy na domiar złego okazali się smakoszami spaghetti, siedzieli nad talerzami i nie skomentowali, co uważam za swój największy sukces tamtego eksperymentu.
Od tamtej pory przestrzegam wszystkich przed robieniem namiastki potraw i radzę trzymać się przepisów.

Składniki:

- makaron spaghetti
- 0,5 kg mielonej wołowiny
- 150 g pomidorów
- 150 g wędzonego boczku
- 2 marchewki
- seler naciowy
- 200 ml czerwonego wytrawnego wina
- 200 ml bulionu
- 50 g przecieru pomidorowego
- 3 ząbki czosnku
- oliwa z oliwek
- pieprz, sól, odrobina cukru, 2 liście laurowe, 3 ziarna ziela angielskiego

Przygotowanie:

Prawdziwe spaghetti bolognese nie jest szybkim daniem. Seler naciowy, czosnek, cebulę i boczek tniemy na drobną kostkę, marchewkę ścieramy na grubych oczkach tarki, pomidory drobno kroimy lub blendujemy. Na rozgrzaną oliwę w garnku wrzucamy boczek i podsmażamy. Dodajemy cebulę i czosnek, a po kilku minutach marchew i seler. Po kolejnych kilku minutach wrzucamy wołowinę i podsmażamy. Dolewamy wino i wolno gotujemy do odparowania, potem tak samo postępujemy z bulionem. Dodajemy pomidory, koncentrat i przyprawiamy. Gotujemy na małym ogniu co najmniej 2 godz., od czasu do czasu mieszając. Podajemy z makaronem spaghetti ugotowanym al dente i startym parmezanem na wierzchu. ©℗

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ / FORUM

oprac. raw
Lech Janerka jest wokalistą, gitarzystą, basistą i autorem tekstów.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Balsam tajemniczy

Ocet balsamiczny to jeden z najbardziej tajemniczych skarbów gastronomii. W średniowieczu jako eliksir sprzedawano go w aptece – leczył choroby skóry. Nazwa „balsamiczny" pojawiła się dopiero w XVIII w. – miała podkreślać, że nie jest to zwykły ocet z wina, lecz balsam w czarnym kolorze i o gęstej konsystencji. Wielkie włoskie rody, takie jak d'Este, chlubiły się posiadaniem w swoim zamku „acetaia" – octowni. Najwięcej balsamico produkowały dwa regiony: Lombardia i Emilia-Romania. Do dziś dwa miasta spierają się o przywilej najlepszego: Modena i Reggio nell'Emilia.

FOT. FOTOLIA

Czysty ocet balsamiczny jest sfermentowanym miąższem winogron dojrzewającym 12 lat w beczkach z drzewa dębowego, czereśniowego lub kasztanowego. Nie może zawierać ani karmelu, ani barwnika, ani zagęszczaczy. O ile produkt przemysłowy jest czysty i klarowny, o tyle ocet rękodzielniczy ma być lekko mętny, a w smaku posiada nuty drzewne i winne. Trzeba się przygotować na spory wydatek: mała buteleczka takiego balsamico kosztuje co najmniej 65 euro.

Produkcja octu w Modenie odbywa się metodami niezmienionymi od setek lat. W październiku, po zbiorach, ręcznie uciera się winogrona, potem wyciska z nich sok. Miąższ pozostawia się na noc w pojemnikach w niskiej temperaturze. Nazajutrz zaczyna się gotowanie w beczce w temperaturze 85 st. C – trwa to 72 godziny. Przez ten czas masa traci 70 proc. objętości i przypomina brunatny syrop o słodkim i pachnącym zapachu. W następnym etapie każdy z mistrzów octowników ma własny sposób działania: jedni od razu wlewają płyn do wielkich kadzi dębowych; inni przelewają go do gąsiorów, żeby odpoczął przez zimę. Aby przyspieszyć proces fermentacji, do każdego należy dodać trochę starego octu winnego. Postarzanie jest sztuką. Kadzie muszą być doskonałej jakości – ich żywice decydują o smaku produktu finalnego. Gdy temperatura spada w zimie, wietrzy się na otwartym powietrzu na przewiewnych strychach. Gąsiory 60-litrowe zawierają ocet najmłodszy, mniejsze – 15- i 20-litrowe – starszy. Te ostatnie można rozlewać i sprzedawać po 12 latach. Po ich opróżnieniu do małych gąsiorów dorzuca się trochę balsamico „młodszego", żeby go „odżywić". Na dnie beczek można odnaleźć ślady octu sprzed 200 lat.

Niestety, produkcja uczciwego octu nie jest zabezpieczona: można go wytwarzać wszędzie na świecie. Nawet we Włoszech sprzedaje się co roku 94 tys. litrów przemysłowego taniego produktu aromatyzowanego miąższem z winogron, karmelem i konserwantami. Dlatego warto kupić ocet ze starych octowni: Acetaia Leonardi, San Giacomo, Guerzoni, del Cristo. To zupełnie co innego. ©℗

eprasa.pl 65aebf6e22

NASZ TEST: MERCEDES-AMG C43 CABRIO

Kabriolet w Polsce? Latem z pewnością daje dużo radości i robi piorunujące wrażenie. Co jednak, gdy wskazówka na termometrze spada poniżej zera, a na drogach i zaparkowanych pod chmurką samochodach zalega śnieg? Wbrew docinkom złośliwców również wtedy auto z miękkim, brezentowym dachem i olbrzymią mocą pod maską potrafi szybko wywołać uśmiech na twarzy kierowcy. Mercedes-AMG C43 Cabrio nawet zimą budzi zaś zazdrość u innych kierowców i wywołuje zachwycone spojrzenia wielu przechodniów.

W KABINIE

Podobnie jak na zewnątrz, tak i w środku auto wygląda jednocześnie sportowo oraz elegancko. Na pochwałę zasługują design oraz dbałość o szczegóły – takie jak piękne głośniki, umieszczone na bocznych drzwiach przyciski do elektrycznego sterowania fotelami czy tablet o przekątnej 8,4 cala. Wadą jest jednak jakość montażu – niektóre elementy konsoli przy nacisku potrafią bowiem wyraźnie zaskrzypieć. Auto jest teoretycznie czteroosobowe, ale w praktyce zajmowanie miejsca na tylnej kanapie nie ma większego sensu. Przynajmniej nie podczas jazdy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Bagażnik – jak to w kabrioletach – jest, ale jakby go nie było. Kufer nie pozwala bowiem na przewiezienie wielu więcej rzeczy niż męskiej aktówki i kilku toreb weekendowych zakupów.

JAZDA

To naprawdę fajna zabawka. Kabriolet z trzylitrowym silnikiem z sześcioma cylindrami dysponuje mocą aż 367 KM. I chociaż nie w pełni zasługuje na oznaczenie literkami „AMG", to i tak od 0 do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 4,8 s, czyli minimalnie szybciej niż jego główni konkurenci. Radość u kierowcy budzi nie tylko przyspieszenie, lecz także rasowy dźwięk silnika. Niestety, przy wyższych prędkościach autostradowych i na nierównych drogach do kabiny dociera zbyt wiele hałasu.

Układ kierowniczy jest precyzyjny. Napęd 4Matic sprawia, że auto dobrze trzyma się drogi, nawet w typowo zimowych warunkach.

A jeśli ktoś przeżył właśnie koszmarny tydzień, to wystarczy przełączyć auto w tryb jazdy Sport+, aby poczuć, jak kabriolet przeistacza się z komfortowego samochodu w diabelską maszynę do wytwarzania endorfiny. Świetnie w tym modelu sprawdza się również automatyczna dziewięciobiegowa skrzynia biegów.

Gorzej jest z apetytem na paliwo. Mercedes-AMG C43 Cabrio w cyklu mieszanym spalał podczas testu średnio 14–15 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP kabriolet klasy C zdobył komplet pięciu gwiazdek.

Za dopłatą ponad 10 tys. zł auto może być też wyposażone w pakiet utrzymania pasa ruchu, system, który pomaga w zachowaniu bezpiecznego odstępu od pojazdu poprzedzającego, zmniejsza ryzyko przejechania pieszych i zwiększa bezpieczeństwo pasażerów, nawet jeśli stoimy na światłach, a zagrażający nam pojazd nadjeżdża z tyłu.

CENA

Testowany model z podstawowym wyposażeniem kosztuje 330 tys. zł. Wystarczy jednak dodać kilka niezbędnych opcji z zakresu bezpieczeństwa, a rachunek wzrasta powyżej poziomu 350 tys. zł.

KONKURENCI

Audi S5 Cabrio, BMW 440 Cabrio, Ford Mustang, Porsche Boxster Cabrio. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 65aebf6e22

5. URODZINY „DO RZECZY”!

#5LATDORZECZY

50 KOSZULEK NA 5. URODZINY „DO RZECZY”*

CYFROWE WYDANIA SPECJALNE **

EGZEMPLARZE Z AUTOGRAFAMI ***

SPECJALNE CENY PRENUMERATY ****

* ZRÓB ZDJĘCIE, GDZIE I JAK CZYTASZ NASZ TYGODNIK. OPUBLIKUJ PIĘĆ TAKICH ZDJĘĆ Z RÓŻNYMI NUMERAMI „DO RZECZY” NA FACEBOOKU, OZNACZ @DORZECZY I UŻYJ HASZTAGU #5LATDORZECZY. 50 AUTORÓW NAJCIEKAWSZYCH ZDJĘĆ OTRZYMA PATRIOTYCZNE KOSZULKI RED IS BAD

** DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY ZAREJESTRUJĄ SIĘ NA WWW.DORZECZY.PL DO POBRANIA WYDANIE SPECJALNE ZAWIERAJĄCE HISTORYCZNE WYDANIE NR „0” I NR 1 „DO RZECZY” LUB WYDANIE MONOGRAFICZNE PT. „BITWY POLSKIEGO ORĘŻA”

*** DLA PIERWSZYCH 100 OSÓB, KTÓRE ZAKUPIĄ LUB PRZEDŁUŻĄ PRENUMERATĘ OD 26.01 DO 5.02.2018 WYDANIE Z 29.01.2018 Z AUTOGRAFAMI NASZYCH PUBLICYSTÓW

**** TAK ATRAKCYJNYCH CEN JESZCZE NIE BYŁO! SPRAWDŹ NASZE SPECJALNE URODZINOWE OFERTY PRENUMERATY! PRENUMERATA.DORZECZY.PL

eprasa.pl 65aeb1c22

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Na szlaku Tillersona

MARCIN MAKOWSKI: W piątek 26 stycznia sekretarz stanu USA Rex Tillerson odwiedził Warszawę. Wcześniej na trasie: Londyn, Paryż i Davos. Wybór chyba nieprzypadkowy?

MATTHEW TYRMAND: Oczywiście, że nie. To podkreślenie znaczenia Polski na europejskiej mapie sojuszników USA. Wydaje mi się jednak, że niepasująca do tego bankowo-establishmentowego grona Warszawa została dołączona do agendy nie tyle przez Departament Stanu, ile ze względu na życzenie Białego Domu. Nie jest tajemnicą, że Rex Tillerson jest tam otwarcie krytykowany, a Donald Trump traci do niego zaufanie, choćby ze względu na problematyczne powiązania biznesowe z Rosją. W Waszyngtonie mówi się, że za kilka miesięcy jego funkcję mógłby przejąć Mike Pompeo, obecny szef CIA, albo Nikki Haley – ambasador przy ONZ. Haley byłaby kapitalnym wyborem również z perspektywy Polski. Z tego, co wiem, bardzo wysoko oceniła wstrzymanie się Warszawy od głosowania w ONZ, w którym potępiono decyzję Ameryki o uznaniu Jerozolimy za stolicę Izraela. Ten sygnał został przekazany do Waszyngtonu.

A może już się coś w narracji Departamentu Stanu zmieniło? Jeszcze niedawno TVN ścigała się na cytowanie „negatywnych opinii na temat stanu polskiej demokracji". Tymczasem w stanowisku opublikowanym przed wizytą w Warszawie wyraźnie widać zmianę narracji. Czytamy m.in. o tym, że Polska sama poradzi sobie z reformą wymiaru sprawiedliwości.

To prawda, marszałek Adam Bielan trafnie zapytał na Twitterze, dlaczego akurat tę informację przegapiły wszystkie lewicowo-liberalne media, na co dzień dopytujące się na briefingach prasowych departamentu, jak dramatyczna jest sytuacja opozycji w Polsce. A tutaj zmowa milczenia.

Wizyta Tillersona, obok polityki energetycznej, dotyczyła również zagadnień związanych z obronnością. Jaka twoim zdaniem będzie przyszłość tych relacji, szczególnie po zmianach kadrowych w MON? Co dalej z negocjacjami ws. tarczy antyrakietowej?

Dobrze, że wymieniłeś te dwa komponenty wizyty obok siebie, bo jeden de facto wynika z drugiego. Nie będzie w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej realnego bezpieczeństwa, jeśli obok systemu Patriot nie będą budowane i dywersyfikowane źródła dostaw energetycznych. W tym przypadku kluczowa jest dostawa LNG z Ameryki i to moim zdaniem będzie jedna z rzeczy, za które zostanie zapamiętany Mateusz Morawiecki. Jeśli zaś chodzi o negocjacje w sprawie tarczy, to dobrze się stało, że z ministerstwa odszedł Bartosz Kownacki, który ewidentnie „przegrzał" sprawę negocjacji, swoją nadaktywnością powodując syndrom, który w środowiskach wojskowych USA nazwano „Polish fatigue" („zmęczeniem Polską"). Mam nadzieję, że to tylko plotka, ale słyszałem, iż były minister myśli o sektorze prywatnym. Oczywiście w roli lobbysty.

Czy masz coś więcej niż tylko plotki? Bo widzę, że się osobiście uparłeś na Kownackiego.

Moje zdanie nie ma niczego wspólnego z prywatą. Takie informacje do mnie dochodzą – jeśli coś jest na rzeczy, to warto wywołać wilka z lasu, jeśli nie, to należy się cieszyć. Być może zajmie stanowisko w sejmowej Komisji Obrony Narodowej, zobaczymy. Ostatecznie nie chodzi o tego czy innego polityka, ale o cały system, który powinien przeciwdziałać lobbingowi. Podobny mechanizm, czyli migrowanie między rządem, Wall Street a sektorem prywatnym, nazywa się w Stanach drzwiami obrotowymi. Donald Trump pracuje nad zaostrzeniem przepisów wymuszających długi przejściowy okres pomiędzy zatrudnieniem przez szczebel federalny a przejściem do lobbowania, z wykorzystaniem zdobytych w funkcji publicznej kontaktów. Polska powinna podążyć tym samym tropem. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 65aebf6e22

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

GEOPOLITYCZNY TYGIEL

Piątek 20:30

dr Jerzy Targalski

Oglądaj Telewizję Republika
www.telewizjarepublika.pl

cyfrasa.pl 65aebf6e22

OKIEM BLOGERKI

Wylać dziecko z kąpielą

KATARYNA

WIRTUALNA POLSKA: Szef MSWiA chce zwalczać neonazistów. Dzięki niemu kilka dni temu zyskali źródło finansowania. Pieniądze mogą zbierać do puszek. „To najlepszy sposób na finansowanie bez kontroli. Urzędnicy MSWiA powinni sprawdzać, jaki jest cel zbiórki. Nie mogą się tłumaczyć, że nie wiedzą, kto to jest Janusz Waluś, bo to można sprawdzić w 3 minuty" – mówi nam informator zbliżony do MSWiA.

Nie rozumiem, dlaczego „informator" z ministerstwa chce pozostać anonimowy, ale mam nadzieję, że nie pracuje w departamencie zajmującym się zbiórkami publicznymi, bo dawno nie czytałam takich bzdur. Gdyby ów ekspert, a także wszyscy oskarżający ministra Brudzińskiego o wydanie zgody na zbiórkę, zapoznali się choćby z samym zgłoszeniem tej zbiórki, wiedzieliby, że jest to zbiórka na leki i minister nie miał żadnych podstaw jej zakazać, nawet jeśli sama organizacja oraz ostateczny beneficjent zbiórki mu się nie podobają. Bartosz Węglarczyk pytał na Twitterze, czy Brudziński dałby zgodę także na zbiórkę dla Ryszarda Cyby. Pomijając fakt, że ministerstwo żadnych zgód nie wydaje, to nawet gdyby wydawało, nie miałoby podstaw zakazać prowadzenia zbiórki na leki także dla Cyby.

„Informator zbliżony do MSWiA" nie pofatygował się nawet, żeby sprawdzić, co w zgłoszeniu zbiórki zadeklarowali organizatorzy. Otóż sam koszt zbiórki określili tam na 100 zł. Tyle będą mogli wydać ze zbiórki na cokolwiek innego niż leki dla Walusia, a i tak będzie to musiało być związane z samą organizacją zbiórki. Najbardziej szkodliwym kłamstwem jest jednak twierdzenie, że zbiórki to „sposób na finansowanie bez kontroli", bo tu akurat ministerstwo ma wszystkie narzędzia, ma prawo zażądać pokazania każdej faktury potwierdzającej płatność na cel, jaki zadeklarowano, może kwestionować wydatki z nim niezwiązane, a samo sprawozdanie ze zbiórki będzie opublikowane na stronie ministerstwa i będzie dostępne dla każdego.

Niestety, kłamliwe zarzuty, jakie politycy opozycji i wtórujący im niekompetentni lub świadomie manipulujący opinią publiczną dziennikarze postawili Bogu ducha winnemu w sprawie zbiórki „na Walusia" Brudzińskiemu, prawdopodobnie spowodują zaostrzenie przepisów o zbiórkach, sam minister już to zresztą zapowiedział. Opozycja sama wsadziła władzy do ręki argument za dokręceniem śruby wszystkim organizacjom korzystającym z ofiarności publicznej. Oj, jakie one im będą wdzięczne!

Jeżeli cel zbiórki będzie niechciany przez rząd, to w tej ustawie są możliwości jej zablokowania" – tak Marek Suski krytykował obecną ustawę, gdy była uchwalana w 2014 r., zresztą jako efekt wielomiesięcznych prac organizacji pozarządowych od prawa do lewa. I oczywiście nie miał racji, bo obecna ustawa – na szczęście – nie daje władzy takich możliwości. Dopóki cel jest zgodny z prawem – a prawo pozwala finansować leczenie nawet największego zbrodniarza – dopóty władza nie ma podstaw, by zbiórki zakazać. Jednak dzięki opozycji to się wkrótce zmieni, a ona sama nawet nie będzie mogła pisnąć, gdy PiS będzie przepychał zapowiadane zapisy pozwalające zablokować przeprowadzenie zbiórki publicznej, „której cel będzie sprzeczny z zasadami życia społecznego lub będzie naruszał ważny interes publiczny". Mam już swoje typy, kto będzie pierwszą ofiarą wywalczonej właśnie przez głupią i kłamliwą opozycję zmiany bardzo dobrego prawa o zbiórkach publicznych. ©℗

PODSŁUCHANE

Taka mała inscenizacja

Cześć, Kaśka. Musimy się naradzić. Traktuję to spotkanie jako test naszych możliwości zjednoczeniowych przed wyborami. Daj mi od was tak ze trzech nazistów.

Grzesiek, porąbało cię?! U nas w partii nie ma żadnych nazistów! My jesteśmy prawdziwymi demokratami! Może u was jacyś są, poszukałbyś dobrze.

Czekaj, nie zrozumieliśmy się. Potrzebuję od was trzech ludzi, którzy będą robić za nazistów. Trzech damy my. Zgłaszali się nawet Aga Pomaska ze Szczerbą, ale mają za bardzo znane gęby. Chodzi o to, żeby pokazać, że jest poważne nazistowskie zagrożenie, rozumiesz. Sądy nie wypaliły, aborcja... no trochę też, więc łapiemy nowy temat.

Ale że co to ma właściwie być?

Taka mała inscenizacja. Że niby spotkanie organizacji nazistowskiej, ale w prywatnym mieszkaniu, żeby sąd nic nie mógł zrobić. Bo wiesz, tylko publiczne propagowanie jest karalne. Nagramy z tego filmik, wrzucimy do sieci i pomachamy Jojowi przed oczami. Że nie pilnują, że tolerują i tak dalej.

Aaa, w ten deseń... A jak ich złapią?

Spoko, twarze zamaskowane, anonimowe konto i tak dalej. Mam dobrego informatyka.

Broń Boże Mateusz?!

Nie, no skąd. Aha, i mamy już nazwę organizacji, która się w tym filmiku pojawi: Białe Wnuki Adolfa. Sam wymyśliłem. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jestem w trakcie lektury »W pustyni i w puszczy« z moim dzieckiem. Włosy dęba stają, jaka to jest rasistowska książka. [...] To powinno być w przypisach w wydaniu dla dzieci napisane, że Sienkiewicz był rasistą [...]".

JACEK ŻAKOWSKI *na antenie Radia TOK FM*

eprasa.pl 65aebf6e22

Rocznicowo nielaurkowo

fot. Jerzy Gumowski

Choć 5–latka jest rocznicą ledwie półokrągłą niczym osamotniony półdupek (dopiero za kolejne 5 lat będzie można poklepać okrągłą dyferencjalną całość, piejąc, iż Plan 10–letni został wykonany), to jednak w niniejszym numerze Czytelnik znajdzie panegiryki tromtadracko dytyrambiczne, lukrowane, smarowane przez pochlebców hagiografujących piąte urodziny ***„Tygodnika Lisickiego”***, fetujących, klaszczących, basujących i bisujących, zdmuchujących 5 świeczek wiatrami ochów i achów. Stąd konieczność, żeby wbrew tej fieście samozadowolenia, temu priazdnikowi wiwatowania, temu karnawałowi klakierowania — ktoś ujawnił prawdę, wyłożył kawę na ławę, zaświecił w oczy nagą rzeczywistością, mówiąc maxkolonkowo jak jest. Ponieważ nie widzę innych chętnych do odwalenia tej brudnej roboty, koniecznej niby butelka wódki na pustyni pełnej sypanego w oczy piachu — sam się podejmę, w czynie społecznym (przez co rozumiem, że pro publico bono, a nie, że rezygnuję z honorarium):

Geneza powstania pisma była wstydliwa. Zostało ono założone z brutalnej konieczności życiowej typu *„byt kształtuje świadomość”*, ergo: żeby wypić i zakąsić — trzeba zarobić. Chwilę wcześniej bowiem pryncypialny owner *„hajda–bomber”* wywalił na bruk (z poprzedniego tygodnika) dużą grupę małokumatych żurnalistów, za brak obiektywizmu, humanizmu, progresizmu i multikulturalizmu, czyli za jawne wstecznictwo, przynoszące obciach dziennikarstwu III RP. Wygrużeni grzeszyli też brakiem solidarności, bo miast trzymać sztamę, od razu podzielili się na dwie hałastry — jedna obrała szosę karnowską czyli nowogrodzko–toruńską, podczas gdy druga autostradę lisicką, wiodącą cholera wie ku czemu, z drogowskazami typu: jestem za, a nawet przeciw (PiS–owi), bądź: nie chcem, ale muszem, co niby ma stanowić bezpardonowy obiektywizm, dziennikarską bezwazelinową i bezmalkontencką uczciwość, wrogą i lizusostwu, i krytykanctwu, ja jednak oceniam to sceptycznie jako metodę typu: i chciałabym, i boję się, a do zespołu pana kierownika Lisickiego mam dużo zastrzeżeń, które niżej wyartykułuję w punktach:

Po pierwsze primo jest to zespół mało reprezentatywny rasowo i kulturowo, zważywszy dużą różnorodność kultur plemiennych dzisiejszego globu. Co prawda są tu nawet biegunowe ekstrema, jak choćby oszalały endek (Ziemkiewicz) i zwariowany piłsudczyk (c’est moi), czy dewocyjny katol (Terlikowski) i ambasadorski Żyd (Weiss), lecz brakuje przedstawicieli środka, czyli głównych etnicznych oraz seksualnych formacji obecnego świata, vulgo: friendów kolorowoskórych plus intensywnie śniadych, tudzież delegatów wiodących dziś orientacji z megakręgu LGBTQ itd. whatever it means. Owszem, jest parę dam, ale nie umieją tańczyć na rurze, która to umiejętność zyskała już miano tańca narodowego: pole–dance, analogicznie do narodowego disco–polo (żaden pracownik Lisickiego nie umie śpiewać w tej tonacji). Zaangażowanie Dody (oczywiście po *„zawiasach”* lub warunkowym zwolnieniu) przydałoby redakcji wdzięku i sznytu, a obowiązkowe oświadczenia majątkowe (pokaż dziennikarzu co masz w garażu) i orientacyjne (sex–coming–outy) zapewniłyby większą przejrzystość ciała redakcyjnego, wskazując niedostatek LGBTQ i zmuszając kierownictwo do poszerzenia gamy genderowej zgodnie ze współczesnymi tendencjami multirodzajowymi.

∞

We własne gniazdo...

∞

Po drugie secundo zespół Lisickiego jest nienowoczesny nie tylko przez zacofanie etniczne i erotyczne, lecz i przez kompromitujący fakt, że ani jeden spośród redaktorów i współpracowników **„Do Rzeczy”** nie zapisał się do partii Nowoczesnej z kropką. Stąd żaden nie mógł w minionych dwóch latach (kiedy jeszcze kropka dyndała u Petru) powoływać się długopisem lub laptopem na paragrafy obowiązującej wciąż Konstytucji 3 Maja, żaden nie mógł czcić Święta Sześciu Króli, żaden nie dałby rady mieszać filiżanką w szklance bez cukru, itp. — nowoczesność była dla nich niedostępna niczym Madera. I dalej jest. Warto może poprosić któregoś ze światowych przodowników nowoczesności, takich jak choćby prezydent Macron, by zechciał sprawować nad redakcją patronat, ale gdyby był zbyt zajęty, to nie od rzeczy byłoby szukać patronatu u lokalnych autorytetów, jak prof. Środa, ksiądz Lemański czy burmistrz Biedroń.

Po trzecie tertio fatalne jest zaangażowanie publiczne–uliczne członków redakcji. Czy ktokolwiek kiedykolwiek gdziekolwiek widział Lisickiego lub jego ludzi biorących udział w jakiejkolwiek manifie na rzecz kobiet wyzyskiwanych przez mężczyzn bądź wyskrobywanych potajemnie? Albo na rzecz praw obywatelskich kornika drukarza? Lub w proteście przeciwko ograniczaniu praw artystów do emaliowania krucyfiksu kałem i moczem, tudzież praw aktorów do wsadzania sobie krzyża wszędzie i robienia laski świętemu? Bądź w demonstrowaniu leżąco na asfalcie pod Sejmem dla uwidocznienia bestialstwa reżimowej gliniarni? Albo w corocznej paradzie tęczowej? Albo w głodówce rotacyjnej? Nie, nie, i jeszcze raz nie! Nikt nigdy nie słyszał Lisickiego skandującego publicznie przy chóralnym wsparciu jego wyrobników: *„Księża na księżyc!”*, czy: *„Macica to nie kaplica!”*. Taka znieczulica wystawia kompanii Lisickiego świadectwo fatalne, bez czerwonego paska, czyli do poprawki zamiast do rzeczy.

Po czwarte quarto — u czeredy Lisickiego widać też brak zaangażowań zewnętrznych, tych na arenie międzynarodowej. Spytam znowu tak samo, patrząc Czytelnikom prosto w oczy: czy ktokolwiek widział kiedykolwiek, by którykolwiek pracownik lub współpracownik **„Do Rzeczy”** pojechał do Brukseli, Paryża lub Berlina z info o polskich obozach zagłady wszelakich wolności, szczególnie wolności konstytucji geremkowskiej, wolności jurysdykcji sądowniczej, wolności prostytucji urzędniczej, wolności reprywatyzacji kamieniczniczej, i wolności lustracji cywilizowanej? Nie, bo ta ekipa redakcyjna ma w nosie prawdziwą wolność, a tylko wyciera sobie gęby rzekomą wolnością, zwłaszcza wolnością do obrzucania błotem ludzi zasłużonych dla tego kraju, miotając ksywkowe złośliwości, choćby przeciw *„Bolkowi”*, że esbeckim lotem fruwał nad płotem, czy przeciw *„Bufetowej”*, że obdarowywała gmachami 140–letnich czarnoskórych spadkobierców z Karaibów, lub przeciw *„Ryżemu”* vel *„Kaszubowi”*, że merkelizna bliższa mu niż ojczyzna.

Po piąte quinto prawa człowieka są w **„Do Rzeczy”** łamane nagminnie, co permanentnie stwarza sytuację nie do zniesienia. Honoraria są głodowe, więc nie zaspokajają elementarnych potrzeb bytowych personelu, a to rodzi frustrację, która przekłada się na pełne frustracji teksty, słynące w całej Unii Europejskiej jako rażące przykłady niekompatybilności polskiego faszyzmu z demokracją socja… pardon: brukselistyczną (tolerancyjną, multikulturową, zdrową), a chwalone tylko przez buraka Trumpa. Redakcja nie krzewi też owocnego współzawodnictwa między dziennikarzami, choćby rozdawaniem bonów żywnościowych klasy nadgarmażeryjnej (kawior, ostrygi, koniak), trudno się więc dziwić, że atmosfera wewnątrzredakcyjna jest ciężka, duszna, pełna kwasów, ansów i dąsów. Okropność.

To tyle (bo na więcej miejsca nie starcza) o rzeczywistej rzeczywistości **„Do Rzeczy”**, maskowanej przez panegirystów cekinową mową–trawą o złotym (znaczy: chwalebnym) jubileuszu. Nie wszystko złoto co się świeci, drodzy Państwo, o czym (o tombaku) doniósł Wam jedyny sprawiedliwy w tej Sodomie Gomorze:

©℗ Waldemar Łysiak

eprasa.pl 65aebf6e22

eprasa.pl 65aebf6e22